CHŁOPI

TOM I

WŁ. ST. REYMONT

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO
I PORTRETEM AUTORA

TOM II

CHŁOPI

TOM I

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

WŁ. ST. REYMONT

CHŁOPI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

I

JESIEŃ

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

Jesień.

I.

. . . .

. . . . Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co?

— We świat, do ludzi, dobrodzieju kochany — w tyli świat!... — zakreśliła kijaszkiem łuk od wschodu do zachodu.

Ksiądz spojrzał bezwiednie w tę dal i rychło przywarł oczy, bo nad zachodem wisiało oślepiające słońce; a potem spytał ciszej, lękliwiej jakby...

— Wypędzili was Kłębowie, co? A może to ino niezgoda?... może...

Nie zaraz odrzekła, wyprostowała się nieco, powlekła ciężko staremi wypełzłemi oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachach wsi, zanurzonej w sadach.

— I... nie wypędzali... jakżeby... dobre są ludzie-krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było. — Samam ino zmiarkowała, że trza mi w świat. — Z cudzego woza — to złaź choć i w pół morza.

Trza było... roboty już la mnie nie miały... na zimę idzie, to jakże — darmo mi to dadzą warzę abo i ten kąt do spania?...

A że, rychtyk, i ciołka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę — tom i zrobiła miejsce... jakże, bydlątek szkoda, Boże stworzenie też... A ludzie dobre, bo mię choć latem przytulą, kąta ani tej łyżki strawy nie żałują — że se człowiek, kiej jaka gospodyni paraduje...

A na zimę we świat, po proszonem.

Nie wiela mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do wiesny z Panajezusową łaską przechyrlam, a jeszcze się coś niecoś grosza uścibi — to rychtyk la nich na przednowek... krewniaki przeciech...

A jużta Jezusiczek przenajsłodszy biedoty opuścić nie opuści.

— Nie opuści, nie — zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.

— Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju!

Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zradlonej, jak te jesienne podorówki.

— Idźcie z Bogiem — idźcie — szeptał zakłopotany, podnosząc ją z ziemi.

Zebrała drżącemi rękami torby i kijaszek z jeżem na końcu, przeżegnała się i poszła szeroką, wyboistą drogą ku lasom; raz wraz tylko odwracała się ku wsi, ku polom, na których kopano kartofle i na te dymy pastusich ognisk, co się snuły nisko nad ścierniskami, poglądała żałośnie, aż i zniknęła za przydrożnemi krzami.

A ksiądz usiadł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewjarz, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pogrążonych ziemiach, to po bladem niebie błądziły, lub zatrzymywały się na parobku, pochylonym nad pługiem.

— Walek... brózda krzywa... te... — zawołał, unosząc się nieco i chodził już oczami, krok za krokiem za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przebiegać czerwone litery brewjarza i poruszać ustami, ale co chwila gonił oczami siwki, to stadko wron, które ostrożnie, z wyciągniętemi dzióbami podskakiwały w bróździe i raz wraz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzióby o twarde, zeschłe skiby.

— Walek! a śmignij no prawą po portkach, bo zostaje!

Uśmiechnął się, bo jakoż po bacie prawa już równo ciągnęła, a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo, poklepał je przyjaźnie po karkach, aż wyciągały do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały twarz.

— Heeet-aa! — wołał śpiewnie Walek, wyciągał błyszczący jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcami, że zatoczyły krótki łuk, wraził krój błyszczący w rżysko, śmignął batem, konie pociągły z miejsca, aż zgrytnęły orczyki — i orał dalej wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od drogi po pochyłości i niby długi wątek zgrzebnych skib rozciągał się

aż ku wsi leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonawych i żółtawych sadach.

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej — wisiało w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krze, i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeschłe twarde skiby kładły zasię cienie nocne i chłodne.

Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu przymglonem kurzawą słoneczną; na wysokim, bladym błękicie leżały gdzie niegdzie bezładnie porozrzucane ogromne białe chmury, niby zwały śniegów, nawiane przez wichry i postrzępione.

A pod niemi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola, niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów — misa, przez którą jak srebrne przędziwo rozbłysłe w słońcu, migotała się w skrętach rzeka z pod olch i łozin nadbrzeżnych. Wzbierała w pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dokoła stawu leżała wieś i grała w słońcu jesiennemi barwami sadów — niby czerwonożółta liszka zwinięta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splątane nieco przędziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin — tylko gdzie niegdzie w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota — łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to bielały omdlałe, wyschłe łożyska strumieni, albo leżały piaszczyste senne drogi i nad niemi rzędy potężnych topoli zwolna wspinały się na wzgórza i pochylały ku lasom.

Ksiądz ocknął się z zapatrzenia, bo długi, żałosny ryk rozległ się gdzieś niedaleko, aż wrony poderwały się z krzykiem i skośnym rzutem leciały na kopaniska — a czarny migocący cień biegł za niemi dołem po rżyskach i podorówkach.

Przysłonił ręką oczy i patrzył pod słońce — drogą od lasów szła jakaś dziewczyna i ciągnęła za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę; gdy przechodziła obok, pochwaliła Boga i chciała skręcić, aby księdza pocałować w rękę, ale krowa szarpnęła ją w bok i znowu ryczeć zaczęła.

— Na sprzedanie prowadzisz, co?

— Ni... ino do młynarzowego bysia... a stójże zapowietrzona... Wściekłaś się, czy co! — wołała zadyszana, usiłując powstrzymać, ale krowa ją pociągnęła, że już obie gnały w dyrdy, aż kurz je zakrył obłokiem.

A potem wlókł się ciężko po piaszczystej drodze żyd szmaciarz, pchał przed sobą taczki dobrze naładowane, bo raz wraz przysiadał i ciężko dyszał.

— Co tam słychać, Moszku?

— Co słychać?... Komu dobrze to i dobrze słychać... Kartofle chwała Bogu obrodziły, żyto sypie, kapusta będzie. Kto ma kartofle, kto ma żyto, kto ma kapustę — temu dobrze słychać! — Pocałował księdza w rękaw, założył na bok pas od taczek i pchał dalej, lżej już, bo zaczynał się spadek łagodny.

A potem szedł środkiem drogi, w kurzawie, bo zamiatał nogami, ślepy dziad, prowadzony przez tłustego kundla na sznurku.

A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten,

ujrzawszy księdza przy drodze, okrążył go zdala i biegł na przełaj pól do karczmy.

To znowu chłop z sąsiedniej wsi wiózł do młyna, albo żydówka pędziła stado kupionych gęsi.

A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzony życzliwem słowem i spojrzeniem księdza, któren, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął do Wałka:

— Doórz do brzózek i do domu... na nic się konie zmachają.

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jasnem, pełnem kochania spojrzeniem, ogarniał pola...

. . . . . Rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach... rozlegał się grochot zsypywanych do wozów kartofli... miejscami orano jeszcze pod siew... stada krów srokatych pasły się na ugorach... długie popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących... to gęsi, niby płaty śniegów, bieliły się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły i długie, niebieskie warkocze dymów ciągnęły się nad zagonami... Wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słychać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w zbitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zerwała lub krzyk, niewiadomo skąd powstały, leciał nisko, tłukł się po brózdach i dołach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzędzonych srebrnemi pajęczynami, w pustych sennych drogach, nad któremi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich

głowach... to włóczono role i tuman szarego, przeszłowiecznego kurzu podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze i opadał, a z pod niego, niby z obłoku, wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą — szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi, dochodził do końca zagonów, nabierał z worka zboża, nawracał i zwolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a wkońcu już był cały widny na tle słońca z tym samym błogosławiącym ruchem siejby; z tym samym świętym rzutem rozrzucał zboże, co jak złoty pył, kolistym wirem padało na ziemię.

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom obtłukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie, całowali w rękaw sutanny.

Pogładził ich po głowach i rzekł upominająco:

— Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok gruszek mieć nie będziecie.

— My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo — ozwał się śmielszy.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczach.

— Szczęść Boże w robocie!

— Boże zapłać, dziękujemy! — odpowiedzieli razem, prostując się i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

— Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? — mówił, wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn.

Brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać.

— Juści kartofle kiej kocie łby i dużo pod krzami.

— Ha, to świnie zdrożeją, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika.

— Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły a i do Prus kupują.

— Prawda, prawda. A czyje to ziemniaki kopiecie?

— A Borynowe.

— Gospodarza nie widzę, tom i rozeznać nie rozeznał.

— Ociec pojechali z moim ano do boru.

— A to wy Anna, jakże się macie? — zwrócił się do młodej, przystojnej kobiety w czerwonej chustce na głowie, która, że ręce miała uwalane ziemią, przez zapaskę ujęła jego rękę i pocałowała.

— Jakże się ma ten wasz chłopak, com go to we żniwa chrzcił?

— Bóg zapłać dobrodziejowi, zdrów się chowa i coś niecoś bałykuje.

— No, zostańcie z Bogiem.

— Panu Bogu oddajem.

I ksiądz skręcił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero gdy przeszedł niskie kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłami ku kaplicy, co stała wpośród pożółtych brzóz i klonów czerwonych, rozwiązały się im języki.

— Lepszego to na całym świecie nie znaleźć — zaczęła któraś z kobiet.

— Juści, chciały go też zabrać do miasta... żeby ociec z wójtem nie jeździli prosić biskupa, tobyśwa go i nie mieli... Kopta no ludzie, kopta, bo do wieczora mało daleko, a ziemniaków mało wiele ! mówiła Anna, wysypując swój kosz na kupę żółcącą się na rozkopanej ziemi, pełnej zeschłych łęcin.

Wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słychać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś nie ktoś wyprostował zgięty i zbolały grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza przed się stojącego.

Ludzi było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników, a za nimi bieliły się dwa krzyżaki, u których w płachtach leżały dzieci raz wraz popłakując.

— A tak i stara poszła we świat — zaczęła Jagustynka.

— Kto? — spytała Anna, podnosząc się.

— A stara Agata.

— Na żebry...

— Juści że na żebry! Hale! nie na słodkości ino na żebry. Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato, to już ją puściły na wolny dech.

— Wróci na zwiesnę, to im naznosi w torebeczkach, a to i cukru, a to i harbaty, a to i grosza coś niecoś — zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se wypoczena... A wujna,

a ciotka jej mówią, póki tego ostatniego szelążka od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca niema w sieni, ani we chliwie. Ścierwy, psie krewniaki i zapowietrzone — wybuchała Jagustynka i taki gniew ją przejął, że stara jej twarz posiniała.

— Biednemu to zawsze, na ten przykład, wiatr w oczy — dorzucił jeden z komorników, stary, wynędzniały chłop z krzywą gębą.

— Kopta no ludzie, kopta — popędzała Anna nierada tokowi rozmowy.

Jagustynka, że to długo nie mogła bez gadania, to spojrzała na stojącego i rzekła:

— Te Paczesie, to stare chłopy, że jaże im już kłaki na łbach puszczają...

— Ale, kawalery zawdy — rzekła insza kobieta.

— A tyle dziewuch się starzeje, albo i służby szukać idzie...

— Przeciech, a one mają cały półwłóczek i jeszcze łączkę za młynem.

— Juści, abo to im matka da się żenić... abo to im popuści...

— A ktoby krowy doił, ktoby opierał, ktoby kole gospodarstwa abo i świń chodził...

— Obrządzają se matula i Jagusię — bo jakże Jagna kiej pani jaka, kiej i druga dziedziczka, ino się stroi... a myje, a w lusterku przegląda, a warkocze zapłata.

— I patrzy ino kogoby puścić pod pierzyne, któren aby mocny! — dorzuciła znowu ze złym uśmiechem Jagustynka.

— Józek Bandchów posyłał z wódką — nie chciała.

— Cie... dziedziczka zapowietrzona.

— A stara ino w kościele siaduje, a na książce się modli, a na odpusty chodzi!

— Prawda, ale czarownica to też jest; a Wawrzynowym krowom, to chto mleko odebrał, co? A jak na Jochanowego chłopaka, co jej śliwki w sadku obrywał, jakie złe słowo powiedziała, to mu się zaraz taki kołtun zbił i tak go pokręciło, Jezus!

— I ma tu błogosławieństwo Boże być nad narodem, kiej takie we wsi siedzą...

— A drzewiej, kiej jeszcze krowy pasałam tatusiowe, to baczę, że takie ze wsi wyganiali — dodała znowu Jagustynka.

— Tym się krzywda nie stanie, bo ma ją kto strzec... — i zniżając głos do szeptu, a patrząc zukosa na Annę, co kopała na przedzie pierwszą z kraja redlinę, szeptała Jagustynka sąsiadkom:

— A pono pierwszy do obrony, to ano chłop Hanki... cieka się on za Jagną kiej ten pies...

— Laboga... moiściewy... cudeńka prawicie... Hale! toby już grzech i obraza boska była... — szeptały do siebie, kopiąc i nie podnosząc głów.

— A bo to on jeden... a to jak za suką, tak chłopaki za nią ganiają.

— A bo też urodę ma, to ma; wypasiona kiej jałowica, biała na gembie, a ślepie to ma rychtyk jak te lnowe kwiatki... a mocna, że i niejeden chłop jej nieuradzi...

— A bo to co robi, ino żre, a wysypia się, to niema urodna być...

Milczały długą chwilę, bo trzeba było kartofle wysypywać na kupę.

A potem już zrzadka pogadywały to o tem, to o owem, aż i zamilkły, bo któraś dojrzała, że od wsi, rżyskiem, bieży Józka Borynianka.

Jakoż i ta nadbiegła zziajana i już zdaleka krzyczała:

— Hanka, a chodźcie ino do chałupy, bo krowie się cosik stało.

— Jezus Marja, a której?...

— A to ci graniastej... a to ci... — tchu złapać nie mogę...

— Loboga, aże mnie zatknęło, myślałam że mojej... — zawołała z ulgą Anna.

— Witek ją co dopiero przygnał, bo gajowy ich wypędził z zagajów. Krowa się zlachała, bo taka spaśna... i zaraz przed oborą upadła... i ani pić nie pije, ani żreć nie żre, ino się tarza a ryczy, że loboga!

— Ojca to niema?

— Ni, tatulo jeszcze nie przyjechali. O Jezus, mój Jezus, taka krowa, co naraz dobrze i garniec mleka dawała. A chodźcież rychło.

— Duchem ci lecę, w to oczymgnienie.

Jakoż i wyjęła dziecko z płachty, nadziała mu czapeczkę z kutasikami, okręciła zapaską i poszła żywo, a taka była strwożona wieścią, że nawet nie opuściła wełniaka, zapomniała do cna, aż jej odsłonięte do kolan nogi bieliły się po roli. Józka biegła przodem.

A kopacze, każdy okrakiem nad swoją redliną, posuwali się zwolna, kopiąc leniwiej, jako że nikt nie pilił i nie poganiał.

Słońce już się przetaczało na zachód i jakby rozżarzone biegiem szalonym, czerwieniło się kołem ogromnem i zsuwało za czarne, wysokie lasy. Mrok gęstniał i pełzał już po polach; sunął brózdami, czaił się po rowach, wzbierał w gąszczach i zwolna rozlewał się po ziemi, przygaszał, ogarniał i tłumił barwy, że tylko czuby drzew, wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami. A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów coraz ostrzej brzmiały w cichem omroczonem powietrzu.

Sygnaturka na kościele zaczęła dzwonić Anioł Pański spiżowym świegotem, że ludzie przystawali i szept pacierzów, niby szemranie opadających listków, padał w mroki.

Ze śpiewami a pokrzykami wesołemi, spędzano bydło z pastwisk, co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzaczaste.

Owce pobekiwały tu i owdzie, to gęsi zerwały się z pastwisk i stadami leciały całe w zorzach zachodu zatopione, że tylko krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

— Ale szkoda, ta graniasta to cielna krowa.

— I... nie na biedaka trafiło.

— A tak i bydlątka żal, co się zmarnuje.

— Gospodyni Boryna nie ma, to wszystko leci kiej przez sito.

— A bo to Hanka nie gospodyni.

— La siebie... jakby na komornem u ojca siedzą, to juści patrzą, aby ino na swoją stronę coś niecoś urwać, a ojcowego niechta pies pilnuje.

— A Józka, że to jeszcze skrzat głupi, to i cóż poradzi.

— Hale, albo to Boryna nie mógłby grunt oddać Antkowi, co?

— A sam pójdzie do nich na wycug, co?... Starzyście, Wawrzku a do cna jeszcze głupi — zaczęła żywo Jagustynka. — Ho, ho, Boryna jeszcze krzepki, może się ożenić, a głupiby był, żeby dzieciom zapisywał.

— Hale, krzepki to juści że jest, ale już ma ze sześćdziesiąt roków.

— Nie bój się Wawrzku, każda młódka pójdzie za niego, niechby tylko rzekł.

— Już dwie żony pochował.

— Niech se pochowa i trzecią, Panie Boże mu pomóż, a niech dzieciom póki żyw nie daje ni staja, ni liszki jednej, ni tyle co trepem przydepnie. — Ścierwy, wyrychtowałyby go, kiej moje mnie. Dałyby mu wycug! że na wyrobekby chodził, z głoduby zdychał abo i na żebry po proszonem szedł. Oddaj ino co masz dzieciom — to ci oddadzą, rychtyk ci tego starczy na sznureczek, abo i na ten kamień do szyi...

— Ludzie, a to czas do domu, mroczeje.

— Czas, czas! słońce już zaszło.

Pozbierali prędko motyczki, koszyki, to dwojaki od obiadów i szli wolno gęsiego, miedzą, pogadując coś niecoś, a tylko stara Jagustynka wykrzykiwała wciąż na-

miętnie na dzieci własne, a potem już i na wszystkich pomstowała.

A równo z nimi jakaś dziewczyna gnała maciorę z prosiętami i śpiewała cienkim głosikiem:

Aj, nie chodź kiele woza —
Aj, nie trzymaj się osi,
Aj, nie daj chłopu gęby,
Aj, choć cię pięknie prosi.

— Cie, głupia, wrzeszczy, kieby ją kto ze skóry obdzierał.

II.

Na Borynowym podworcu obstawionym z trzech stron budowlami gospodarskiemi, a z czwartej sadem, który go oddzielał od drogi, już się zebrało dość narodu; kilka kobiet radziło i wydziwiało nad ogromną czerwonobiałą krową, leżącą przed oborą, na kupie nawozu.

Stary pies, kulawy nieco i z oblazłą na bokach sierścią, oganiał graniastą, obwąchiwał ją, szczekał, to wypadał w opłotki i gnał dzieci na drogę, co się były wieszały na płotach i zazierały ciekawie w obejście, albo docierał do maciory, co legła pod chałupą i rozwalona jęczała cicho, bo ssały ją białe, młode prosięta.

Hanka nadbiegła właśnie zziajana, przypadła do krowy i jęła ją głaskać po gębuli i łbie.

— Granula, biedoto, granula! — wołała łzawo aż buchnęła płaczem i lamentem serdecznym.

A kobiety radziły raz wraz nowe ratowanie chorej; to sól rozpuszczoną wlewali jej w gardło, to topiony z poświęcanej gromnicy wosk z mlekiem; radził ktosik mydła z serwatką — insza znowu wołała, żeby krew puścić — ale krowie nic nie pomagało, wyciągała się coraz dłużej, niekiedy podnosiła łeb i porykiwała długo jakby o ratunek, boleśnie, aż jej piękne oczy o białkach różowych — mętniały mgłą i ciężki, rogaty łeb opadał z wysilenia, że ino wysuwała ozór i polizywała ręce Hanki.

— A możeby Ambroży co poradził? — zaproponowała któraś.

— Prawda, na chorobach on jest znający — zawtórowali.

— Bieżyjno Józia. Na Anioł Pański dzwonili, to musi jeszcze być przy kościele. Laboga, a jak ociec nadjadą, będzie to pomstowanie, będzie. — A przeciech my niczego nie winowate! — narzekała płaczliwie.

A potem siadła na progu obory, wsadziła chłopakowi w usta, bo popłakiwał, białą, pełną pierś i z trwogą niezmierną spoglądała na krowę rzężącą, to przez opłotki na drogę i nasłuchiwała.

W pacierz abo i dwa wpadła Józia z krzykiem, że Jambroży już idą.

Jakoż i przyszedł zaraz, dziad może stuletni, prosty jak świeca, choć o nodze drewnianej i o kiju, twarz miał suchą, pomarszczoną jak kartofel na zwiesnę i szarą także, wygoloną i pociętą szramami, włosy białe jak mleko kosmykami opadały mu na czoło i kark, bo był z gołą głową.

Poszedł prosto do krowy i dokumentnie ją obejrzał.

— Oho, widzę, że świeże mięso jedli będzieta.

— A dyć jej pomóżcie co, wylekujcie, a toć krowa ze trzysta złotych warta — i dopiero po cielęciu, a dyć pomóżcie! O mój Jezu, mój Jezu! — zawołała Józia.

Ambroży wyjął z kieszeni puszczadło, powecował je po cholewie, przyjrzał się pod zorzę ostrzu i przeciął granuli arterje pod brzuchem — ale krew nie trysnęła, a ciekła wolno, czarna, spieniona.

Stali wszyscy dokoła pochyleni i patrzyli bez oddechu.

— Za późno! Oho, bydlątko ostatnią parę puszcza — rzekł uroczyście Ambroży. — Nic to, ino paskudnik albo i co innego... trza było zaraz kiej zachorzała... ale te baby, to ino juchy do płakania są mądre, a jak trza radzić to w bek kiej owce. — Splunął pogardliwie, obszedł krowę, zajrzał jej w oczy, przyjrzał się ozorowi, obtarł zakrwawione ręce o jej miękką, lśniącą skórę i zabierał się do odejścia.

— Na ten pochowek dzwonił nie będę; zadzwonita w garki sami.

— Ociec z Antkiem! — krzyknęła Józka i wybiegła na drogę, naprzeciw, bo głuchy, ciężki turkot rozległ się z drugiej strony stawu, gdzie w rozczerwienionej zorzami zachodu kurzawie czerniał długi wóz i konie.

— Tatulu, ato... graniasta już zdycha — wołała, dobiegając do ojca, który skręcał właśnie na tę stronę stawu. Antek szedł w końcu i podtrzymywał, bo wieźli długą sosnę.

— Nie pleć byle czego po próżnicy — mruknął, podcinając konie.

— Jambroży puszczali krew i nic... i wosk topiony lali jej w gardziel i nic... i sól... i nic... pewnie paskudnik... Witek pedał, co borowy wygnał ich z zagajów i co granula zara się pokładała i stękała, jaże ją i przygnał...

— Graniasta, najlepsza krowa, ażeby was ścierwy pokręciło, kiej tak pilnujecie — rzucił lejce synowi i z batem w garści pobiegł przodem.

Baby się rozstąpiły, a Witek, który cały czas coś najspokojniej majstrował pod chałupą, skoczył w ogród i przepadł ze strachu, nawet Hanka podniosła się na progu i stała bezradna, strwożona.

— Zmarnowali mi bydlę!... — wykrzyknął wreszcie stary, obejrzawszy krowę. — Trzysta złotych jak w błoto! Do miski to ścierwów aż gęsto, a przypilnować niema kto. Taka krowa, taka krowa! A to człowiek ruszyć się z domu nie może, bo zaraz szkoda i upadek...

— Dyć ja od połednia samego byłam przy kopaniu — tłumaczyła się cicho Hanka.

— A bo ty co kiej widzisz! — krzyknął z wściekłością. — A bo ty stoisz o moje!

— Taka krowa, taki haman, że i drugiej nie w każdym dworzeby znalazł!

Wyrzekał coraz żałośniej i obchodził ją, próbował podnieść, ciągał za ogon, zaglądał w zęby, ale krowa dyszała chrapliwie i coraz ciężej, krew przestała płynąć, tylko krzepła w czarne, spieczone żużle — wyraźnie już zdychała.

— Niema co, ino ją trza dorznąć, choć tyla się wróci!

Rzekł wkońcu, przyniósł kosę ze stodoły, poostrzył

ją nieco na taczalniku, co stał pod okapem obory, rozdział się ze spencerka, zawinął rękawy koszuli i zabrał się do zarzynania...

Hanka z Józią buchnęły płaczem, bo granula, jakby czując śmierć, uniosła z trudem łeb, zaryczała głucho i... padła z przerzniętem gardłem, grzebiąc ino nogami...

Pies zlizywał krzepnącą na powietrzu krew, a potem skoczył na doły od kartofli i szczekał na konie, stojące z wozem w opłotkach, bo tam je zostawił Antek, a sam spokojnie przyglądał się jatce.

— Nie bucz głupia! Ojcowa krowa, to nie nasza strata! — powiedział ze złością do żony i zabrał się do wyprzęgania i rozbierania koni, które już Witek ciągnął za grzywy do stajni.

— Ziemniaków w polu dużo? — zagadnął Boryna, myjąc pod studnią ręce.

— A bogać tam mało, będzie ze dwadzieścia worków.

— Trzeba dzisiaj zwieźć.

— Hale, zwoźcie se sami, ja już kulasów nie czuję ni krzyża... a i licowy kuleje na przednią.

— Józka, zwołaj no Kubę od kopania, niech źróbkę założy za licowego i trza dzisiaj zwieźć. — Deszcz ano być może.

Ale wrzał złością i zmartwieniem, bo coraz to przystawał przed krową i klął siarczyście, a potem łaził po podwórzu i zaglądał to do obory, to do stodoły, to pod szopę i sam nie wiedział, czego szuka, żarła go ano taka strata.

— Witek! Witek! — jął wołać i odpinał szeroki rzemień z bioder, ale chłopak się nie pokazał.

Ludzie się porozchodzili, bo rozumieli, że taka szkoda i taka markotność musi się skończyć bitką, jako że do niej Boryna był skory zazwyczaj, ale stary klął tylko dzisiaj i poszedł do izby.

— Hanka, a dajno jeść! — krzyknął na synową w otwarte okno i poszedł na swoją stronę.

Dom był zwykły, kmiecy — przedzielony na przestrzał sienią ogromną; szczytem wychodził na podwórze, a frontem czterookiennym na sad i na drogę.

Jedną połowę od ogrodu zajmował Boryna z Józią, a na drugiej siedzieli Antkowie. Parobek z pastuchem sypiali przy koniach.

W izbie było już czarniawo, bo przez małe okienka, przysłonięte okapem i zagajone drzewami, mało przeciskało się światła, a i mroczało już na świecie, że tylko połyskiwały szkła obrazów świętych, co rzędem czerniły się na bielonych ścianach; izba była duża ale przygnieciona czarnym pułapem i ogromnemi belkami pod nim, i tak zastawiona różnym sprzętem, że tylko koło wielkiego komina z okapem, co stał przy siennej ścianie, było niecoś swobodnego miejsca.

Boryna się rozzuł i poszedł do ciemnego alkierza, zamykając drzwi za sobą, odsunął z małej szybki deskę, że zachodnie światło krwawym brzaskiem zalało alkierz.

Izdebka pełna była różnych rupieci i statków gospodarskich, na drążkach wpoprzek przewieszonych wisiały kożuchy, czerwone pasiaste wełniaki, białe sukmany, to całe pęki motków szarej przędzy i zwinięte w kłęby

brudne runa owiec i worki z pierzem. Wyciągnął białą sukmanę i pas czerwony, a potem długo czegoś szukał w beczkach napełnionych zbożem, to w kącie pod stosem starych rzemieni i żelastwa, aż usłyszawszy Hankę w pierwszej izbie, zaciągnął deskę na okienko i znowu coś długo grzebał w zbożu.

A na ławie pod oknem już się dymiło jadło; od ogromnego tygla z kapustą rozchodził się zapach słoniny jak i od jajecznicy, której niezgorsza miseczka stała obok.

— Gdzie Witek pasł krowy? — zapytał, krając potężny glon chleba z bochna, jak przetak wielkiego.

— Na dworskich zagajach i borowy go stamtąd wygonił.

— Ścierwy, zmarnowali mi bydlę.

— Przecięch, tylo krowa to się i zlachała w tem gonieniu, że się w niej cosik zapaliło.

— Dziadaki psiekrwie. Paśniki są nasze, w tabeli stoi kiej wół, a one cięgiem wyganiają i pedają co ich.

— Drugich też powyganiali a chłopaka Walkowego tak zbił, tak zbił...

— Ha! do sądu trza abo i do komisarza. Trzysta złotych warta jak nic.

— Pewnie, pewnie — przytakiwała rada niezmiernie, że ociec się udobruchali.

— Powiedzcie Antkowi, że skoro ziemniaki zwiezą, to niech się wezmą do krowy, trza ją obłupić i poćwiertować. Przyndę od wójta, to wama pomogę. W sąsieku u belki ją powiesić — będzie przespiecznie ode psów lebo jenszej gadziny...

Skończył wrychle jeść i wstał, bych się nieco przyogarnąć, ale takie ociążenie poczuł w sobie, takie ciągotki w kościach, taką senność, że jak stał, rzucił się na łóżko, by się z pacierz przedrzymać.

Hanka poszła na swoją stronę i krzątała się po izbie i coraz to wychylała się przez okno spojrzeć na Antka, który pożywiał się na ganku, przed domem; odsadził się od miski obyczajnie i zwolna ciągnął łyżkę za łyżką, skrzybiąc mocno o wręby i spozierając czasami przed się na staw — bo zachód już był i na wodzie czyniły się złoto-purpurowe tęcze i płomienne koliska, przez które, niby białe chmurki, przepływały z gęgotem gęsi, rozlewając dzióbami sznury krwawych pereł.

Wieś zaczynała się mrowić i wrzeć ruchem; na drodze, z obu stron stawu, ciągle podnosiły się kurzawy i turkoty wozów i porykiwania krów, które wchodziły do stawu po kolana, piły wolno i podnosiły ciężkie łby, aż cienkie strugi wody, niby bicze opali, opadały im z szerokich gembul.

Gdzieś, od drugiego końca stawu, słychać było trzask kijanek bab piorących i głuchy, monotonny łopot cepów w jakiejś stodole.

— Antek, urąb no pieńków, bo sama nie poradzę — prosiła nieśmiało i z obawą, bo nic to nie było u niego kląć abo i zbić z leda powodu.

Nie odrzekł nawet, jakby nie słyszał, że ona nie śmiała powtórzyć i już sama poszła udziabywać trzaski z pni — i milczał zły, zmęczony całodzienną pracą srodze, i patrzył teraz na staw, na drugą stronę, w duży dom, świecący białemi ścianami i szybami okien, bo

zachód bił w niego. Pęki czerwonych georginij wychylały się z za kamiennego płotu i paliły jaskrawo na tle ścian, a przed chałupą, w sadzie, to między opłotkami uwijała się wysoka postać — ale twarzy rozeznać nie można było, bo co chwila ginęła w sieni — to pod drzewami..

— Śpią se kiej dziedzic, a ty parobku rób — mruknął ze złością, bo ojcowe chrapanie rozlegało się aż na ganku.

Poszedł na podwórze i raz jeszcze przyjrzał się krowie.

— Juścik ojcowa krowa, ale i nasza strata — rzekł do żony, która, że to Kuba przywiózł ziemniaki z pola, rzuciła łupanie drzewa i szła do woza.

— Doły jeszcze nie wyporządzone, to trza zesuć na klepisko.

— Kiej ociec mówili, żebyś na klepisku krowę z Kubą obdarł i wyporządził.

— Zmieści się i krowa, zmieszczą się i ziemniaki — szeptał Kuba, otwierając wierzeje stodoły naroścież.

— Ja ta nie jestem drzyk, cobym krowę obłupiał ze skóry — rzucił Antek.

I już nie mówili, słychać było tylko grochot zsypywanych na klepisko ziemniaków.

Słońce zgasło, wieczór się robił, świeciły jeszcze zorze łunami zakrzepłej krwi i ostygłego złota i posypywały na staw jakby pyłem miedzianym, że wody ciche drgały rdzawą łuską i szmerem sennym.

Wieś zapadała w mrokach i w głęboką, martwą ciszę jesiennego wieczora. Chałupy malały, jakby się

przypłaszczały do ziemi, jakby się tuliły do drzew sennie pochylonych, do płotów szarych.

Antek z Kubą zwozili ziemniaki, a Hanka z Józią uwijały się koło gospodarstwa, bo gęsi trza było zagnać na noc, to świnie nakarmić, bo z kwikiem cisnęły się do sieni i wsadzały żarłoczne ryje do cebrotek, gdzie stało picie dla bydląt.

To krowy wydoić, bo właśnie Witek przygnał resztę z pastwiska i zakładał im za drabiny po garści siana, żeby spokojniej stały przy dojeniu.

Jakoż Józia zabrała się doić pierwszą z brzegu, gdy Witek wylazł od żłobów i spytał cicho, trwożnie:

— Józia, a gospodarz źli?...

— O Jezu, spierą cię chudziaku, spierą... tak pomstowali — odpowiedziała, wytykając ku światłu głowę i osłaniając ręką twarz, bo krowa chlastała ogonem, oganiając się od much.

— Ale... bom to winowaty... ale... borowy mię wygnał i jeszcze chciał kijem sprać, inom uciekł... a granula zarno się jęła pokładać, a porykiwać, a stękać, żem do chałupy przygnał...

Zamilkł, ale słychać było ciche, bolesne chlipanie i siurkanie nosem.

— Witek... a nie bucz kiej ciele, bo ci to pierwszyzna, że cię ociec spierą?...

— Juści że nie pierwszyzna, ale zawdy tak się bojam... bo nijakiej wytrzymałości na bicie nie mam...

— Głupiś, parobek tyli a boja się... już ja przełożę tatusiowi...

— Przełożysz Józia? — zawołał radośnie — bo to borowy mię wygnał z krowami, bo...

Przełożę Witek, ino się już nie bojaj!...

— Kiej tak... to naści tego ptaka! — szepnął z radością i wyjął z zanadrza drewniane cudło. — Obacz ino jak się sam rucha.

Postawił go na progu obory, nakręcił i ptak zaczął się kiwać, podnosić nogi długie i spacerować...

— Bociek, Jezu, a dyć się rucha kiej żywy! — zawołała zdumiona, odstawiła szkopek, przykucnęła przed progiem i z najżywszą radością i zdumieniem patrzyła.

— Jezu! to z ciebie mechanik! I to się sam tak rucha, co?...

— A sam, Józia, ino go kołeczkiem nakręcę, to już se spaceruje kiej dziedzic po obiedzie — o... — odwrócił go i ptak poważnie a śmiesznie zarazem podnosił długą szyję, podnosił nogi i szedł.

Zaczęli się śmiać serdecznie i bawić jego ruchami, tylko Józia czasami podnosiła oczy na chłopaka — podziw w nich był a zdumienie.

— Józia! — rozległ się głos Boryny z przed chałupy.

— A czegoj?... — odkrzyknęła.

— Chodzi ino.

— Kiej dojem krowy.

— Pilnuj tu, bo idę do wójta — powiedział, wsadzając głowę do ciemnej obory, — niema tutaj tego znajdka, co?

— Witka?... ni, pojechał po ziemniaki z Antkiem, bo Kuba miał urznąć sieczki dla koni... — odpowiedziała

prędko i trochę niespokojnie, bo Witek przycupnął za nią ze strachu.

— Ścierwa ten chłopak, to ino pasy drzeć, żeby zmarnować taką krowę — mruczał, powracając do izby, gdzie się odział w nową kapotę białą, wyszywaną na wszystkich szwach czarnemi tasiemkami, nadział wysoki czarny kapelusz, okręcił się czerwonym pasem i poszedł drogą nad stawem ku młynowi.

— Roboty jeszcze tyla... zwózka drzewa... siew nieskończony... kapusta w polu... ściółka niewygrabiona... podoraćby trza na kartofle... dobrzeby i pod owsy... a tu jedź na sądy... Laboga, że to człek nigdy obrobić się nie obrobi, ino ciągiem jak ten wół w jarzmie... że i wyspać się niema czasu ni odpocząć... — rozmyślał. — A tu i ten sąd... Tłumok ścierwa, hale, ja z nią sipiałem... żebyś ozór straciła... lakudro jakaś... suka... splunął ze złością, nabił fajeczkę machorką i długo pocierał zwilgotniałe zapałki o portki, nim zapalił.

Pykał od czasu do czasu i wlókł się wolno; bolały go wszystkie kości i żale za krową raz wraz go markociły i rozbierały.

A tu ani odbić się na kiem, ani wyżalić, nic... sam jak ten kołek; sam o wszystkiem myśl, sam deliberuj łbem, sam kiele wszystkiego obiegaj kiej ten pies... a do nikogój słowa przemówić, i rady znikąd, ni pomocy — a ino strata i upadek... a wszystkie to kiej te wilki za owcą... a ino skubią, a patrzą, kiedy ozerwą w kawały...

Ciemnawo już było we wsi, przez przywierane drzwi i okna, że to wieczór był ciepły, buchały smugi ognisk i zapach gotowanych ziemniaków i żuru ze skwar-

kami; gdzie niegdzie jedli w sieniach albo i zgoła przed domami, że ino skrzybot łyżek słychać było a pogadywania.

Boryna szedł coraz wolniej, bo ociężało go rozdrażnienie, a potem przypomnienie nieboszczki, co ją na zwiesnę był pochował, ułapiło go za grdykę...

— Ho! ho!... przy niej, co ją wspominam wieczoren w dobry sposób, nie przygodziłoby się tak granuli... gospodyni to była, gospodyni!... Juści, że i mamrot i przeklętnica też, że i dobrego słowa nikomu dać nie dała i ciągiem się z babami za łby wodziła... ale zawżdy żona i gospodyni! — Tu westchnął pobożnie na jej intencję i żal go jeszcze większy dusił, bo przypomniał, jak to bywało...

Przyszedł z roboty, spracowany — to i jeść tłusto dała i często gęsto kiełbasy podtykała kryjomo przed dzieciskami... A jak się wszystko darzyło!... i cielaki i gąski, i prosiaki... że co jarmarek było z czem jeździć do miasta, i grosz był zawsze gotowy, na zakład z samego przychówku... A już co kapusty z grochem, to już jensza zgoła tak nie potrafi...

A teraz co?...

Antek ino na swoją stronę ciągnie, kowal też wypatruje, aby co chycić, a Józka? Skrzat głupi, któremu plewy jeszcze we łbie, co i niedziwota, bo dzieusze mało co na dziesiąty rok idzie... Hanka kiej ta ćma łazi, a choruje jeno, i tyle zrobi, co ten pies zapłacze...

Toć i marnieje wszystko... granule trza było dorznąć... we żniwa wieprzek zdechł... wrony gąski tak prze-

brały, że z połowa ostała!... Tyle marnacji, tyle upadku!... Przez sito wszyćko leci, przez sito...

— Ale nie dam! — wykrzyknął prawie głośno — póki rucham temi kulasami, to ani jednej morgi nie odpiszę i dowaju na wycug nie pójdę...

Ino Grzela z wojska do dom powróci, to niechta se Antek na żoniną gospodarkę wróci... nie dam...

— Niech będzie pochwalony — zabrzmiał jakiś głos.

— Na wieki... — odrzucił machinalnie i skręcił z drogi w szerokie i długie opłotki, bo wójtowa osada leżała trochę w głębi.

W oknach się świeciło i pieski ujadać poczęły.

Wszedł prosto do świetlicy.

— Wójt doma? — zapytał tłustej kobiety, klęczącej przy kołysce i karmiącej dziecko.

— Zarno wrócą, pojechał po ziemniaki. Siadajcie Macieju, a dyć i ci też czekają na niego, — wskazała ruchem brody na dziada siedzącego przy kominie; był to ten stary ślepiec wodzony przez psa; czerwonawe światło szczap ostro opływało jego ogromną, wygoloną twarz, łysą czaszkę i szeroko otwarte oczy zasnute bielmem, nieruchomo tkwiące pod siwemi, krzaczastemi brwiami...

— Skąd to Pan Bóg prowadzi? — zapytał Boryna, siadając po drugiej stronie ognia.

— Ze świata, a skądżeby gospodarzu — odpowiadał wolno rozlazłym, jęczącym, iście proszalnym głosem i nadstawiał pilnie uszów, a wyciągnął tabakierę.

— Zażyjcie gospodarzu.

Maciej zażył rzetelnie i kichnął raz po raz trzy razy, aż mu łzy w oczach stanęły.

— Tęga jucha! — i rękawem tarł załzawione oczy.

— Niech wam będzie na zdrowie. Peterburka, dobrze ano robi na oczy.

— Wstąpcie jutro do mnie, krowem dorznął, to się tam jaka sztuczka la was znajść znajdzie.

— Bóg zapłać... Boryna, widzi mi się, co?...

— A juści, żeście to rozeznali?... no, no.

— Po głosie ino, po gadaniu.

— Cóżta we świecie słychać? Wędrujecie ciągiem.

— Moiściewy, a cóżby! A to źle, a to i dobrze, a to i różnie, jak we świecie. A wszyscy piszczą, a narzekają jak przyjdzie dziadowi co dać abo i drugiemu, ale na gorzałę mają.

— Prawdę rzekliście, bo ano tak i jest.

— Ho, ho! tyle roków się człek telepie po tej świętej ziemi, to się i wie różnie.

— A gdzieście to podzieli tego znajdę, co was prowadzał łoni — zapytała wójtowa.

— Poszedł se ścierwa, poszedł, wyłuskał on mi dobrze torbeczki... Miałem coś grosza od ludzi ochfiarnych, com go niósł na wotywy do Częstochowskiej Panienki, to mi jucha podebrał i poszedł we świat! Cichoj Burek! bo to pewnikiem wójt! — pociągnął sznurkiem i pies warczeć przestał.

Zgadł, bo wójt wszedł, bat rzucił w kąt i od progu wołał:

— Żono jeść, bom głodny kiej wilk — jak się macie Macieju, a wy czego dziadu?...

— Ja do was wedle tej mojej sprawy, co ma być jutro.

— Ja zaś se poczekam, panie wójcie. Każecie w sieniach — dobrze i tam będzie, a ostawicie przy ogniu, że to stary jestem, ostanę, a dacie tę miseczkę ziemniaków abo i chleba skibkę — to pacierz za was zmówię jeden abo i drugi... jakbyście dali gotowy grosz abo i dziesiątkę...

— Siedźcie se, dostaniecie i kolację, a chcecie, to zanocujcie...

I wójt siadł do miski okrytej parą świeżo utłuczonych ziemniaków i polanych obficie skwarkami, w drugiej donicy stało zsiadłe mleko.

— Siadajcie Macieju z nami, zjecie co jest — zapraszała wójtowa, kładąc trzecią łyżkę.

— Bóg zapłać. Przyjechałem z boru, tom se już dobrze podjadł...

— Bierzcie się ano za łyżkę, nie zaszkodzi wam, teraz już wieczory długie...

— Długi pacierz i duża miska, jeszcze bez to niktoj nie pomarł — rzucił dziad.

Boryna wzdragał się ale wkońcu, że słonina mocno raziła mu nozdrza, przysiadł się do ławki i pojadał zwolna, delikatnie, jak obyczaj kazał.

A wójtowa raz wraz wstawała i dokładała kartofli, to mleka przylewała.

Dziadowski pies się kręcił i skamlał zdziebko do jadła.

— Cichoj Burek, gospodarze ano jedzą... i ty dostaniesz, nie bój się... — uspokajał go dziad i wciągał nozdrzami smakowitą woń, a przygrzewał ręce przy ogniu.

— To Jewka was podobno zaskarżyła — zaczął wójt, podjadłszy nieco.

— A ona ci! żem to jej zasług nie wypłacił! Zapłaciłem, jak Bóg w niebie i jeszczem ponadto, z dobrego serca księdzu za chrzciny dał worek owsa...

— Ona powieda, że ten dzieciak to...

— W imię ojca i syna. Wściekła się, czy co?

— Ho, ho! stary z was, a jeszcze majster! — Wójtowie poczęli się śmiać.

— Staremu prędzej się przytrafi, bo praktyk ci jest i znający! — szeptał dziad.

— Cygani jak ten pies, anim ją tknął. Jeszczeby taki tłumok... taka pode płotem zdychała a skamłała, coby ją za samą warzę, a kąt do spania, wziąć, bo na zimę szło .Nie chciałem, ale nieboszka peda: — weźmiem, przyda sie w domu, co mamy przynajmować... będzie swoja pod ręką... — Nie chciałem ja, jako że zimą roboty nijakiej a jedna gęba więcej do miski. — Ale nieboszczka peda: — nie turbuj się, umie pono wełniaki i płótno tkać, zasadzę ją i niechta se ścibie, zawżdy coś uścibie. — No i ostała, odpasła się ino i zarno się postarała o przychówek... A kto w spółce, to już różnie gadali...

Ona skarży na was.

— Zakatrupię ścierwę, cygana pieskiego!

— Ale do sądu trza wam iść.

— Pójdę. Bóg zapłać, żeście mi powiedzieli, bo

wiedziałem ino, że o zasługi — ale zapłaciłem, na co świadków mam! A pyskacz zapowietrzony, a dziadówka. Loboga, tyle umartwienia, że jaż chyba udzierżyć nie udzierżę — a to mi i krowa padła, że dorznąć musiałem, roboty niepokończone, a tu człowiek sam kiej ten palec.

— U wdowca to kiej między wilkami owca — powiedział znowu dziad.

— O krowiem słyszał, mówili mi już na polu...

— To dworska sprawa, bo pono borowy wygnał z zagajów. Najlepsza krowa. Ze trzysta złotych wartała, zegnała się, bo ciężka była, zapaliły się w niej wątpia, żem dorznąć musiał... Ale dworowi tego nie daruję... Podam do sądu.

Ale wójt zaczął mu tłumaczyć i przekładać, żeby się wstrzymał, jako w pierwszej złości zawsze się źle radzi, bo stał za dworem, a wkońcu, żeby zwrócić rozmowę w inną stronę, mrugnął na żonę i powiedział:

— Bobyście się Macieju ożenili i miałby kto gospodarstwa pilnować.

— Kpicie czy co?... A dyć na Zielną skończyłem pięćdziesiąt i osiem roków. Co wama też w głowie, jeszcze tamta dobrze nieostygła...

— Weźcie kobitę do swego wieku, a zaraz się wam zgoi wszystko — dodała wójtowa i jęła sprzątać ze stołu.

— Dobra żona głowy mężowej korona — dorzucił dziad, obmacując miski, które przed nim postawiła wójtowa.

Żachnął się Boryna ale zamedytował głęboko, że mu to samemu do głowy nie przyszło. Boć jaka się tam

kobieta nadarzy, a zawżdy z nią lepiej niźli samemu biedować...

— Która i głupia i niemrawa, która znów kłótnica, która do chłopskich kołtunów sięgająca, która paparuch a latawiec po muzykach i karczmach, a zawżdy chłopu z nią lepiej i wygoda — ciągnął dziad, pojadając.

— Dopieroby na wsi wydziwiali — powiedział Boryna.

— Hale — ludzie wama zwrócą krowę abo i co poradzą, abo i kiele gospodarstwa chodzić będą, abo się nad wami użalą — zagadała gorąco wójtowa.

— Albo i ciepłą pierzynę narządzą — zaśmiał się wójt. — A we wsi tyle jest dziewuch, że jak się idzie między chałupami, to bucha kiej z pieca...

— Ale, widzisz go, rozpustnik... czego mu się zachciewa...

— A Zośka Grzegorzowa na ten przykład, śmigła, piękna i wiano niezgorsze.

— A cóżto Maciejowi potrza wiana, nie gospodarz to pierwszy we wsi.

— Ktoby ta miał dobra i grontu dosyć — zaoponował dziad.

— Ni, Grzegorzowa nie la nich — podjął wójt — za mdła i młódka to jeszcze.

— A Jędrkowa Kasia — wyliczała dalej wójtowa.

— Zmówiona. Wczoraj Rochów Adam posyłał z wódką.

— Jest ci jeszcze Stachowa Weronka.

— Mamrot, latawiec i jedno biedro ma grubsze.

— A wdowa po Tomku, jakże to jej... całkiem jeszcze do żeniaczki...

— Troje dzieci, cztery morgi, dwa krowie ogony i stary kożuch po nieboszczyku.

— A Ulisia tego Wojtka, co to za kościołem siedzi?...

— I... to la kawalera... z przychowkiem, chłopak mógłby już być do pasionki, ale Maciejowi tego nie potrza, ma już pastucha swojego.

— Jestci jeszcze, jest tego nasienia pannowego, ale ino wybieram takie, coby pasowały la Macieja.

— A zabaczyłaś o jednej, coby była la nich w sam raz.

— Która?...

— A Jagna Dominikowa?

— Prawda, całkiem o niej przepomniałam.

— Sielna dziewucha, a rosła, że bez płot nie przejdzie, bo żerdki pod nią pękają... a piękna, biała na gembie, a urodna kiej jałowica.

— Jagna — powtórzył Boryna słuchający w milczeniu wyliczania — a to powiedają o niej, że łasa na chłopaków.

— Ale, był to kto przy tem, to wie! Pleciuchy pletą byle pleść, a wszystko ino przez zazdrość — broniła mocno wójtowa.

— Ja też nie powiedam sam z siebie, ino tak pogadują. — Ale trza mi iść — poprawił pasa, wraził węgielek we fajkę i pyknął parę razy.

— Na którą to w sądzie? — zapytał spokojnie.

— Na dziewiątą napisane w powiestce. Musicie dodnia wstać, jeśli na piechty.

— I... źróbką se wolno pojadę. Ostańcie z Bogiem, dziękuję wama za pożywienie i somsiedzką radę.

— Idźcie z Bogiem, a pomyślcie, cośwa wama raili... Powiecie, to z wódką pójdę do pani matki i jeszcze przed Godami sprawim wesele...

Boryna nie odrzekł nic, łypnął ino oczami i wyszedł.

— Jak stary młódkę bierze, djabeł się cieszy, bo profit z tego miał będzie — rzekł dziad poważnie, skrobiąc głośno po dnie miski.

Boryna wolno wracał i żuł w sobie rozważnie, co mu raili. Nie dał poznać po sobie, tam u wójtów, że mu się ta myśl strasznie udała, bo jakże, gospodarz był a nie żaden chłopak, co to ma jeszcze mleko pod nosem, a na wspominek o żeniaczce aże kwiczy i z nogi na nogę przedeptuje.

Noc już ogarnęła ziemię, gwiazdy srebrną rosą pobłyskiwały z ciemnych, głuchych głębin, cicho było we wsi, psy tylko niekiedy poszczekiwały, a tu i owdzie, z poza drzew, mżyły się słabe światełka... czasem wilgotny podmuch zawiał z łąk, że drzewa poczęły się lekko chybotać i z cicha poszemrywać listkami.

Boryna nie wrócił drogą, jaką był przyszedł, a tylko puścił się wdół, przeszedł most, pod którym woda z bełkotem przelewała się do rzeki i waliła głucho na młyn, i nawrócił na drugą stroną stawu. Wody leżały ciche i lśniły się czarniawo, pobrzeżne drzewa rzucały na taflę czarne cienie i jakby ramą obejmowały brzegi, a w po-

środku stawu, gdzie jaśniej było, odbijały się gwiazdy niby w zwierciadle stalowem.

Maciej sam nie wiedział, dlaczego nie poszedł prosto do domu, a wybrał dłuższą drogę, może, aby przejść koło domu Jagny, a może, aby zebrać nieco myśli i pomedytować.

— Juści, że byłoby niezgorzej! juści! A co tam o niej mówią, to taka prawda. — Splunął. — Sielna kobieta! — Dreszcz nim wstrząsnął, bo i chłód wilgotny szedł od stawów, a u wójtów gorąc był silny.

— A bez kobiety trza zmarnieć abo dzieciom gospodarkę odpisać — myślał — a duża jucha i kiej malowana. — A krowa najlepsza padła, a kto wie jutra?... Może to i trza poszukać żony? Tyle obleczenia po nieboszce jest — przygodziłoby się. Ale stara Dominikowa to pies... a cóż, mają chałupę i gront, toby na swojem ostała. Troje ich a mają piętnaście morgów, bo niby na Jagnę pięć i spłata za chałupę i lewentarz! Pięć morgów, to rychtyk te pola za mojem kartofliskiem, żyto widzi mi się posiały latoś, tak... Pięć morgów do moich to... trzydzieści i pięć bez mała! Karwas pola!...

Zatarł ręce i poprawił pasa. — To ino młynarz ma więcej... złodziej, krzywdą ludzką a precentami, a oszukaństwem tyla nabrał... A na bezrok podwiózłbym gnoju a uprawił i pszenicy posiał na całym kawale; koniaby trzeba przykupić a i po granuli krowinę jaką... Prawda, krowęby dostać dostała...

I tak rozmyślał, liczył, rozmarzał się gospodarsko, aż czasem i przystawał z ciężkiej deliberacji. A że mądry chłop był, to wszystko zasię zbierał w sobie i głęboko

w głowę patrzył, coby czego nie prześlepić i nie przepomnieć.

— Wrzeszczałyby juchy, wrzeszczały! — pomyślał o dzieciach, ale wnet fala mocy i pewności zalała mu serce i skrzepiła głuche jeszcze, wahające postanowienia.

— Gront mój, wara komu drugiemu do niego. A niechceta, to... — nie skończył, bo stanął przed chałupą Jagny.

Świeciło się u nich jeszcze i przez otwarte okno padała szeroka smuga światła i szła przez kierz georginjowy i niskie drzewa śliwkowe aż na płot i drogę.

Boryna stanął w cieniu i zapuścił wzrok w izbę.

Lampka tliła się nad okapem, ale w kominie musiał się buzować tęgi ogień, bo słychać było trzask świerczyny i czerwonawe światło zapełniało ogromną, mroczną po kątach izbę; stara skulona przed kominem czytała cosik głośno, a Jagna przeciw niej twarzą do okna siedziała; w koszuli była tylko i z podwiniętemi do ramion rękawami — podskubywała gęś.

— Urodna jucha, to urodna! — myślał.

Podnosiła czasem głowę, nasłuchiwała matki, wzdychała ciężko, to znowu brała się skubać pióra, aż gęś zagęgała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk, i bić skrzydłami, że puch się rozwiał po izbie białym tumanem. Uspokoiła ją rychło i mocno ściskała kolanami, że gęś jeno pogęgiwała zcicha a boleśnie, i odpowiadały jej inne gdzieś z sieni czy z podwórza.

— Piękna kobieta — pomyślał i odszedł śpiesznie, bo mu uderzyło do głowy, aż się podrapał, zapiął pętlę i pasa przyciągnął.

Już był w swoich wrotach i wchodził w opłotki, gdy się obejrzał na jej dom, bo rychtyk stał naprzeciw, tylo że po tamtej stronie wody. Ktoś akuratnie wychodził, bo przez drzwi uchylone lunęła struga światła i jak błyskawica zamigotała i padła aż na staw, potem czyjeś mocne stąpania zadudniły i rozległ się chlupot wody nabieranej, a wkońcu, wskroś ciemni i mgieł, co się były zwlekały z łąk, śpiew się ozwał przyciszony:

Ja za wodą, ty za wodą,
Jakże ja ci buzi podom?...
Podam ci ją na listeczku,
A naści-że kochaneczku...

Słuchał długo, ale głos rychło przepadł i światła wkrótce pogasły.

Na niebo wtaczał się z za lasów księżyc w pełni i rozsrebrzał czuby drzew i siał przez gałęzie światło na staw i zaglądał w okna chat, co mu były naprzeciw. Psi nawet pomilkli, cichość niezgłębiona objęła wieś całą i stworzenie wszelkie.

Boryna obszedł podwórze, zajrzał do koni, parskały i gryzły obroki; wsadził głowę do obory, bo drzwi dla gorąca stały otworem. Krowy leżały przeżuwając a postękując, jako to jest zwyczajnie u bydlątek. Przywarł wrota do stodoły.

Zdjąwszy kapelusz, szedł do izby i mówił półgłosem pacierz.

A że spali już wszyscy, rozzuł się pocichu i zaraz legł spać.

Ale zasnąć nie mógł, to pierzyna go parzyła, że

nogi z pod niej wysuwał, to mu po głowie chodziły sprawy różne, a turbacje, a pomyślenia... to mu brzuch ano ciężył srodze, że postękiwał i mruczał.

— Zawżdy mówię, że zsiadłe mleko ino rozpiera brzucha, coby na noc nie dawać...

A potem jął myśleć o Jagnie; jakby to dobrze było, bo i urodna i gospodarna i tyle pola... To znowu przypominał sobie dzieci, to te gadania na Jagnę, że mąciło się w nim wszelakie rozeznanie i już nie wiedział, co począć, że uniósł się nieco i jakto było zwyczajnie, chciało mu się do drugiego łóżka zawołać i poradzić.

— Maryś! Żenić się, czy to się nie żenić z Jagną?...

Ale wczas sobie przypomniał, że Maryś już od zwiesny na cmentarzu, a tam se śpi Józka i chrapie, a on jest sierotą, która poradzić się nikogo nie ma, to ino westchnął ciężko, przeżegnał się i jął mówić Zdrowaśki za nieboszczkę i wszystkie dusze w czyścu ostające.

III.

Już świt ubielił dachy i zgrzebną, szarą płachtą przysłonił noc i gwiazdy pobladłe, gdy ruch się uczynił w Borynowem obejściu.

Kuba zwlókł się z wyrka i wyjrzał przed stajnię — szron leżał na ziemi i szaro było jeszcze, ale już zorze rozpalały się na wschodniej stronie i czerwieniły czuby drzew oszroniałych — przeciągnął się z lubością, ziewnął parę razy i poszedł do obory, aby krzyknąć na Witka,

że czas wstawać, ale chłopak uniósł nieco senną głowę i szepnął:

— Zaraz Kuba, zaraz! — i przytulał się do legowiska.

— Pośpij se zdziebko biedoto, pośpij! — Przyokrył go kożuchem i pokusztykał, bo że nogę miał kiedyć przestrzeloną w kolanie, kulał srodze i ciągnął ją za sobą; umył się pod studnią, przygładził dłonią rzadkie, wyleniałe włosy, co mu się były pozwijały w kołtuny i klęknął na progu stajni odmawiać pacierze.

Gospodarz spali jeszcze, w oknach chałupy zapalały się krwawe brzaski zórz, a gęste, białe mgły zwlekały się zwolna ze stawów, kołysały ciężko i posuwały w górę podartemi szmatami.

Kuba przesuwał w palcach koronkę i modlił się długo, a biegał oczami po podwórzu, po oknach chałupy, po sadzie omroczonym jeszcze na dole, po jabłonkach obwieszonych jabłkami niby pięście; rzucił czemciś do budy, co stała zaraz koło drzwi, w biały łeb Łapy, aż pies zawarczał, zwinął się i spał dalej.

— Ale, do samego słońca spał będziesz jucho! — i rzucił w niego raz, drugi, że pies wylazł, przeciągał się, ziewał, machał ogonem, przysiadł w podle i jął się drapać i czynić zębami w gęstych kudłach porządek.

.... I ochfiaruję ten pacierz Tobie i wszystkim świętym. Amen! — Bił się długo w piersi, a powstając, rzekł do Łapy:

— Hale! aligant jucha, wybiera se pchły, kiej baba na wesele!

A że robotny był, to się zajął obrządkiem; wóz

wytoczył ze stodoły i nasmarował, napoił konie i przyłożył im siana, aż parskać zaczęły i bić kopytami, a potem przyniósł z sąsieka nieco zgonin dobrze okraszonych owsem i wsypał to klaczy do żłobu, bo stała w gródce, osobno.

— Żrej stara, żrej; źróbka mieć będziesz, to ci mocy trza, żrej! — Pogładził ją po nożdżach, aż klacz położyła mu łeb na ramieniu i pieszczotliwie chwytała wargami za kołtuny.

— ... Ziemniaki do połednia zwieziemy, a pod wieczór do lasu, po ściółkę — nie bój się, ściółka lekka, nie zgonię cię...

— A ty wałkoniu, batem dostaniesz, widzisz go, owies mu pachnie próżniakowi — mówił do wałacha, co stał obok i łeb wtykał między deski przegrody, do żłobu klaczy — grzmotnął go pięścią w zad, aż koń uskoczył w bok i zarżał.

— Hale, parob żydowski! Żreć, tobyś choć i czysty owies żarł, a do roboty cię niema, bez bata jucho z miejsca nie ruszysz, co?

Wyminął go i zajrzał do źróbki, co stała przy ścianie samej i już zdaleka wyciągała do niego kasztanowaty łeb ze strzałką białą na czole i rżała cicho.

— Cichoj mała, cichoj! Podjedz se ano, bo pojedziesz z gospodarzem do miasta! — Uwił kłak siana i wyczyścił jej bok zawalany! — Tyla klacz, że już do ogiera czas, a świniaś. Utytlesz się zawdy kiej maciora — pogadywał wciąż i poszedł do chlewów wypuścić świnie, bo kwiczały, a Łapa chodzi za nim i zaglądał mu w oczy.

— Zjadłbyś i ty, co? To naści-że chlebaszka, na-

ści! — Wyjął z za pazuchy kawałek i rzucił, pies pochwycił i schował się do budy, bo świnie ano leciały mu wydrzeć.

— Hale, te śwynie, to kiej człowiek niektóry, aby ino chycić cudze i zechlać...

Zajrzał do stodoły i długo patrzył na wiszącą u belki krowę.

— Głupie to jeno bydle a i temu na koniec przyszło. Widzi mi się, co jutro zgotują mięsa... Tyle i z ciebie biedoto, że człek se podje w niedzielę...

Westchnął do tego jadła i powlókł się budzić Witka...

— Słońce ino, ino — zarno się pokaże... Krowy trza wypędżać.

Witek mamrotał coś, bronił się, przykładał do kożucha, ale wkońcu wstać wstał i łaził ociężały i senny po podwórzu.

Gospodarz zaspali dzisiaj, bo słońce już weszło i rozczerwieniło szrony i zapaliło łuny w wodach i szybach, a z chałupy nikt się nie pokazywał...

Witek siedział na progu obory i podrapywał się zajadle i przeziewał, a że wróble poczęły zlatywać z dachów do studni i trzepać się w korycie, to przyniósł drabkę i wlazł pod okap, zajrzeć do gniazd jaskółczych, bo cicho tam jakoś było.

— Pomarzły, czy co?

I jął wyciągać delikatnie pomorzone ptaszki i kłaść je za pazuchę.

— Kuba, wiecie, nie żyją, o! — Pobiegł do parobka i pokazywał sztywne, pogasłe jaskółki.

Ale Kuba wziął ino w rękę, przyłożył do ucha, dmuchnął w oczy i rzekł:

— Zdrętwiały, bo przymrozek galanty. Ale że to głupie nie poszły jeszcze do ciepłych krajów, no, no... — I poszedł do swojej roboty.

A Witek siadł pod chałupą, w szczycie, bo słońce już tam dochodziło i oblewało bielone ściany, po których i muchy łazić poczynały; wyciągał z za koszuli te, które, już ogrzane nieco jego ciałem, gmerały się trochę, chuchał na nie, rozdziawiał im dziobki, poił z ust własnych, aż ożywiały się, otwierały oczy i poczynały wydzierać się do ucieczki, wtedy prawą ręką czaił się po ścianie i raz wraz zagarnął jaką muchę, nakarmiał nią i puszczał.

— Lećta se do matuli, lećta — szeptał, patrząc, jak jaskółki siadały na kalenicy obory, czesały się dziobkami i szczebiotały jakby dziękczynienia.

A Łapa siedział przed nim na zadzie i skomlał uciesznie, a co który ptaszek wyfruwał, rzucał się za nim, biegł kilka kroków i zawracał z powrotem stróżować.

— Ale, złap wiater w polu — mruczał Witek i tak się zatopił w rozgrzewaniu jaskółek, że ani widział, kiedy Boryna wyszedł z za węgła i stanął przed nim.

— Ptaszkami się ścierwo zabawiasz, co?

Porwał się, by uciekać, ale już gospodarz chwycił go krótko za kark i drugą ręką szybko odpasywał szeroki, twardy pas rzemienny.

— Adyć nie bijcie, adyć! — zdążył krzyknąć jeno.

— Takišto pastuch, co? Tak to pilnujesz, co? Najlepsza krowa się zmarnowała, co... Ty znajdku, ty

pokrako warsiaska! ty! — i bił zapamiętale, gdzie popadło, aż rzemień świszczał, a chłopak wił się kiej piskorz i wrzeszczał:

— Nie bijta! Loboga! Zabije mię! Gospodarzu!... O Jezu, ratujta...

Aż Hanka wyjrzała z chałupy, co się dzieje, a Kuba splunął i schował się do stajni.

A Boryna łoił go rzetelnie, wybijał mu na skórze swoją stratę tak zajadle, że Witek miał już gębę posinioną i z nosa puściła mu się krew, krzyczał w niebogłosy i cudem jakimś się wyrwał, chwycił się obu rękami ztyłu za portki i gnał w opłotki.

— Jezu, zabili mę, zabili mę! — ryczał i tak pędził, aż mu reszta jaskółek wylatywała z za pazuchy i rozsypywała się po drodze.

Boryna pogroził jeszcze za nim, opasał się i wrócił do chałupy i zajrzał na Antkową stronę.

— Słońce już na dwa chłopa, a ty się jeszcze wylegujesz! — krzyknął na syna.

— Zmogłem się wczoraj kiej bydlę,-to muszę się wywczasować.

— Do sądu pojadę... Zwieź ziemniaki, a jak ludzie skończą kopanie, to zagnać je do grabienia ściółki, a ty mógłbyś kołki pozabijać do ogacenia.

— Ogaćcie se sami chałupę, nama tutaj nie wieje.

— Rzekłeś... to swoją stronę ogacę, a ty marznij, kiejś wałkoń.

Trzasnął drzwiami i poszedł na swoją stronę.

Józka już rozpaliła ogień i szła doić krowy.

— Rychło daj jeść, bo trza mi jechać...

— Przeciech się nie ozedrę, dwóch robót razem nie poradzę — i poszła.

— Spokojnego oczymgnienia niema, ino kłysnij się ze wszystkimi! — myślał i wziął się do obleczenia, ale zły był i zgryziony. Jakże, ciągła wojna z synem, słowa nie można rzec, bo zaraz do oczów z pazurami skacze, albo rzeknie coś, co jaże we wątpiach poczujesz. Na nikogo się spuścić, ino charuj i charuj!

Złość w nim zbierała, aż poklinał z cicha i rzucał szmatami po izbie a butami.

— Słuchać się powinny, a nie słuchają! Czemu to? — myślał.

— Widzi mi się, co bez kijaszka z nimi obyć się nie obędzie, bez twardego! Dawno się im to należało, zaraz po śmierci nieboszczki, kiej kłyśnić się zaczęły o gronta, ale się jeszcze wagował, żeby zgorszenia we wsi nie czynić. Gospodarz był przeciech nie leda jaki, na trzydziestu morgach i z rodu nie bele chto — Boryna, wiadomo. Ale dobrością z nimi się nie skończy, nie. Tu przyszedł mu na myśl zięć, kowal, któren wszystkich pocichu burzył, a i sam wciąż nastawał, żeby mu sześć morgów odpisać i morgę lasu, a już na resztę chciał poczekać...

— To niby kiej zamrę! Poczekaj jucho, poczekaj — myślał ze złością. — Póki się ino rucham, nie powąchasz ty ani zagona! Widzisz go, mądrala!

Kartofle już mocno perkotały w kominie, gdy Józka przyszła od udoju i wnetki narządziła śniadanie.

— Józka. A mięso sama przedawaj. Jutro niedziela, ludzie się już zwiedziały, to się ich tu naleci;

ino nie borguj nikomu. Pośladek ostaw la nas; zawoła się Jambroża, to zasoli i przyprawi...

— A dyć i kowal umieją...

— Ale, podzieliłby się kiej wilk z owcą.

— Magdzie będzie markotno, że to nasza krowa a ona nawet nie obaczy.

— To la Magdy wytnij jaką sztuczkę i zanieś, ale kowala nie wołaj.

— Dobryście tatulu, dobry.

— Hale córuchno, hale. Pilnuj tutaj, a już ci bułeczkę przywiezę abo i co.

Podjadł se niezgorzej, opasał się pasem, przygładził pośliniona dłonią zwichrzone i rzadkie włosy, ujął bat i jeszcze się rozglądał po izbie...

— Bym czego nie przepomniał. — Chciało mu się zajrzeć do komory, ale się powstrzymał, bo Józka patrzała, więc się przeżegnał i ruszył.

A już z wasąga, zbierając w garść parciane lejce, rzekł Józce na ganek.

— Skończą ziemniaki, to zaraz iść grabić ściółkę, kwitek jest za obrazem. A niechta zetną jakiego grabka albo i chojkę — przyda się.

Wóz ruszył i już był w opłotkach, gdy Witek mignął pod jabłoniami.

— Zabaczyłem... prru... Witek! Prru! Witek, puść krowy na łąki, a pilnuj, bo cię jucho spierę, że popamiętasz!

— Ale, pocałujta mę gdzieś... — odkrzyknął hardo, znikając za stodołą.

— Będziesz tu pyskował, jak zlezę, to obaczysz...

Skręcił z opłotków na lewo, na drogę wiodącą ku kościołowi; podciął batem źróbkę, że podyrdała truchcikiem po wyboistej, pełnej kamieni drodze.

Słońce było już chyla tyla nad chałupami i świeciło coraz cieplej, bo z oszroniałych strzech podnosiły się opary i woda skapywała, tylko w cieniach, pod płotami w sadach, po rowach, leżał jeszcze siwy mróz; po stawie wlekły się ostatnie zrzedłe mgły i woda poczynała z pod bielm wrzeć brzaskami i odbłyskiwać słońce.

We wsi poczynał się już zwykły ruch: poranek był jasny i chłodny, a że zaś przymrozek orzeźwił powietrze, to i raźniej się poruszali i zgiełkliwiej; wychodzili gromadnie na pola, którzy do kopania szli z motyczkami a koszykami na ręku, dojadając śniadań; którzy z pługiem ciągnęli na ścierniska; którzy na wozach brony wieźli a worki pełne ziarna siewnego; którzy znów zasię wykręcali ku lasom z grabiami na ramionach, ściółkę grabić, że ino dudniło po obu stronach stawu i krzyk się wzmagał, bo drogi były zatłoczone bydłem, ciągnącem na paszę, szczekaniem psów, pokrzykami, co wybuchały raz wraz z niskiej, ciężkiej kurzawy, jaka się była wznosiła z orosiałych dróg.

Boryna wymijał trzody ostrożnie, czasem śmignął po wełnie jakie jagniątko głupie, co się nie usuwało przed źrebicą, to cielę jakie, aż i wyminął wszystkich i koło kościoła, który stał osłonięty potężnym wałem lip żółknących i klonów, wjechał na szeroki gościniec obsadzony z obu stron ogromnemi topolami.

A że w kościele była msza święta, bo sygnaturka

przedzwoniła ofiarę i huczały przyciszonym głosem organy, zdjął kapelusz i westchnął pobożnie.

Droga była pusta i zasłana opadłym liściem tak obficie, że wyboje i głęboko powyrzynane koleiny pokryły się rdzawo złocistym kobiercem, pociętym gęstemi pręgami cieniów, jakie rzucały pnie topoli, bo słońce z boku świeciło.

— Wio, maluśka, wio! — Świsnął batem i źrebica przez kilka stajań poszła raźniej, ale potem opadła i wlekła się wolno, bo drogą choć nieznacznie, szła pod wzgórza, na których czerniały lasy.

Boryna, że go ta cisza mroczyła sennością, to poglądał przez kolumnadę topoli na pola, pławiące się w różowem, porankowem świętle, albo myśleć usiłował o sprawie z Jewką, to o granuli, ale nie mógł sobie dać rady, tak go śpik morzył...

Ptaszki ćwierkały w gałęziach, to czasem wiatr przegarnął leciuchnemi palcami po czubach drzew, że ino jaki taki listeczek, kieby motyl złoty odrywał się od maci, spadał kolisto na drogę abo i na zakurzone osty, co zaognionemi oczami kwiatów hardo patrzyły w słońce — a topole zagwarzyły, poszemrały zcicha gałązkami i pomilkły, kiej te kumy, co na podniesienie oczy podniesą, ręce rozłożą i westchną modlitewnie, a padną wnetki w proch przed majestatem ukrytym w tej złotej monstrancji, zawisłej nad ziemią świętą, nad rodzoną...

Dopiero pod lasem przecknął na dobre i wstrzymał konia.

— Wschodzi niezgorzej — szepnął, przyjrzawszy

się pod światło szarym zagonom, ordzawionym krótką szczotką wschodzącego żyta.

— Kawał pola, a przyległo do mojego, kieby kto z umysłu narządził. Żyto widzi mi się wczoraj posiały. — Ogarnął pożądliwem spojrzeniem zbronowane zagony, westchnął i wjechał w las.

Poganiał często konia, bo droga szła po równem i twardsza była, tylko gęsto przerośnięta korzeniami, na których wóz podskakiwał i turkotał.

Ale już nie drzemał, owiany surowym i chłodnym dechem lasu.

Bór był ogromny, stary — stał zbitą gęstwą w majestacie wieku i siły, drzewo przy drzewie, sama sosna prawie, a często dąb rosochaty i siwy ze starości, a czasem brzozy w białych koszulach, z rozplecionemi warkoczami żółtemi, że to jesień już była. Podlejsze krze jako leszczyna, to karłowata grabina, to osiczyna drżąca, tuliły się do czerwonych, potężnych pni tak zwartych koronami i poplątanych gałęziami, że ino gdzie niegdzie przedzierało się słońce i pełzało niby złote pająki po mchach i zielonych paprociach zrudziałych.

— Zawżdy mojego tu — są cztery morgi! — myślał i pożerał oczami las i już na oko wybierał co najlepszy. — Przeciech Pan Jezus nie da nas ukrzywdzić — abo i same się nie damy, nie... Dworowi widzi się dużo, a nam mało. Zarno... moje ze cztery, a Jagusine z morga... cztery i jedna... Wio! głupia, sroków się będzie bojała! — Trzepnął ją batem, bo na suszce, co dźwigała Bożą mękę, kłóciły się sroki tak zajadle, aż źrebica strzygła uszami i przystawała.

— Srokowe wesele — deszczu będzie wiele. — Przypiął parę batów źrebicy i jechał klusem.

Dobrze było już po ósmej, bo ludzie na polach siadali do śniadaniowych dwojaków, gdy wjeżdżał do Tymowa, na puste uliczki, obstawione pozapadanemi domostwami, co przysiadły niby stare przekupki nad rynsztokami pełnemi śmieci, kur, żydziąt obdartych i nierogacizny.

Zaraz na wjeździe obstąpili go żydzi i żydówki i nuż zaglądać do wasągu, macać pod grochowinami, pod siedzeniem, czy nie wiezie czego na sprzedanie.

— Poszły parchy! — mruknął, wjeżdżając na rynek, pod cień starych, poobdzieranych kasztanów, konających na środku placu, gdzie już stało kilkanaście wozów z wyprzęgniętemi końmi.

I swój wasąg tam umieścił, źrebicę wyłożył łbem do półkoszka, nasuł jej do kobiałki obroku, bat schował na dno, pod siedzenie otrzepał się ze słomy i ruszył prosto do Mordki, tam gdzie błyszczały trzy mosiężne talerze, aby się nieco przyogolić; wyszedł wkrótce czysto ostrugany i tylko z jednem zacięciem na brodzie, zalepionem papierem, przez który sączyła się krew.

Sądy nie były jeszcze zaczęte.

Ale przed domem sądowym, co stał zaraz w rynku, naprzeciw ogromnego poklasztornego kościoła, czekało już sporo narodu. Siedzieli na wydeptanych stopniach, to kupili się pod oknami i raz wraz zaglądali do środka, kobiety zaś przykucnęły pod bielonemi ścianami, opuściły czerwone zapaski z głów na ramiona i rajcowały.

Boryna, że dojrzał Jewkę z dzieckiem na ręku, sto-

jącą w gromadzie swoich świadków, to się zeźlił zarno, jako że skory był do złości, splunął i wszedł do sieni drugiej, biegnącej na przestrzał sądowego domostwa.

Po lewej stronie był sąd, a po prawej mieszkał sekretarz, bo jakoż właśnie Jacek wyniósł samowar przed sam próg i tak go rozdmuchiwał cholewą zawzięcie, że dymił niby komin fabryczny, a co chwila ostry, gniewny głos krzyczał z głębi zadymionej sieni:

— Jacek! buciki panienkom!

— Zaraz, zaraz!

Samowar już niby wulkan huczał i buchał płomieniami.

— Jacek! wodę panu do mycia.

— Dyć zara, zrobi się wszyćko, zrobi! — I spocony, nieprzytomny, ganiał po sieni, aż dudniło, powracał, dmuchał i znowu leciał, bo pani krzyczała:

— Jacek! kulfonie jeden, gdzie moje pończochy!...

— Ale! ścierwa nie samowar!

Trwało to wszystko dobrych parę pacierzy, abo i z koronkę, aż wreszcie drzwi sądowe się otwarły i naród począł napełniać dużą, wybieloną izbę.

Jacek, już teraz jako woźny, boso w modrych portkach i takimże lejbiku z mosiężnemi guzikami, z czerwoną, spoconą twarzą, którą raz wraz obcierał rękawem, uwijał się za czarnemi kratami, dzielącemi izbę na dwie połowy i rzucał łbem niby koń, kiej go giez ukąsi, bo płowe włosy spadały mu grzywą na oczy, to zaglądał ostrożnie do sąsiedniej stancji i potem siadał na chwilę pod zielonym piecem.

A narodu się nawaliło, że ani palca wetknąć i parli

4*

się coraz krzepciej na kraty, aż trzeszczały; gwar zrazu cichy podnosił się zwolna, szemrał, przewalał po izbie, huczał czasami, przechodził miejscami w kłótnię, że jakie takie mocne słowo padało coraz gęściej.

Żydzi szwargotali pod oknami, a jakieś baby na głos opowiadały swoje krzywdy i jeszcze głośniej popłakiwały, ale nie można było rozeznać kto i gdzie, bo ciasnota była i głowa przy głowie, jako ten zagon pełen maków czerwonych i kłosów żytnich, co go to wiater żenie, a on się zakolebie i gwarzy i szumi, a potem staje równo kłos przy kłosie. To znowuj Jewka, dojrzawszy Borynę, wspartego o kraty, jęła dogadywać i wykrzykiwać na niego, że zelżony odrzekł ostro:

— Zamilknij suko, bo ci gnatki porachuję, że rodzona nie pozna.

A na to Jewka rozsrożona nuż pazury wyciągać i drzeć się do niego przez gęstwę ludzką, aż jej chustka spadła z głowy i dzieciak się rozkrzyczał, że niewiada na czemby się skończyło, gdy naraz Jacek się zerwał, otworzył drzwi i krzyknął:

— Cichojta ścierwy, bo ano sąd idzie!...

Jakoż i sąd wszedł; najpierw gruby, wysoki dziedzic z Raciborowic, a za nim dwóch ławników i sekretarz, który usiadł przy bocznym stoliku pod oknem i rozkładał papiery a patrzył na sędziów, jak stanęli przy wielkim stole, okrytym czerwonem suknem i nałożyli złote łańcuchy na grube karki...

Cicho się zrobiło, że słychać było tych co na ulicy, pod oknami gwarzyli.

Dziedzic rozłożył papiery, chrząknął, spojrzał na

sekretarza i grubym, donośnym głosem oznajmił, że sądy się rozpoczynają.

Potem sekretarz przeczytał sprawy na dzień dzisiejszy, coś szepnął pierwszemu ławnikowi, ten oddał to sędziemu, który kiwnął głową potakująco.

Sądy się rozpoczęły.

Pierwsza szła sprawa ze skargi strażnika, na jakiegoś łyczka o nieporządki w podwórzu.

Skazany zaocznie.

Potem o pobicie chłopaka za wypasanie końmi koniczyny.

Pogodzili się. Matka dostała pięć rubli, a chłopak nowe portki i lejbik.

Sprawa o woranie się.

Odłożona z braku dowodów.

Sprawa o kradzież leśną, w borze sędziego; stawał rządca — oskarżeni chłopi z Rokicin.

Skazani na kary pieniężne lub odsiedzenie w areszcie po dwa tygodnie.

Nie przyjęli wyroku, pójdą do apelacji.

I tak głośno zaczęli wykrzykiwać na niesprawiedliwość, bo las był wspólny, serwitutowy, aż sędzia skinął na Jacka i ten zagrzmiał:

— Cichojta, cichojta, bo tu sąd nie karczma.

I tak szła sprawa za sprawą, kieby skiba za skibą, równo i dość spokojnie, czasem tylko podnosiły się skargi, abo chlipanie, abo i przekleństwo, ale te Jacek wnet przyciszał.

Z izby ubyło nieco ludzi, ale w ich miejsce przybyło tyle nowych, że stali zbici kieby w snop, że nikto

poruszyć się nie mógł i zrobił się taki gorąc, iż ani odetchnąć, aż sędzia polecił otworzyć okna.

Teraz szła sprawa Bartka Kozła z Lipiec o kradzież świni u Marcjanny Antonówny Pacześ. Świadkowie: taż Marcjanna, syn jej Szymon, Barbara Piesek i t. d.

— Świadkowie czy są? — zapytał ławnik.

— Jesteśmy! — zawołali chórem.

Boryna, który dotąd samotnie a cierpliwie stał przy kracie, przysunął się nieco do Paczesiowej przywitać, boć to była Dominikowa, matka Jagny.

— Oskarżony, Bartek Kozioł, bliżej, za kratę.

Niski chłop przepychał się ze środka tak gwałtownie, aż kląć poczęli, że depcze po kulasach i przyodziewek ozdziera.

— Cichojta ścierwy, bo prześwietny sąd mówi! — krzyknął Jacek, wpuszczając go.

— Wy Bartłomiej Kozioł?

Chłop drapał się frasobliwie po gęstych, równo obciętych włosach; głupowaty uśmiech skrzywiał mu suchą, wygoloną twarz, a małe rudawe oczki chytrze skakały po sędziach niby wiewiórki.

— Wy Bartłomiej Kozioł? — zapytał znowu sędzia, bo chłop milczał.

— Dyć jušci, onci Bartłomiej Kozioł, dopraszam się łaski prześwietnego sądu! — piszczała ogromna kobieta, wpychając się siłą za kraty.

— A wy czego?

— Dopraszam się łaski, a dyć ja żona tego chu-

dziaka Bartka Kozła — i kłaniała się ręką do ziemi, aż wyrurkowanym czepcem zawadzała o stół sędziowski.

— Świadkujecie?

— Niby to za świadka? ni, jeno dopraszam się...

— Woźny, wyrzuć ją za kratę.

— Wychodźta kobieto, bo nie la was tu miejsce...— Chwycił ją za ramiona i pchał zadem.

— Dopraszam się prześwietnego sądu, kiej mój ano nie dosłyszy na ten przykład... — krzyczała.

— Wychodźta póki po dobremu — i aż jęknęła, tak ją ciepnął na kratę, bo ani kroku po dobroci ustąpić nie chciała.

— Wyjdźcie, będziemy głośno mówili, to choć on Kozioł a usłyszy!

Zaczęło się wreszcie badanie.

— Jak się nazywacie!

— Hę?... a, przezywam?... Przeciech wołali mę, to niby wiedzieć wiedzą...

— Głupiś. Jak się nazywacie? — indagował nieubłaganie sędzia.

— Bartek Kozioł, prześwietny sądzie — rzuciła żona.

— Ile lat?

— Hę?... a, lat?... bo ja to pomnę! Matka, wiele to ja mam roków?...

— Pięćdziesiąt i dwa widzi mi się będzie na zwiesnę.

— Gospodarz?...

— I... trzy morgi piachu i ten jeden krowi ogon... sielny gospodarz.

— Był już karany?

— Hę?... karany?...

— Czy siedzieliście w kozie?

— To niby w kreminale?... karany?... Matka, byłem to w kreminale, hę?...

— A byłeś Bartku, byłeś, a to cię te ścierwy dworskie o to zdechłe jagniątko...

— Juści, juści... na paśniku znalazłem zdechłe jagnię... wzionem, co miały psy rozwłócyć... poskarżyły, przysięgły, com ukradł, sąd przysądził... wsadziły mę i siedziałem... Niesprawiedliwość jest ino, niesprawiedliwość... — mówił głucho i obzierał się nieznacznie na żonę.

— Oskarżeni jesteście o kradzież maciory Marcjannie Pacześ! Wzięliście ją z pola, zagnali do domu, zarznęli i zjedli! Co macie na swoją obronę?...

— Hę? Zjadłem! Żebym tak Boga przy skonaniu nie oglądał, że nie zjadłem... Moiściewy, zjadłem!... o świecie, świecie rodzony, ja zjadłem — wołał żałośnie.

— Cóż macie na swoją obronę?

— Obronę?... miałem to co rzec, matka?... Juści, baczę; nie winowatym, świni nie zjadłem a Marcjanna Dominikowa, na ten przykład, szczeka bele co kiej ten pies, że ino chycić za ten paskudny pysk a sprać... a...

— O ludzie, ludzie!... — jęknęła Dominikowa.

— To już sobie później zrobicie, a teraz mówcie, jakim sposobem świnia Paczesiowej znalazła się u was?...

— Świnia Paczesiowa... u mnie?... Matka, co to wielemożny dziedzic rzekli?...

— A dyć Bartku, to o tym prosiaku, co to za tobą przylazł do chałupy...

— Baczę, juści że baczę, bo prosiak to był a nie świnia żadna; dopraszam się łaski wielmożnego sądu, niech słyszą, com ano rzekł i przywtórzę; prosiak to był a nie świnia; białny prosiak a kiele ogona abo i zdziebko poniżej, czarnołaciaty.

— Dobrze, ale skąd się wziął u was?

— Niby u mnie?... Zarno wszyćko dokumętnie rzeknę, z czego się pokaże la prześwietnego sądu i la zgromadzonego narodu, co jestem niewinowaty a Dominikowa cygan jest baba, pleciuch i ozornica zapowietrzona!

— Ja cyganię! A dyć tej Najświętszej Panienki uproszę, żeby was pierun, bez świętej spowiedzi nie trzasnął! — rzekła cicho, z westchnieniem ciężkiem do obrazu Matki Boskiej, wiszącego w rogu izby, Dominikowa, a potem, że to już ścierpieć nie mogła, wyciągnęła zwiniętą, chudą pięść do niego i syknęła:

— Ty złodzieju świński, ty zbóju! ty!... — i rozczapierzyła palce, jakby go chycić chciała.

Ale Bartkowa rzuciła się do niej z krzykiem.

— Co, biłabyś go suko jedna, biłabyś czarownico, kacie synowski, ty!

— Uciszyć się — zawołał sędzia.

— Stulta pyski, kiej sąd mówi, bo waju wyciepnę na osobność! — poparł Jacek, podciągając parcianki, bo mu się był obertelek oberwał.

Uciszyło się zaraz, a baby, że to blisko było do

chwycenia się za łby, stały już cicho, ino się oczami jadły a wzdychały ze złości...

— Mówcie Bartłomieju, mówcie wszystko a prawdę.

— Prawdę?... Samą czystą kiej szkło prawdę rzeknę, rzetelnie powiem, kiej na spowiedzi, kiej gospodarz do gospodarzy, kiej swój do swojaków, bom gospodarz z dziada pradziada, a nie komornik, nie prefesjant jaki abo i jenszy miescki zdzier.

To tak było.

— Patrz dobrze w głowę, byś czegój nie przepomniał — radziła.

— Nie przepomnę Magduś, nie. To było tak. Szedłem se... a baczę, że to rychtyk zwiesna była... i za wilczym dołem, wedle Borynowej koniczyny... idę se i mówię pacierz, bo na ten przykład, przedzwonili już na Anioł Pański... nocka też szła... idę se... jaż tu słyszę: głos nie głos?... Loboga myślę se: chrząka i nie chrząka?... Oglądnąłem za się — niczegój nie widno, cicho całkiem.

Złe mę kusi, czy co?... Idę dalej i, że mę zdziebko mrówki oblazły ze strachu, mówię se pozdrowienie anielskie. Chrząka znowu! Cie, myślę sobie, nic jeno swynia to abo i zasie prosiak. Zlazłem zdziebko w bok, w koniczynę i obejrzałem się... juści że cosik lizie za mną, przystanąłem ja — przystanęło i to, a białne, niskie i długie... a ślepie świeciły się kiej u żbika abo zgoła u złego... Przeżegnałem się, a że i skóra mi ścierpła, tom ruszył lepszym krokiem — jakże, abo to wiadomo, co się po nocach tłu-

cze?... A wszyscy w lipcu wiedzą, co na wilczych dołach straszy.

— Juści że prawda, bo łoni kiej Sikora przechodził tam nocą, to go ułapiło za grdykę i rzuciło o ziemię, i tak zbiło, że chłop chorzał dwie niedziele — objaśniła żona.

— Cichoj Magduś, cichoj! Idę, idę, idę... a to fort lezie za mną i chrząka!

A że to był rychtyk miesiączek wylazł se na niebo, to patrzę a to ino prosiak, nie złe. Ozgniewałem się, bo co se ten głupi myśli, — straszyć, tom rzucił nań patykiem i idę ku domowi. Szedłem miedzą, między Michałowemi burakami a pszenicą Borynową, a potem między jarką Tomka a owsem tego Jaśka, co go łoni do wojska wzieni, a którego to kobieta akuratnie wczoraj zległa... Prosiak fort za mną kiej pies, to se idzie obok, to wlazł w kartofle Dominikowej i tu pysknie i tam pysknie, i chrząknie i kwiknie, a nieostaje, ino za mną...

Skręciłem na ścieżkę, co bieży na przełaj — ona za mną. Gorąco mi się zrobiło, bo laboga, taka świnia, co może nie świnia! Skręciłem na drogę wedle figury, prosiak za mną... Widziałem, białny był, a kiele ogona, poniżej ździebko, czarno łaciaty! Ja bez rów — ona za mną; ja na te mogiłki, co za figurą są — ona za mną, ja na kamionki, a ona kiej mi się nie rzuci pod kulasy — rymnąłem kiej długi. Opętana, czy co?... Ledwiem się pozbierał, a ona kiej nie zadrze ogona i wskok przede mną! A lećże se zapowietrzona, pomyślałem. Ale nie uciekła, ino wciąż przede mną, aż do samej chałupy — aż do samej chałupy prześwietny sądzie, aż w ogro-

dzenie weszła, aż do sieni wlazła, a że drzwi do izby były wywarte, to i do izby poszła... Tak mi Panie Boże dopomóż. Amen!

— A potem zarznęliście i zjedli, prawda? — rzekł sędzia rozbawiony.

— He! Zarznęli i zjedli?... A cośwa zrobić mieli? Przeszedł dzień — prosiak nie odchodzi; przeszedł tydzień — jest, ani jej wygonić, bo z kwikiem wraca!... Moja podtykała jej, co mogła, bo jakże głodem morzyć, Boże stworzenie też... Prześwietny sąd jest mądry, to sprawiedliwie se wymiarkuje, że com z nią biedny sierota miał zrobić? Niktoj po nią nie przychodzi, a w domu bieda — a żarła, że i dwie drugie tyle nie zechlają... Jeszcze z miesiąc, toby nas zeżarła i z bebechami... Co było radzić? miała ona nas — toświa my ją zjadły, a i to nie całą, bo na wsi się zwiedziały, a Dominikowa poskarżyła, przyszła ze sołtysem i zabrała wszyćko...

— Wszystko?... a cały zad to gdzie?... — syknęła złowrogo Dominikowa.

— Gdzie? Spytajta się Kruczka i drugich piesków. Wynieśliśmy na noc do stodółki. Psy, że to czujne psie pary, a wrota były dziurawe — wyciągnęły i bal se sprawiły moją krwawicą, że chodziły obżarte, kiej te dziedzice.

— Hale, świnia sama poszła za nim, głupi uwierzy, ale nie sąd. Złodziej jucha, a barana młynarzowi, a gęsi Dobrodziejowi — to kto pokradł, co?...

— Widziałaś, co? Widziałaś! — wrzasnęła Kozłowa, przyskakując z pazurami.

— A kartofle z organistowego dołu, to kto?...

A ciągiem cosik komuś we wsi ginie, to gąska, to kury, to sprzęt jaki — ciągnęła nieubłaganie.

— Ty ścierwo! Coś ty zrobiła za młodu a i co twoja Jagna teraz wyprawia z parobkami, to ci tego nikt nie wypomina, a ty kiej ten pies...

— Wara ci od Jagny! Wara, bo ci ten pysk tak spierę, że... Wara!... — ryknęła wielkim głosem ugodzona, jak w żywe mięso.

— Cichojta pyskacze, bo za drzwi wyciepnę! — uciszał Jacek, podciągając parcianek.

Zaczęło się przesłuchiwanie świadków.

Najpierwej świadczyła poszkodowana, Dominikowa — a zeznawała cichym, nabożnym głosem i przysięgała co chwila przed tą Częstochowską, jako świnia jej, i żegnała się i biła w piersi, że prawda jest, jako ją ukradł z pastwiska Kozioł, i nie żądała od prześwietnego sądu kary na niego, niech mu już tam Jezusiczek czyśca za to nie pożałuje, ale domagała się wielkim głosem sądu i kary za to, że tak spostponował ją i Jagnę wobec całego narodu.

Świadczył potem Szymek, syn Dominikowej; czapkę powiesił na rękach, złożonych jak do pacierza, oczów nie spuścił z sędziego i jękliwym, nieprzytomnym głosem zeznawał, że świnia była matczyna, że białna była cała a ino kiele ogona czarną łatę miała, a ucho rozerwane, bo ją był Łapa Borynowy chycił na zwiesnę, a tak kwiczała, że chociaż w stodółce był — usłyszał...

Potem zawezwano Marcjannę Piesek i innych.

Świadczyli po kolei i przysięgali, a Szymek wciąż stał z czapką na rękach, wpatrzony pobożnie w sędziego,

a Kozłowa darła się za kratę z krzykiem zaprzeczań i złorzeczeń, a Dominikowa ino wzdychała do obrazu a poglądała na Kozła, który skakał oczami, nasłuchiwał a obzierał się na swoją Magdusię.

Naród słuchał uważnie i raz wraz szmer, to uwagi złośliwe albo śmiech się rozległ głuchy pod powałą, aż Jacek musiał przyciszać groźbą.

Sprawa ciągnęła się długo, aż do przerwy, w której sąd poszedł do sąsiedniej izby na naradę, a naród wysypał się do sieni i przed dom odetchnąć nieco: kto pojeść zdziebko, kto ze swoimi świadkami się zmówić, kto wywodzić krzywdy swoje, a jenszy znowuj wyrzekać na niesprawiedliwość a pomstować — jak to zwyczajnie bywa na rokach.

Po przerwie i odczytaniu wyroków, przyszła na stół sprawa Boryny.

Jewka stanęła przed sądem i pohuśtując dziecko, obwinięte w zapaskę, jęła płaczliwie wywodzić krzywdy swoje i żale; jako służyła u Boryny i pracowała, jaże jej kulasy ustawały, a nigdy dobrego słowa nie usłyszała, kąta nie miała na spanie ani jadła dość, że się u sąsiadów pożywiać musiała, a potem zasług nie zapłacił i z jego własnem dzieckiem wygnał ją w cały świat... buchnęła wkońcu ogromnym płaczem i rzuciła się na kolana przed sędziami z krzykiem.

— Krzywda to moja, krzywda! a dzieciak jego, prześwietny sądzie!

— Cygani jak ten pies — mruknął Boryna ze zgrozą.

— Ja cyganię?! A dyć wszystkie, a dyć całe Lipce wiedzą, że...

— Żeś suka i latawiec...

— Wielmożny sądzie, a przódzi to mi ino mówili: Jewka, Jewuś i jeszcze słodziej, a to mi paciorki przywieźli, a to często gęsto bułkę z miasta i mówili: naści Jewuś, naści boś mi najmilejsza... a teraz, o mój Jezu, mój Jezu!... — poczęła ryczeć...

— Cygan jucha, możem cię jeszcze pierzyną przyodział i mówił: śpij se Jewuś, śpij!...

Izba zatrzęsła się śmiechem.

— Abo nie, co? Abośta nie skłamali, jako ten pies przed drzwiami, abośta mało obiecowali, co?

— Loboga ludzie, że to pierun nie zabije taką pokrakę? — zakrzyknął zdumiony.

— Wielmożny sądzie, cały świat wiedział, jak to było, całe Lipce mogą poświadczyć, co prawdę mówię. Służyłam u nich, to mi cięgiem spokoju nie dawał. O biedna ja sierota, biedna... O dola moja nieszczęśliwa... A botom się mogła obronić przed tylim chłopem?... Krzyczałam, to mę sprał i zrobił co chciał... A gdzież ja się podzieję z tem dzieciąteczkiem, gdzie?... Świadki powiedzą i przyświadczą! — wołała wśród płaczu i krzyków.

Ale świadkowie w rzeczywistości nic nie zeznali, prócz plotek i domysłów, więc znowu jęła dowodzić i przekonywać, aż wkońcu jako ostatni dowód, rozpowiła dziecko i położyła je przed sędziami; dziecko wierzgało nagiemi nóżkami i krzyczało w niebogłosy.

— Wielmożny sąd sam obaczy, czyje ono; o ten

ci sam nos kiej kartofel, te same bure ślepie i kaprawe... Kropla w kroplę nikt jenszy, jeno Boryna!... — wołała...

Ale już i sąd nie mógł powstrzymać się od śmiechu, a naród aż huczał z uciechy, przyglądali się dziecku, to Borynie i raz wraz ktoś powiedział:

— To ci pannica, kiej ten pies odarty ze skóry!

— Boryna wdowiec, ożeniłby się z nią a chłopak zdałby się do pasionki...

— Lenieje ci ona, kiej krowa na zwiesnę.

— A urodna! jeno grochowinami przytrząść i w proso wsadzić — wszystkie gapy uciekną...

— Już i tak psy uciekają, kiej Jewusia bez wieś idzie!...

— A gębusię ci ma, kiej pomyjami wymalowana...

— Bo gospodarna, raz w rok się myje, coby na mydło nie wydawać...

— Żydom w piecach pali, czasu nie ma, to i nie dziwota!...

Dogadywali coraz złośliwiej i okrutniej, a ona zmilkła i nieprzytomnemi oczami psa zgonionego patrzyła po ludziach i ważyła coś w sobie...

— Cichojta! To grzych tak się naśmiewać nad biedotą! — krzyknęła Dominikowa tak mocno, aż pomilkli i jaki taki drapał się po łbie ze wstydu.

Sprawa skończyła się na niczem.

Boryna poczuł niezmierną ulgę, co chociaż nie był winien, ale zawżdy bojał się ludzkiego obmówiska, no i tego, że przysądzić mogą, by płacił — bo prawo, jušci jest ci takie, że nikiej nie wiada, kogo za łeb chyci,

winowatego czy sprawiedliwego. Bywało już tak nie raz, nie dwa, nie dziesięć... bywało.

Wyszedł zaraz ze sądu i czekając na Dominikową, jął medytować i rozważać w sobie całą tę sprawę. Nie mógł zrozumieć poco i dlaczego skarżyła?

— Ni, to nie jej rozum i głowa, to jenszy, ktoś drugi przez nią sięga, ale kto?...

Poszli z Dominikową i z Szymkiem do karczmy, napić się i przegryźć coś niecoś, bo było już dobrze po południu i chociaż mu Dominikowa napomykała zlekka, że cała ta Jewczyna sprawa, to musi być robota kowala, zięcia jego, nie mógł uwierzyć.

— Coby mu z tego przyszło?

— Tyla, żeby was pokłyśnić a podać na pośmiewisko i umartwienie. Drugi człowiek jest taki, że z jenszego la samej uciechy pasyby darł.

— Dziwno mi tej zawziętości Jewczynej! Bom nie ukrzywdził w niczem, a jeszczem za chrzest tego jej bękarta dał dobrodziejowi worek owsa...

— Służy ona u młynarza, a ten w kompanji z kowalem chodzi... miarkujcie!...

— Miarkuję, ino że nic rozeznać nie mogę! Napijwa się jeszcze!

— Bóg zapłać, pijcie przódzi Macieju!

Napili się raz i drugi, zjedli drugi funt kiełbasy z pół bochenkiem chleba, stary kupił rządek bułek dla Józi i zabierali się do powrotu.

— Siadajcie Dominikowa ze mną, ckno samemu, pogwarzym...

— A dobrze, ino skoczę jeszcze do klasztoru zmówić pacierz.

Poszła ale w dobre dwa pacierze już była z powrotem i zaraz pojechali.

Szymek wlókł się za nimi wolno, bo w jedną szkapę i piachy były srogie, ale rozebrało go nieco, że to nie był zwyczajny picia i oszołomiony sądem, to się ino kiwał sennie w półkoszkach i raz wraz przecykając, zdzierał czapkę ze łba, żegnał się nabożnie i wpatrzony nieprzytomnie w ogon szkapy, jakoby w dziedzicową twarz na sądzie, mamrotał: ...świnia matczyna, białna cała, a ino kiele ogona czarną łatę miała...

Słońce się już było przetaczało ku zachodowi, gdy wjechali w las.

Mało wiele pogadywali, choć siedzieli wpodle siebie na przedniem siedzeniu.

Czasem któreś zagadnęło jakiemś słowem, że to nieobycznie siedzieć jak te mruki, ale ino tyla tego było, żeby śpik nie morzył i język nie zasechł...

Boryna poganiał źróbkę, bo wolniła, że to już do pół boków spotniała z umęczenia i gorąca, czasem pogwizdywał a milczał, i coś żuł, coś ważył w sobie, coś kalkulował i często a niewidnie poglądał na starą, na jej suchą kieby z blichowanego wosku twarz, całą w podłużnych brózdach zastygłą — poruszała bezzębnemi wargami, jakby się modliła pocichu; czasem pociągała czerwoną zapaskę barzej na czoło, bo słońce świeciło prosto w oczy i siedziała nieruchomo, ino jej bure oczy gorzały.

— Wykopaliście ta już, co? — zagadnął wreszcie.

— A juści. Obrodziły latoś niezgorzej.

— Przychować będzie wama łacniej.

— Wsadziłam też wieprzka do karmika, bo w zapusty może się zdać...

— Pewnie, pewnie... — mówiły, że Walek Rafałów przysyłał z wódką?...

— Nie on jeden, nie... ale po próżnicy ino grosz tracą... nie la takich Jaguś moja, nie.

Podniosła głowę i jastrzębiemi oczami wpiła się w niego, ale Boryna, że człek był w latach, nie wicher żaden, to twarz pokazał zimną i spokojną nie do rozeznania. Długo nie rzekli ni słowa, jakby się tą niemotą mocując ze sobą.

Borynie nijako było zaczynać pierwszemu, bo jakże, w latach już był i gospodarz na całe Lipce pierwszy; no i mógłbo zasię tak prosto rzec, co mu się Jaguś udała?... Honor przeciech swój miał i pomyślenie — ale, że krwie gorącej był z przyrodzenia, to aże go złość porywała, że musi tak baczyć na siebie, tak kołować a zabiegać.

Dominikowa przezierała go coś niecoś i miarkowała zasię, co go tak markoci i rozbiera, ale ni słówkiem nie pomogła, ino raz wraz poglądała nań ,to w ten świat i te dalekości niebieskie, aż i rzekła niechcący:

— Gorąc ci taki, kieby we żniwa.

— Rzekliście.

Jakoż i tak było, bo drogę otaczały potężne ściany boru, że żaden wiater ni przewiew nijaki nie przedzierał się z pól, a słońce wisiało prosto nad głowami i tak dogrzewało, że rozprażone drzewa stały bez ruchu

i omdlałe czuby pochylały nad drogą i tylko raz wraz puszczały bursztynowe igliwo, co kołujący spływało na drogę. Grzybny zapach bajorów i liścia dębowego aż wiercił w nozdrzach.

— Wiecie, dziwno to mnie a i drugim, że taki gospodarz, co to i pomyślenie nie bele jakie ma i gruntu tela i posłuch u narodu — kiej wy na ten przykład, a do urzędu ambitu nie macie...

— Utrafiliście, że ambitu nijakiego nie mam. Co mi po tem? Sołtysem byłem bez trzy roki — tom dopłacił gotowym groszem. A com namarnował siebie i konisków! com się nakłyśnił i nabiegał — że i ten pies polowy nie więcej... A upadek w gospodarstwie był i marnacja, że jaże mi moja nie dała dobrego słowa...

— Miała i ona swój rozum. Urzędnikiem być zawżdy to i honor jest i profit.

— Bóg zapłać. Strażnikowi się kłaniaj, pisarza cbłapiaj za nogi i bele ciaracha co z urzędu — też... Wielgi mi honor! Nie płacą podatków, most się popsowa, wścieknie się pies, który weźmie kłonicą po łbie — kto winowaty?... Sołtys winowaty, do śtrafu sołtysa ściągają! Hale jest profit! Dosyć ja pisarzowi i do powiatu nanosił i kur, i jajków, i gąskę niektórą...

— Prawdę mówicie, ale Pietrkowi wójtostwo do grdyki nie wraca, nie; gruntu już dokupił i stodółkę dostawił i konie ma kiej te hamany!...

— Juści, ino niewiada, co mu z tego ostanie, kiej się urząd skończy...

— Myślicie...

— Oczy swoje mam i miarkuję se zdziebko...

— Dufny ci on w siebie i z dobrodziejem koty drze.

— A że mu się darzy, to ino bez kobietę; on se wójtuje a ona w garści wszyćko dzierży.

Milczeli znowu z pacierz dobry.

— A wy to nie poślecie z wódką do której?... — zapytała ostrożnie.

— I... nie biorą mę już ciągotki do kobiet, za starym...

— Nie powiadajcie po próżnicy! Ino ten stary, co się ruchać nie może, łyżki sam do gęby nie doniesie i na przypiecku se dochodzi... Widziałam, kiejście worek żyta nieśli.

— Juści żem w sobie krzepki jeszcze, ale którаby ta poszła za mnie?...

— Które nie probant — co wie? Obaczycie!

— Starym, dzieci dorastają... a pierwszej z brzegu nie wezmę...

— Zróbcie ino zapis a i co najpierwsze się wama nie sprzeciwią...

— La zapisu! Kiej te świnie! Za tę morgę, to i młódka najczystsza a pójdzie, choćby za dziada z pod kościoła...

— A chłopy to za wianem nie patrzą, co?

Nie odrzekł już, jeno skropił batem źrebicę, że ruszyła z miejsca galopem.

Milczeli długo.

Dopiero gdy wyjechali z lasu na pola, między przydrożne topole, Boryna, który cały ten czas burzył się w sobie i przegryzał, wybuchnął:

— Na psy takie urządzenie we świecie! Za wszystko płać, choćby i za to dobre słowo! Źle jest, że i gorzej być nie było. Już nawet dzieci na ojców nastają, posłuchu niema nijakiego, a wszystkie się źrą ze sobą kiej psy.

— Bo głupie, nie baczą, że wszystkich jednako ta święta ziemia pokryje.

— Leda jeden abo drugi od ziemi odrósł, a już do ojców z pyskiem, coby mu jego część dawali. Ze starszych się ino prześmiewają! Ścierwy, we wsi im ciasno, porządki stare im złe, ubieru nawet wstydzą się niektórzy!

— To wszystko bez to, że Boga się nie boją...

— Bez to i nie bez to, a źle jest.

— Nie idzie na lepsze, nie.

— Ma iść, kto ich ta zniewoli?

— Kara Boska! Bo przyjdzie ta godzina sądu Panajezusowego, przyjdzie.

— Ale co się przódzi narodu namarnuje, tego nikt nie odbierze.

— Czasy takie, że lepiej, coby mór przyszedł.

— Czasy! Juści, ale i ludzie są winne. A kowal to co? A wójt? Z dobrodziejem się drą, ludzi buntują a tumanią, a głupie wierzą.

— Ten kowal, to moja trucizna, chociaż i zięć też...

I tak se już społecznie wyrzekali na ten świat, poglądając na wieś, co była już coraz bliżej widna, przez topole.

Pod smętarzem czerwienił się już zdala rząd kobiet

pochylonych i zasnutych delikatną mgłą dymów, a wkrótce i głuchy, monotonny trzepot miądlic jął raz wraz dopływać z powiewem, co się był podnosił z nizinnych łąk.

— Dobry czas na miądlenie. Zlezę przy nich, bo jest tam i Jaguś moja.

— Nic mi z drogi to was podwiezę...

— Dobrzyście Macieju, że jaże mi dziwno... — Uśmiechnęła się chytrze.

Skręcił z topolowej na polną dróżkę, co biegła do smętarnych wrótni, i podwiózł pod smętarz, gdzie pod kamiennym szarym płotem, w cieniu brzóz, klonów i tych krzyżów, co się z mogiłek pochylały ku polom, kilkanaście kobiet miądliło zawzięcie suchy len, aż mgła pyłów wisiała nad niemi i długie włókna czepiały się żółtych listków brzóz i wisiały u czarnych ramion krzyżów; wpodle, na prętach rozpiętych, nad dołami, w których paliły się ognie, przesuszano len mokrawy jeszcze.

Miądlice ostro kłapały, aż cały rząd kobiet pochylał się ciągle w krótkich a prędkich drganiach i tylko coraz któraś się prostowała, roztrzepywała przygarść lnu z ostatnich paździerzy, zwijała ją w kukłę libo w chochoła i rzucała na rozpostartą płachtę przed siebie.

Słońce, że się już było przetoczyło nad lasy, świeciło im prosto w twarze, ale nic to — robota, śmiechy, wesołe słowa nie ustawały ani na to oczymgnienie.

— Szczęść Boże na robotę! — zawołał Boryna do Jagny, która miądliła skraja zarno; w koszuli była ino, a w czerwonym wełniaku i w chustce na głowie od kurzu.

— Bóg zapłać! — odrzuciła wesoło i modre,

ogromne oczy podniosła na niego i uśmiech przeleciał przez jej urodną, opaloną twarz.

— Suchy, córuchno, co? — pytała stara, obmacując obmiądlone garście.

— Suchy kiej pieprz, jaże się łamie... — Znowu spojrzała na starego z uśmiechem, aż ciarki przeszły po nim, że świsnął batem i odjechał, ale raz wraz się obracał za nią, choć już widna nie była, bo mu jak żywa stała w oczach...

— Dzieucha kiej łania... W sam raz — rozmyślał.

IV.

Była niedziela — cichy, opajęczony i przesłoneczniony dzień wrześniowy.

Na ściernisku, tuż za stodołami, pas się dzisiaj cały inwentarz Borynowy, a pod brogiem wysokim i pękatym, okrążonym zieloną szczotką żyta, wykruszonego przy układaniu, leżał Kuba, dawał baczenie na inwentarz i uczył pacierza Witka; często pokrzykiwał na niego albo i zasie szturchał biczyskiem, bo chłopak mylił się i latał oczami po sadach.

— Bacz coć rzekłem, bo to pacierz — upominał poważnie.

— Dyć baczę, Kuba, baczę.

— To czegój ślepiasz po sadach?

— Widzi mi się, co są jeszcze jabłka u Kłębów...

— Zjadłbyś! a sadziłeś je to, co? Powtórz »Wierzę«.

— Wyście też nie wywiedli kuropatwów, a wzieniście całe stado.

— Głupiś! Jabłka są Kłąbowe, a ptaszki Panajezusowe, rozumiesz!

— Aleście je wzieni z dziedzicowego pola...

— I pole jest Panajezusowe. Hale, jaki mądrala, powtórz »Wierzę«.

Powtarzał prędko, bo go już kolana bolały od klęczenia, ale nie ścierpiał...

— Widzi mi się, co źróbka idzie w Michałową koniczynę — krzyknął gotowy do biegnięcia.

— Nie bój się o źróbkę a patrz pacierza...

Kończył wreszcie ale już nie mógł wytrzymać, przysiadał na piętach, wykręcał się na wszystkie strony, a zoczywszy bandę wróbli na śliwkach, śmignął w nie grudką ziemi i śpiesznie bił się w piersi.

— A ochfiarowanie to zjadłeś kiej ulęgałkę, co?

Powiedział ochfiarowanie i z wielką ulgą wziął się do śpiącego Łapy i jął z nim baraszkować.

— Ale, gził się ciegiem będzie, kiej ten cielak głupi.

— Poniesiecie dobrodziejowi ptaszki?

— Poniesę...

— Spieklibym w polu.

— Spiecz se ziemniaków. Co mu się zachciewa!

— Idą już do kościoła — zawołał Witek, spostrzegając przez płoty i drzewa migające czerwone zapaski na drodze.

Słońce przygrzewało niezgorzej, że wszystkie okna i drzwi chałup powywierano na przestrzał; gdzie nie-

gdzie, pod przyzbami, myto się jeszcze, gdzie znowu czesano i zapletano warkocze, gdzie wytrzepywano świąteczne szmaty zmięte całotygodniowem leżeniem w skrzyniach, gdzie już wychodzono na drogę, że raz wraz niby maki czerwone, niby georginje żółte, co dokwitały pod ścianami, libo te nagietki i nasturcje — tak szły kobiety strojne, szły dziewczyny, szli parobcy, szły dzieci, szli gospodarze w białych kapotach, podobni do ogromnych żytnich snopów, a wszyscy dążyli wolno ku kościołowi, drogami nad stawem, któren niby misa złota odbijał w sobie słońce, aż oczy raziło.

A dzwony wciąż biły radosnym głosem niedzieli, odpocznienia, modlitwy.

Kuba czekał, aż przedzwonią, ale że nie mógł się doczekać, schował pęk ptaków pod kapotę i rzekł:

— Witek, jak wydzwonią, spędź bydło na obór i przychodź do kościoła.

Ruszył ile mógł rychło, bo kulał srodze, dróżką biegnącą pod ogrodami, a tak zasłaną żółtym liściem topoli, że szedł kieby po szafranowym kilimie.

Plebanja stała naprost kościoła, przedzielona tylko odeń drogą, w głębi wielkiego ogrodu, pełnego jeszcze gruszek zielonych i jabłek rumianych.

Przed gankiem, obrośniętym w poczerwieniałe wino, Kuba się zatrzymał bezradnie, spozierając nieśmiało w okna i w sień powywierane na oścież; a że wejść nie śmiał, cofnął się pod wielki kląb, pełen róż, lewkonij i astrów, od których bił słodki, upajający zapach; stado białych gołębi łaziło po zielonym, omszonym dachu i sfruwało na ganek.

Ksiądz chodził po ogrodzie z brewjarzem w ręku, ale raz wraz potrząsał gruszą to jabłonką, że słychać było ciężkie pacanie owoców o ziemię, pozbierał je w połę sutanny i niósł do domu.

Kuba zastąpił mu drogę i pokornie podjął za kolana.

— Cóż to powiecie? Aha... Kuba Borynowy.

— Juści... dyć parę kuropatków dobrodziejowi przyniosłem.

— Bóg ci zapłać. Chodź za mną.

Kuba wszedł ino do sieni i ostał przy progu, bo nijak nie śmiał wejść na pokoje, poglądał tyla co przez drzwi otwarte na obrazy wiszące po ścianach i przeżegnał się pobożnie i westchnął, a tak się czuł olśniony temi ślicznościami, że aże łzy miał w oczach i koniecznie chciało mu się zmówić pacierz, jeno że się bojał klęknąć na błyszczącej, śliskiej posadzce, żeby jej nie powalać.

Ale i ksiądz zaraz wyszedł z pokojów, dał mu złotówkę i rzekł:

— Bóg ci zapłać Kuba, dobry z ciebie człowiek i pobożny, bo co niedziela chodzisz do kościoła

Kuba podjął go za nogi, ale był tak ogłuszony radością, że ani wiedział, kiedy znalazł się na drodze...

— Cie, za te parę ptaszków a tylachna pieniędzy! Dobrodziej kochany! — szeptał, przyglądając się pieniądzowi. Nieraz ci on nosił dobrodziejowi różne ptaszki, to zajączka, to grzybków, ale nigdy jeszcze tyla nie dostał; co najwyżej to dziesiątkę abo i to dobre słowo... A dzisiaj!... Jezu mój kochany! Całą złotówkę i na pokoje go wołał i tyla dobrości mu powiedział... Jezus! Aże

za grdykę go coś ułapiło i łzy same leciały mu z oczów, a w sercu poczuł taką gorącość, jakby mu kto zarzewia nasuł za pazuchę...

— Ino jeden ksiądz uszanuje człowieka, ino on jeden!... Niech ci Bóg da zdrowie i ta Panienka Częstochowska... Dobry z ciebie pan, dobry!... Boć cała wieś i parobki i gospodarze i wszystkie, to ino go kulasem przezywali, a niezgółą, a darmozjadem a nikto dobrego słowa nigdy nie dał, nikto nie pożałował — chyba ino te koniska abo i te pieski... a przecież rodowy był... gospodarski syn... nie znajda żaden... nie obieżyświat a chrześcijan prawy, katolik...

Podnosił głowę coraz wyżej i coraz bardziej, prostował się, jak mógł i z góry, wyzywająco prawie patrzał na świat, na ludzi wchodzących na smętarz i na te konie, co stały pod murem przy wozach; nadział czapę na skołtunioną głowę i wolno, godnie ruszył do kościoła, jak gospodarz jaki, zatykając ręce za pas i tak zamiatając krzywą nogą, że kurzawa za nim wstawała.

Nie, nie ostał dzisiaj w kruchcie jak zawdy, jak przystało la niego, jeno się mocno jął przepychać przez ciżbę i parł prosto aż przed wielki ołtarz, aż tam, gdzie stawały same gospodarze, gdzie stojał Boryna i wójt sam; kaj stawały te, co nosiły baldach nad dobrodziejem abo i te, co ze świecami kiej kłonice trzymali straż przy ołtarzu w czas podniesienia.

Patrzyli na niego ze zdumieniem i zgrozą a często gęsto usłyszał przykre słowo i odebrał takie spojrzenie, jako ten pies, któren się tam ciśnie, gdzie go nie wołają. Ale Kuba nic sobie z tego dzisiaj nie robił; ści-

skał w garści pieniądz a duszę miał pełną słodkości i dobroci, jakoby po spowiedzi się czuł abo zasie i lepiej.

Zaczęło się nabożeństwo.

Uklęknął przy samej kracie i śpiewał z innymi zapatrzony pobożnie w ołtarz, gdzie u góry był Bóg Ociec, siwy Pan i srogi, rychtyk podobny do dziedzica z Drzazgowej Woli, a w pośrodku sama Częstochowska w złocistem obleczeniu patrzyła na niego... a wszędy lśniła się pozłota, jarzyły się świece i stały bukiety papierowych czerwonych kwiatów... a ze ścian i z okien kolorowych wychylały się złote obręcze i święte, surowe twarze, i smugi złota, purpury, fioletu, niby tęcza padały na jego twarz i głowę, całkiem jakby się unurzał w stawie przed zachodem, kiedy słońce bije w wodę. I poczuł się jakoby w niebie w tych ślicznościach, że ruchać się nie śmiał, ino klęczał wpatrzony w czarniawą, słodką matczyną twarz Częstochowskiej, ino mówił pacierz za pacierzem spieczonemi wargami, a potem ino śpiewał tak żarliwie, tak ze wszystkich sił duszy wierzącej, tak sercem pełnem ekstazy, że jego zaschły, skrzypiący głos rozlegał się najdonośniej.

— Beczycie Kuba kiej ta koza żydowska! — szepnął mu ktoś z boku.

— La Pana Jezusa i tej Panienki... — mruknął, przerywając, bo się kościół uciszył. Ksiądz wszedł na ambonę, i wszyscy zadarli głowy i wpatrywali się w dobrodzieja, któren w białej komży pochylił się nad narodem i czytał ewangelję — a światła i farby biły na niego z okien, że widział się wszystkim, jako ten anioł płynący na tęczy... Ksiądz mówił długo i tak mocno, że jaki taki

westchnął skruszonem sercem, niejednemu łzy pociekły, a któren znów zasie spuszczał oczy i kajał się w sumieniu — i obiecywał poprawę... A Kuba patrzył w dobrodzieja jak w obraz święty, i aż mu dziwno było, że to ten sam dobry pan, co mówił do niego i dał mu złotówkę — bo teraz wyglądał jak archanioł na ognistym wozie brzasków, twarz mu pobladła, oczy ciskały błyskawice, gdy zaczął podnosić głos i wypominać narodowi grzechy wszelkie, a skąpstwo, a pijaństwo, a rozpustę, a czynienie szkód, nieszanowanie starszych, bezbożność! I wołał wielkim głosem o upamiętanie się, błagał, zaklinał, prosił — aż Kuba nie wytrzymał i jął się trząść w sobie z winy tych wszystkich grzechów, z żalów, ze skruchy i ryknął głośnym płaczem a za nim naród cały: kobiety, gospodarze nawet, że płacz się uczynił w kościele, chlipanie, wycieranie nosów, a gdy ksiądz z pokutną modlitwą zwrócił się do ołtarza i padł na kolana. I jęk przeleciał kościół i naród, jak las przygięty wichurą, runął twarzami na podłogę, aż kurz się podniósł i niby obłokiem osłonił te serca skruszone i łzami, westchnieniami, krzykiem wołające do Pana o zmiłowanie.

A potem cichość zapadła, cichość rozmodlenia i serdecznej rozmowy z Panem, bo zaczęła się suma; organy huczały zgłuszonym, pokornym a głębokim głosem, aż dusza Kuby zamierała z lubości i szczęścia nieopowiedzianego...

A potem głos księdza podnosił się znagła od ołtarza i płynął nad pochylonemi głowami strugą brzmień przenikających i świętych; to dzwonki krótką salwą

dźwięczały, to dymy kadzideł biły pachnącemi słupami i niby obokiem pokrywały klęczących i rozmodlonych, a Kubę napełniały taką rozkoszą, że wzdychał ino, rozkładał ręce, bił się w piersi i zamierał z tej słodkiej niemocy, a szmery modlitw, westchnienia, nagłe wykrzyki, i jęki gdzie niegdzie, gorące oddechy, światła, dymy, głos organów — zatapiały go jakoby w świętym śnie, jakoby w zapamiętaniu.

— Jezus! Jezus mój kochany! — szeptał olśniony i nieprzytomny, a złotówkę mocno dzierżył w garści, bo gdy po podniesieniu Jambroży zaczął obchodzić z tacką i pobrzękiwać, by słyszeli, że zbiera na światło, Kuba powstał, rzucił mocno pieniądz i długo, jako że tak czynili gospodarze, wybierał sobie reszty dwadzieścia i sześć groszy.

— Bóg zapłać — usłyszał z lubością.

I kiedy roznosili świece, bo nabożeństwo było z wystawieniem i procesją, Kuba wyciągnął śmiało rękę i chociaż okrutnie chciało mu się wziąć całą — wzion jednako najmniejszą, ogarek prawie, bo spotkał się z surowym, karcącym wzrokiem Dominikowej, co stała wpodle niego z Jagusią — zapalił ją wnet, bo już i ksiądz ujął monstrancję, obrócił się z nią do ludu, że padli na twarz. Zaintonował pieśń i schodził wolno po stopniach ołtarza w ulicę znagła uczynioną z głów rozśpiewanych, świateł płonących, barw ostrych i głosów jękliwych; procesja ruszyła, organy huknęły potężnie, dzwonki poczęły rytmicznie dzwonić, lud pochwycił wtór i śpiewał jednym ogromnym głosem wiary; a przodem ciżby, w skrętach rozchwianych świateł, migotał srebrny krzyż, kołysały

się niesione feretrony całe w tiulach, a kwiatach i koronach szychowych, a już we drzwiach wielkich, któremi przez obłoki dymów kadzielnych buchało słońce, rozwijały się na wietrze pochylone chorągwie i niby ptaki purpurowe i zielone, łopotały skrzydłami.

Procesja obchodziła kościół.

Kuba osłaniał dłonią świecę i trzymał się uparcie tuż przy księdzu, nad którym Boryna, i kowal, i wójt, i Tomek Kłąb, nieśli czerwony baldachim, a z pod niego promieniała monstrancja złota i tak była cała w ogniach słońca, że przez środek szklany widać było bladą, przeźroczystą Hostję świętą.

Tak był nieprzytomny, że raz wraz się potykał i nadeptywał drugim na nogi.

— Uważaj niedojdo!

— Pokraka, kulas jeden! — rzucali mu, poszturchując nierzadko.

Nie słyszał nic z tego; śpiew ludu brzmiał potężnym głosem, podnosił się jak słup, jak fala zda się płynął i bił w słońce blade; dzwony huczały nieustannie śpiżowemi ustami, aż trzęsły się lipy i klony, i raz wraz jakiś czerwony liść odrywał się niby ptak spłoszony, spadał na głowy, a wysoko, wysoko nad procesją, nad czubami drzew pochylonych, nad wieżą kościoła krążyło stado gołębi zestraszonych...

. . . .

A po nabożeństwie naród wysypał się na smętarz przykościelny; wyszedł i z innymi Kuba, ale się dzisiaj nie śpieszył do domu, chociaż wiedział, że będzie na obiad mięso z tej dorzniętej krowy — nie, postawał, po-

gadywał ze znajomkami a przysuwał się do swoich gospodarzy, bo i Antek z żoną stojali w kupie z drugimi i poredzali jak to w niedzielę po sumie zwyczajnie.

A w drugiej gromadzie, co się już była skupiła za wrotniami na drodze, rej wodził kowal, duży chłop, ubrany już całkiem z miejska, bo w czarnej kapocie pokapanej woskiem na plecach i w granatowym kaszkiecie, spodnie miał na buty i srebrną dewizkę na kamizelce; twarz miał czerwoną i rude wąsy i włosy pokręcone; rajcował donośnie a pośmiewał się, że aż rechotał, bo wykpis to był na całą wieś, że niech Bóg broni dostać mu się na jęzor. Boryna ino strzygł oczami ku niemu, a nadsłuchiwał, bo się bojał jego gadania, że to nawet rodzonemu kowal nie przepuścił, a cóż dopiero teści, z którym był w wojnie o wiano żonine — ale nie wymiarkował, bo mu się nawinęły pod oczy Dominikowa z Jagną, wychodzące z kościoła. Szły wolno, jako że i gęsto było narodu na smętarzu, i, że się witały to z tym, to z owym i pogadywały słowem niektórem, bo chociaż wszystkie były sobie znajome a pokumane i powinowate i z wsie jednej, że często ino bez płot libo o miedzę siedzieli — a zawżdy pogwarzyć przed kościołem miło jest i potrzeba... Dominikowa rozwodziła się cichym, nabożnym głosem o dobrodzieju, a Jagna rozglądała się po ludziach, jako że wzrostem równa była i chłopom najroślejszym, a strojna dzisiaj była, że aż oczy rwała parobków, co się w kupę zbili przed wrótniami, na drodze, kurzyli papierosy i szczerzyli do niej zęby. Bo i urodna była i strojna i takiej postury, że i drugiej dziedzicównie z nią się nie mierzyć.

Dziewuchy ano i kobiety żeniate, przechodzący mimo, spozierały na nią z zazdrością, abo i zgoła przystawały wpodle, aby nasycić oczy tym jej wełniakiem pasiastym i sutym, co jak tęczą mazurską mienił się na niej, to na jej czarne trzewiki wysokie, zasznurowane aż po białą pończochę, czerwonemi sznurowadłami, to na gorset z zielonego aksamitu tak wyszyty złotem, że aż się w oczach mieniło, to na sznury bursztynów i korali, co otaczały jej białą, pełną szyję; pęk różnobarwnych wstążek zwieszał się od nich na plecach i gdy szła, wił się za nią niby tęcza.

Ale Jagna nie widziała zazdrosnych spojrzeń, błądziła modremi oczami po głowach i natknąwszy się na wlepione w siebie oczy Antka, oblała się rumieńcem i pociągnąwszy matkę za rękaw, ruszyła przodem nie czekając.

— Jagna poczekaj — krzyknęła za nią matka, witając się z Boryną.

Zatrzymała się na drodze, bo i parobcy hurmem ją otoczyli i poczęli witać a przymawiać złośliwie Kubie, któren szedł za nią, wpatrzon kieby w obraz.

Splunął jeno i powlókł się do domu, bo i gospodarze już ciągnęli, i trza było zajrzeć do koni.

— Całkiem kiej na tym obrazie! — zawołał bezwiednie, siedząc już w ganku.

— Kto, Kuba? — pytała Józia, szykująca obiad...

Spuścił oczy, bo wstyd mu się zrobiło i strach, żeby nie poznali.

Ale że obiad był syty a długi, to i wrychle zapomniał; bo mięso było, była i kapusta z grochem, był

i rosół z ziemniakami, a na amen postawili niezgorszą miseczkę kaszy jęczmiennej, uprażonej ze słoniną.

Jedli wolno, poważnie i w milczeniu, dopiero kiej nasycili pierwszy głód, jęli pogadywać i smakować w jadle...

Józia, że to ona dzisiaj była za gospodynią, to ino przysiadała czasami na kraju ławki, pojadała śpiesznie a pilnie baczyła czy warza nie schodzi, by przynieść z izby garnki i dołożyć, by nie powiedzieli, że w misce dnieje.

A obiadowali na ganku, że to czas był cichy i ciepły.

Łapa kręcił się i skamlał, to obcierał się o nogi jedzących, zazierał do misek aż mu raz wraz ktoś rzucił kostkę jaką, z którą uciekał pod przyźbę, abo zasię ucieszon obecnością gospodarzy i że wspominano jego imię, szczekał radośnie i gonił za wróblami, co się były wieszały po płotach, oczekując na okruszyny.

A drogą często ktoś przechodził i pozdrawiał jedzących, że hurmem odpowiadali.

— Pono ptaszki nosiłeś dobrodziejowi? — zagadnął Boryna.

— Nosiłem, nosiłem! — Położył znagła łyżkę i jął opowiadać, jako go to ksiądz wezwał na pokoje, jako tam pięknie, że tyla księgów.

— Kiedy to on wszystkie przeczyta? — ozwała się Józia.

— Kiedy? A wieczorami! Chodzi se po pokojach, popija arbatę i cięgiem czyta.

— Musi być... nabożne wszyćkie — wtrącił Kuba.

— Przeciech nie lementarze.

6*

— A gazety to co dnia stójka przynosi — dorzuciła Hanka.

— Bo w gazetach piszą, co się dzieje we świecie... — ozwał się Antek.

— I kowal z młynarzem trzymają gazetę.

— I... to i taka kowalowa gazeta! — rzekł urągliwie Boryna.

— Takutka sama kiej księża — powiedział ostro Antek.

— Czytałeś? wiesz?

— Czytałem i wiem, a bo raz!

— I nie zmądrzałeś nic z tego, że się zadajesz z kowalem.

— La ojca to ino ten mądry, co chocia z półwłóczek ma abo i ogonów krowich z mendel.

— Zawrzyj gębę pókim dobry! A to ino okazji szuka, żeby się kłyśnić! Chleb cię to rozpiera widzę... mój chleb...

— Ością mi on już stoi w grdyce, ością...

— Szukaj se lepszego, na Hanczynych trzech morgach będziesz jadł bułki.

— Będę żarł ziemniaki, ale mi ich niktój nie wymówi.

— Nie wymawiam ci i ja...

— Ino kto drugi?... Haruj jak ten wół, jeszcze ci słowa dobrego nie dadzą...

— We świecie jest lekciej, nie trza robić, a dadzą wszystko...

— Pewnie, że jest lepiej.

— To se idź i posmakuj.

— Z gołemi rękami nie pójdę.

— Kijek ci dam, cobyś się miał czem od piesków oganiać.

— Ociec! — wrzasnął Antek, zrywając się z ławki, ale opadł zaraz, bo Hanka ujęła go wpół, a stary popatrzył groźnie, przeżegnał się, jako że już było po obiedzie i odchodząc do izby, rzekł twardo.

— Na wycug do ciebie nie pójdę, nie!

Porozchodzili się zaraz, ino Antek ostał na ganku i medytował, a Kuba wyprowadził konie na koniczysko za stodoły, uwalił się pod brogiem, aby się przespać, ale spać nie mógł, ciężyło mu w żywocie jedzenie a i ta myśl, że gdyby miał jaką strzelbę, toby mógł tyle ustrzelać ptaszków abo i zajączka niektórego, że co niedzielę nosiłby dobrodziejowi.

Kowalby strzelbę zrobił, jako to i borowemu zmajstrował taką, że jak strzeli w lesie, to aż we wsi się rozlega!

— Mechanik jucha! Ale pięć rubli trza mu za taką zapłacić! — rozmyślał. — Hale skąd wziąć?... na zimę idzie, kożuch trza kupić, buty też dłużej jak do godów nie wydzierżą... Juści, winne mi są jeszcze dziesięć rubli i dwoje szmat, portki i koszulę... Kożuch choćby i z pięć... Krótki będzie... buciska ze trzy... a to i czapkaby się zdała... a rubla trza zanieść dobrodziejowi na wotywę za ojców... Ścierwa... że i nic nie ostanie!... — Splunął i zaczął z kieszeni w lejbiku wybierać okruchy tytoniowe i natrafił na ten pieniądz, o którym był zapomniał w czasie obiadu...

— Jest ci gotowy grosz, jest! — Odechciało mu

się spać nagle; od karczmy rozlegał się daleki, przecedzony głos muzyki i jakby echa pokrzyków.

— Tańcują se juchy i gorzałę piją i papirosy kurzą! — westchnął i legł znowu na brzuchu i patrzył na spętane konie, że zbiły się w kupę i gryzły po karkach, a rozmyślał, że wieczorem musi i on zajść do karczmy i kupić sobie tytoniu i chociaż popatrzeć na balujących.

Raz wraz oglądał pieniądz i spoglądał na słońce, wysoko było jeszcze i szło dzisiaj tak wolno ku zachodowi, jakby se też krzynkę odpoczywało niedzielnie... A rwało go tak do karczmy, że wydzierżeć nie mógł, przekładał się ino z boku na bok i postękiwał z tęskności, ale nie poszedł zaraz, bo akuratnie z za stodoły wyszedł Antek z Hanką i szli miedzą w pola.

Antek szedł przodem a Hanka z chłopakiem na ręku za nim, czasem coś rzekli i szli wolno, a coraz to Antek pochylał się nad rolą i dotykał ręką wschodzących źdźbeł.

— Idzie... gęste kiej szczotka... — mruknął i obejmował oczami te morgi, które obsiewał za odrobek ojcu.

— Gęste, ale ojcowe lepsze, idzie kiej bór! — mówiła Hanka, patrząc na sąsiednie zagony.

— Bo rola lepiej doprawiona.

— Mieć ze trzy krowy — toby i ziemia się pożywiła.

— I konia swojego.

— I przychować co na sprzedaż. A tak, co? każdą plewę, każdą obieżynę ociec rachują i mają za wielgie rzeczy.

— I wszystko wypomina!...

Zamilkli nagle, bo uczucie krzywdy zalało im serca żalem, gniewem i głuchym, szarpiącym buntem.

— Ino osiem morgówby wypadło — wykrzyknął bezwiednie.

— Juści, że nie więcej. Przecie to i Józka, i Kowalowa, i Grzela, i my — wyliczała.

— Kowaloweby spłacić i ostać przy chałupie i półwłóczku...

— A masz to czem?... — jęknęła aże w tem uczuciu bezsilności tak silnem, że łzy jej pociekły po twarzy, gdy ogarnęła oczami te pola ojcowe, tę ziemię jak złoto czyste, gdzie i pszenica i żyto, i jęczmień, i buraki od skiby do skiby siać było można... Tyle dobra, a to wszystko cudze... nie ich...

— Nie bucz głupia, zawżdy z tego osiem morgów nasze...

— Żeby chociaż z połowa z chałupą i z tym kapuśniskiem! — wskazała na lewo, w łąki, gdzie modrzały długie zagony kapusty; skręcili ku nim.

Siedli na kraju łąk pod krzami, Hanka pokarmiała dziecko, bo płakać poczęło, a Antek skręcił papierosa, zapalił i ponuro patrzył przed się...

Nie mówił on żonie, co go żarło we wątpiach, ni co mu leżało na sercu niby węgiel rozżarzony, bo aniby mógł wypowiedzieć, niby zrozumiała go dobrze...

Zwyczajnie, jak kobieta, co ni pomyślenia nie ma, ni niczego nie wymiarkuje sama, ino żyje se jako ten cień padający człowieka...

— A gospodarstwo, a dzieci, a kumy — to i cały świat la niej. Każda kobieta taka, każda... — rozmyślał

gorzko i aż go ścisnęło za serce... — Ten ptak, co polatuje nad łęgami, ma lepiej niźli człowiek drugi... Co mu tam za kłopoty! polatuje se, pośpiewuje, a Pan Jezus obsiewa la niego pola, że ino mu zbierać a pożywiać się...

— A bo to i gotowych pieniędzy ociec mieć nie ma? — zaczęła Hanka.

— Przeciech!...

— A Józce to kupił korale takie, że i krowęby kupił za nie, a Grzeli to ciągiem do wójta śle pieniądze.

— Słać śle... — odpowiadał, myśląc o czem innem.

— A przeciech to ukrzywdzenie wszystkich! A szmaty po matce, to dusi w skrzyni i nawet na oczy nie pokaże... A wełniaki takie, a chusty, a czepki, a paciorki... — jęła długo wyliczać dobro wszelkie i krzywdy, i żale, i nadzieje, a Antek milczał zawzięcie, aż zniecierpliwiona szturchnęła go w ramię.

— Śpisz to?...

— Słucham, gadaj se, gadaj, to ci ulży! A jak skończysz, to mi powiedz...

Hanka, że to płaksiwa była a i zebrało się jej dużo w duszy, buchnęła płaczem i jęła mu wyrzucać, że mówi do niej jak do dziewki jakiej, że nie dba o nią, ani o dzieci.

Aż Antek zerwał się na równe nogi i zawołał urągliwie:

— Wykrzykuj sobie, te gapy ano cię usłyszą i pożalą się nad tobą! — wskazał oczami na wrony lecące mimo nad łąkami, nacisnął czapkę i wielkiemi krokami poszedł ku wsi...

— Antek! Antek! — wołała za nim żałośnie, ale ani się odwrócił.

Obwinęła chłopaka i popłakując, szła miedzami z powrotem do domu; ciężko jej było na sercu: ani pogadać, ani wyżalić się przed kim na dolę swoją. A to człowiek żyje cięgiem jak ten samson, że nawet do sąsiadów pójść nie pójdzie i pogadaniem serca nie ucieszy. Dałby jej Antek kumy! Nic, ino siedź w chałupie a charuj, a zabiegaj, a jeszcze słowa dobrego nie usłyszysz! Inne do karczmów chodzą a na wesela... a ten Antek... bo to mu dogodzić można?... Czasem taki, że i do rany przyłóż... to znowu całe tygodnie ledwie bąknie jakie słowo i ani spojrzy... nic, jeno medytuje a medytuje... Prawda że ma i o czem! Bo i ten ociec nie mógłby to już gront im odpisać, nie czas to staremu iść na wycug... A dyć dogadzałaby mu, że i rodzonemu nie byłoby u niej lepiej...

Chciała przysiąść do Kuby, ale przypiął się plecami do brogu i udawał, że śpi, choć mu słońce świeciło prosto w oczy, dopiero gdy zniknęła za węgłem stodoły, podniósł się, otrzepał ze słomy i wolno jął się przebierać pod sadami ku karczmie... paliła go ano ta złotówka...

A karczma stała na końcu wsi, za plebanją, na początku topolowej drogi.

Ludzi było mało co; muzyka czasem pobrzękiwała, ale nikto nie tańcował jeszcze, za rano było, i młodzi woleli gzić się w sadzie albo wystawać na podjeździe i pod ścianami, gdzie na świeżych, żółtych jeszcze belkach siedziało sporo dziewczyn i kobiet, a w wielgiej izbie z czarnym, okopconym pułapem pusto prawie było, małe

przepalone szybki przesiewały czerwone przed-zachodnie światło tak słabo, że ino smuga leżała na powybijanej podłodze, a w kątach mrok zalegał. Jakieś ludzie siedzieli za stołami pod ścianą, ale rozeznać nie rozeznał, kto taki?

Jeden Jambroży z brackim od światła stojał pod oknem z buteleczką w garści; przepijali gęsto do siebie i pogadywali...

— Tańcują, kiej muchy w smole! Jewka a ruchajże się. Ganiała gdziesik po nocy, a teraz śpi w tańcu! Tomek! a prędzej! a to ci tak cięży ta ćwiartka, coś ją Janklowi sprzedał, co?... Nie bój się, ociec jeszcze nie wiedzą! Marysia! zadawaj się z rekrutami, zadawaj, a proś mę z miejsca na kumę...

I tak Jagustynka dogryzała po kolei tanecznikom; niepomiarkowana była i zła na wszystkich, że to dzieci ją skrzywdziły, a ona na starość na wyrobek chodzić musiała, ale że nikto nie odpowiadał, wykrzyczała się i poszła do alkierza, gdzie siedział kowal z Antkiem i kilku młodszych gospodarzy.

Lampa wisiała u czarnego pułapu i mdłem żółtawem światłem rozjaśniała jasne, powichrzone głowy; siedzieli dokoła stołu, wsparli się mocno na rękach i wszyscy oczy utkwili w kowala, któren pochylony nad stołem, czerwony, rozkładał szeroko ręce, czasem bił pięścią i gadał zcicha.

Basy huczały jako ten bąk, kiej się wedrze do izby ze dworu i lecący huczy... a czasem skrzypka znagła zapiskała ciężko, jakoby ptaszek wabiący abo i bębenek zahurkotał i pobrzękiwał... ale wnet cichość zalegała.

Kuba poszedł prosto do szynkwasu, za którym siedział Jankiel w jarmułce i w koszuli tylko, bo ciepło było, pogłaskiwał siwą brodę, kiwał się i wyczytywał w książce, przykładając oczy prawie do samych kart.

Kuba się namyślał, przestępował z nogi na nogę, przeliczał pieniądze, podrapywał się po kołtunach i stał tak długo, aż Jankiel spozierał na niego i nie przestając się kiwać i modlić, brzęknął raz i drugi kieliszkami...

— Półkwaterek ino krzepkiej! — zarządził wreszcie.

Jankiel w milczeniu nalewał i lewą rękę wyciągał po pieniądze...

— W szkło? — zapytał, zgarnąwszy do opałki zaśniedziałe miedziaki.

— Juści że nie w but!...

Usunął się na sam koniec szynkwasu, wypił pierwszy kieliszek, splunął i jął poglądać po karczmie; wypił drugi, przyjrzał się buteleczce pod światło, stuknął nią mocno.

— Dajcie-no drugi i machorki! — rzekł śmielej, bo błoga ciepłość go przejęła po gorzałce i dziwna moc rozlała mu się po kościach.

— Zasługi dzisiaj Kuba odebrał?

— Gdzieby... nowy Rok to?...

— Może dolać araku?

— Ale... nie chwaci... — Przeliczył pieniądze i żałośnie spojrzał na flaszkę araku.

— Poborguję, albo ja to Kuby nie znam!...

— Nie trzeba... chto borguje, ten z się z butów zzuje... — powiedział ostro.

Mimo to Jankiel postawił przed nim flaszeczkę araku.

Opierał się, już nawet brał się wyjść, ale jucha harak tak zapachniał, że jaże w nosie wierciło, więc się i nie zmagał dłużej, jeno wypił, nie medytując.

— Zarobiliście w lesie?... — pytał Jankiel cierpliwie.

— Nie w lesie... ptaszków, com je w sidła chycił, zaniesłem dobrodziejowi sześć i dali mi złotówkę...

— Złotówkę za sześć! Jabym za każdego dał Kubie dziesiątkę.

— Jakże, przeciech kuropatwy to koszerne?... — Zdumiał się.

— Niech Kubę głowa o to nie boli... niech tylko przyniesie dużo, a za każdą dostanie zaraz, do ręki po dziesiątce. Asencję postawię na zgodę, co?...

— I po całym dziesiątku Jankiel zapłaci!...

— Moje słowo, nie ten wiatr. A za te sześć... to Kuba miałby nie dwa półkwaterki czystej, a cztery z arakiem, i śledzia, i bułkę, i paczkę machorki... rozumie Kuba?...

— Juści... cztery półkwaterki z arakiem, i śledzia... i... juści, nie bydlem przeciech, to miarkuję... rychtyk prawda! Cztery półkwaterki z harakiem... i machorka i bułków... i całego śledzia... — Mroczyła go już wódka i nieco rozbierała.

— Przyniesie Kuba?...

— Cztery półkwaterki... i śledź... i... Przyniesę... Cie, żebym to miał strzelbę... — ozwał się przytomniej i jął znowu obliczać — kożuch na ten przykład z pięć

rubli... butyby się zdały... ze trzy ruble... ni, nie chwaci... a kowalby chcieli z pięć rubli za fuzję... tyla co od Rafała... ni... — myślał głośno.

Jankiel zrobił szybkie obliczenie kredą i szepnął mu cicho do ucha.

— Zastrzeliłby Kuba sarnę?...

— Ale, z pięści nie zastrzeli, a z fuzji tobym juchę ustrzelił...

— Kuba umie strzelić?...

— Jankiel jest żyd to i nie wie, a we wsi wiedzą wszystkie, że chodziłem z dziedzicami do boru, że mi ten kulas przestrzelili... to umieć umiem...

— Ja dam strzelbę, dam proch, dam co potrzeba... a Kuba co ustrzeli, przyniesie do mnie! Za sarnę dam całego rubla... słyszy?... całego rubla! Za proch Kuba zapłaci piętnaście kopiejek od sztuki, odtrącę... A za to co się fuzja będzie psuć, to Kuba przyniesie ćwiartkę owsa...

— Rubla za sarnę... a niby ja za proch piętnaście... całego rubla!... niby jakto!...

Jankiel znowu wyliczał mu szczegółowo...

— Owsa?... Przeciech koniom od pyska nie odejmę... — to jedno zrozumiał.

— Poco brać koniom! U Boryny jest i gdzie indziej...

— To niby... — wytrzeszczał oczy i kalkulował.

— Wszystkie tak robią! A Kuba myślał, skąd parobcy mają pieniądze?... każdemu trzeba machorki, a kieliszka wódki, a potańcować w niedzielę!... To skąd wziąć?...

— Jakże... złodziej to jestem, parchu jeden, czy co?... — zagrzmiał nagle, bijąc pięścią w stół, aż kieliszki podskoczyły.

— Co się Kuba rzuci! Niech Kuba płaci i idzie sobie do djabła!...

Ale Kuba nie zapłacił i nie poszedł, nie miał już pieniędzy i winien był żydowi... to się ino sparł ciężko o szynkwas i jął sennie obliczać, a Jankiel udobruchał się i raz jeszcze nalał mu ale już czystego araku... i nic nie mówił...

Tymczasem do karczmy napływało coraz więcej ludzi, bo już mrok gęstniał, zapalili światło, muzyka raźniej się ozwała i gwar się podnosił; naród kupił się przy szynkwasie, pod ścianami albo i zgoła w pośrodku izby i rail, pogadywał, użalał się, a kto niekto i przepijał z drugimi, ale zrzadka, bo nie na pijaństwo przyszli, jeno tak sobie po sąsiedzku postać, pogwarzyć, skrzypic posłuchać abo i basów; coś niecoś posłyszeć nowego; — niedziela przeciech — to odpocząć, ni folgę dać ciekawości nie grzech, a choćby i ten kieliszek wypić z kumami... byle przystojnie i bez obrazy boskiej się obyć obyło, to i sam dobrodziej nie bronił... Jakże, i bydlę na ten przykład, po pracy odpocząć rade i musi. A zaś przy stole zasiedli gospodarze starsi i kobiety niektóre, przyodziane w czerwone wełniaki i chusty, że widziały się, jako te malwy rozkwitłe, a że razem wszyscy mówili, to ino szum szedł po karczmie, kieby boru i tupot nóg, jakoby bicie cepami w klepisko, i głos tych skrzypic, co ciągiem śpiewały figlujący.

— »A chto będzie za mną gonił... za mną gonił...«

— »Oto ja... oto ja... oto ja...« — odbąkiwały stękające basy, a bębenek trząsł się ino, a chichotał, a baraszkował i wrzawę czynił brzękadłami.

Niewiela ludzi tańcowało, ale tak ostro przytupywali, aże dyle podłogi skrzypiały i stół dygotał, że raz wraz flaszki pobrzękiwały i wywracały się kieliszki...

Ale ochoty wielgiej nie było, bo i okazji, jako to przy weselach bywa abo zrękowinach, nie było. Tańcowali ot tak sobie, la uciechy jednej abo dla wyprostowania nóg i grzbietów, tylko chłopaki, co mieli późną jesienią do wojska stawać, zabawiali się mocniej i pili na frasunek, co i nie dziwota, bo mieli ich w tyli świat pognać, do obcych.

A wójtów brat najgłośniej wykrzykiwał, a po nim Marcin Białek, Tomek Sikora i Paweł Boryna, stryjeczny Antka, któren i sam przyszedł do karczmy o zmroku, tylko że nie tańcował dzisiaj, a siedział w alkierzu z kowalem i z drugimi, i Franek Młynarczyk, niski, krępy i kędzierzawy, ten ci gadatywus był największy, i zbereźnik, i kpiarz i na dzieuchy tak łakomy, że często gęsto pysk miał zbity i podrapany. Ale że dzisiaj ochlał się zaraz z miejsca, jak to nieboskie stworzenie, to ino stał przy szynkwasie, z grubą Magdą od organisty, która była już w szóstym miesiącu.

Dobrodziej już to wypominał na ambonie i naganiał go do ożenku, ale Franek słuchać nie chciał, że to do wojska stawać miał jesienią, to co mu ta po babie...

Magdusia właśnie ciągnęła go w kąt, do nalepy i cosik mu mówiła płaczącym głosem, a on jej na to raz wraz powiadał:

— Głupiaś! Nie latałem za tobą... Chrzciny zapłacę i z rubla rzucę, jak mi się spodoba!... — Nieprzytomny był i pchnął ją, aż przysiadła na nalepie komina, wpodle Kuby, któren już spał w popiele a z nogami na izbie; chlipała tam sobie cicho, a Franek poszedł znowu pić i brać dziewczyny do tańca; gospodarskie nie chciały, bo młynarczyk, cóż to? Parobek prawie. A proste dziewki też, bo pijany był i w tańcu zbereżeństwa czynił, to ino splunął i wziął się z Jambrożym całować i z gospodarzami, którzy, że mieli w młynie zboże, stawiali swoje...

— Wypijcie Franek a zmielcie rychlej, bo już mi baba głowę kołacze, że na kluski niema i źdźiebka mąki.

— A moja o kaszę cięgiem mi turkocze...

— Że to i ospa la karmika potrzebna... — mówił trzeci.

Franek pił, obiecywał i przechwalał się głośno, że we młynie wszystko idzie jego głową, że młynarz słuchać go musi, bo jakby nie... to on zna takie sztuki, że robaki zalęgną się w skrzyniach... woda wyschnie... ryby wyzdychają, skoro jeno chuchnie na staw... mąka się tak zwarzy, że i placka z niej nie upiecze...

— Oskubałabym ci ten łeb barani, żebyś mnie tak zrobił! — wykrzyknęła Jagustynka, która zawsze bywała tam, gdzie i wszyscy, bo chociaż nie pijała, że to mało kiedy był ten grosz gotowy, ale zdarzyć się mogło, co kum postawił półkwaterkę jaką abo powinowaty druga, bo się jej ostrego języka bali. Toć i Franek, choć był pijany a zląkł się jej i zmilknął, bo wiedziała o nim różne różności, jakto we młynie gospodarzy, a ona,

że to już była podpiła nieco, ujęła się pod boki, przytupywała w takt i nuż wykrzykiwać.

— Prawdę mówię, bo tak stoi w gazecie wypisane, wyraźnie jak wół... Nie tak ludzie żyją we świecie jak u nas, nie. — Co jest? Dziedzic ci panuje, ksiądz ci panuje, urzędnik ci panuje — a ty ino rób a z głodu zdychaj i każdemu się nisko kłaniaj, żebyś po łbie nie oberwał...

— A gronta mało, że niedługo to i po zagonie na człowieka nie starczy!

— A dziedzic ma sam więcej niż dwie wsie razem...

— Powiadali wczoraj na sądach, że nadawać będą nowe grunta.

— Jakie?

— Czyjeżby — a dworskie!

— Ale! daliśta dziedzicom, to odbierać będzieta! Ale, cudzem już się rządzą — krzyknęła Jagustynka, nachylając się do nich ze śmiechem.

— ...I sami się rządzą — ciągnął dalej kowal, nie zważając na babie powiedzenie nic — a wszyscy we szkołach się uczą, we dworach mieszkają i panami są...

— Gdzie to tak? — zapytała Antka, któren zaraz skraju siedział.

— W ciepłych krajach! — odrzucił.

— To kiej tak dobrze, czemużto kowal tam nie pojechał, co?... Smoluch jucha, łże jak ten pies i tumani a wy głupie wierzyta! — zawołała namiętnie.

— Mówię po dobremu: idźcie sobie Jagustynko, skądżeście przyszli...

— A nie pójdę! Karczma la wszystkich, a ja taka

dobra za swoje trzy grosze jak i ty! Ale, nauczyciel jaki, żydom się wysługuje, z urzędnikami trzyma, o staję czapkę przed dziedzicem zdejmuje, a te mu wierzą!... Pyskacz jeden!... Wiem ja... — ale już nie skończyła, bo ją kowal krzepko ujął pod żebra, nogą otworzył drzwi i wyrzucił do wielkiej izby, że padła jak długa w pośrodku.

Nie pomstowała nawet, tylko powstawszy, rzekła wesoło:

— Krzepki jucha kiej koń, zdałby mi się taki na chłopa...

Naród gruchnął śmiechem, a ona wyszła zaraz pomstując zcicha.

Ale już i karczma pustoszała, muzyka zmilkła, ludzie się rozchodzili do domów, to stawali kupkami przed karczmą, bo to i wieczór był ciepły i jasny, księżyc świecił, tylko rekruci jeszcze ostali i pili na umor i wykrzykiwali, a Jambroży spity jako bydlę, wylazł na środek drogi i wyśpiewywał, taczając się ze strony na stronę.

A i ci z alkierza, z kowalem na czele, wyszli.

Potem, kiedy już Jankiel począł gasić światła, rekruci się wytoczyli, ujęli się mocno pod ręce i szli całą drogą śpiewający z gardła wszystkiego, aże psy ujadały, i jaki taki z chałupy wyjrzał...

Kuba tylko spał wciąż w popiele tak krzepko, aż go Jankiel budzić musiał, ale parobek wstać nie chciał, kopał, to grzmocił w powietrze i mruczał:

— Póki życie, jak chcę, tak spał będę... gospodarz jestem, to wolę swoją mam, a tyś żółtek i parch!...

Wiadro wody pomogło, że wstał i wytrzeźwiał

nieco, jeno ze strachem a zdumieniem słuchał, jako całego rubla przepił — którego winien jest...

— Jakże?... dwa półkwaterki z harakiem... całego śledzia... machorki... i jeszcze dwa półkwaterki... to już cały rubel?... Jakże?... dwa... — majaczyło mu się.

Jankiel przekonał go wkońcu i porozumieli się co do strzelby, którą żyd miał mu przywieźć z jarmarku, a na zgodę postawił esencji ze spirytusem...

Tylko owsa stanowczo Kuba przynosić nie obiecywał.

— Ociec Kubów złodziej nie był — to i syn jego złodziej nie jest.

— Idźcie już sobie, czas spać... a ja mam jeszcze pacierze odmawiać...

— Cie!... spekulant jaki! Do złodziejstwa namawia a pacierze mówił będzie... — mruczał, idąc ku domowi i jął sobie przypominać i kalkulować, bo nijak nie chciało mu się w głowie pomieścić, że całego rubla przepił... ale że jeszcze nie wytrzeźwiał i powietrze go rozebrało, to potaczał się ździebko a i raz wraz właził na płoty, to na budulec leżący gdzie niegdzie przed chałupami i klął...

— Żeby was juchy pokręciło!... Łajdusy jedne... żeby tak drogę pozastawiać!... nic jeno się pochlały zbereźniki... a dobrodziej na darmo wypomina... a dobrodziej... — tu się zastanowił długo i miarkował, aż i wreszcie chyciło się go rozeznanie i żałość taka, aż przystanął, ogląda się dookoła, pochylał, szukając czego by twardego do ręki... ale zapomniał wnet i chwycił się za kudły i jął się prać po pysku kułakiem i wykrzykiwać:

— Pijanica jesteś i świnia zapowietrzona! Do dobrodzieja cię zawlekę, niech cię wypomni przed całym narodem, żeś pies i pijanica... żeś dwa po dwa półkwaterki... żeś całego rubla przepił... żeś jako to bydlę abo i gorszy!... żeś...

I żałość znagła go objęła nad sobą, że przysiadł na drodze i buchnął płaczem.

Jasny, ogromny księżyc płynął w przestrzeniach ciemnych, a gdzie niegdzie, zrzadka kieby srebrne gwoździe, gwiazdy błyskały; mgły szarą, nikłą przędzą motały się nad wsią i przesłoną powlekały nad wodami. Niezgłębiona cichość nocy jesiennej przejmowała świat, tylko gdzie niegdzie wyrywały się śpiewy wracających z karczmy albo ujadania psów.

A na drodze przed karczmą Jambroży taczał się ze strony na stronę i śpiewał wciąż, nieustannie, aż do wytrzeźwienia.

Da Maryś moja Maryś!
Da komu piwo warzysz?
Da komu piwo warzysz!...
Da Maryś moja Maryś!...

V.

Jesień szła coraz głębsza.

Blade dnie wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bladsze — niby te święte hostje w dogasających brzaskach gromnic.

A co świtanie dzień wstawał leniwiej stężały od

chłodu i cały w szronach i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś z nad zórz, leciały nisko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za niemi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami, że spływały cicho niby łzy — krwawe łzy umarłego lata i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie, wsie budziły się później: leniwiej bydło szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy przytłumione martwotą i pustką pól i ciszej, trwożniej tętniło życie samo — a niekiedy, przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i te rogate, potężne łby podnosiły się od traw pożółkłych i przeżuwając zwolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żałosny ryk tłukł się po pustych polach.

A co świtanie — mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach, to wieszały się na nagich drzewach, lub krążyły nad ziemią, kracząc głucho — jakoby pieśń zimy śpiewając żałosną.

Południa były słoneczne, ale tak martwe i nieme, że poszumy lasów dochodziły głuchym szmerem i bełkot rzeki rozlegał się jak łkanie bolesne, a szczątki babiego lata rwały się niewiadomo skąd i przepadały w ostrych, zimnych cieniach chałup.

A smętek konania był w tych południach cichych, na pustych drogach leżało milczenie, a w odartych z liści sadach czaiła się głęboka melancholja żałości i trwogi zarazem.

I często, coraz częściej niebo powlekało się buremi chmurami, że już o letnim podwieczorku musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat...

Doorywano podorówki, że niektóry kładł skibę ostatnią już o gęstym mroku, a wracając do dom, obzierał się jeszcze za się na rolę i żegnał ją westchnieniem do wiosny.

A na przedwieczerzę często spadały deszcze, krótkie były jeszcze, ale zimne i coraz częściej przeciągały się do zmroku — do długiego jesiennego zmroku, w którym jak kwiaty złote płonęły okna chat i szkliły się kałużami puste drogi, a mokra zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach.

Nawet ten bociek z przetrąconem skrzydłem, co się był ostał, i którego widywano samotnie brodzącym po łąkach, przychodzić jął pod bróg Boryny, abo i zasię na samo podwórze, gdzie mu Witek skwapliwie podrzucał na przynętę jadło.

A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś; i te zwyczajne, proszalne, co z torbą głęboką i pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem piesków — a były i drugie, insze, takie, co od miejsc świętych ciągnęły — i znały Ostrą Bramę, Częstochowę i Kalwarję, a rade opowiadały długimi wieczorami, co się gdzie we świecie dzieje i jakie cuda się gdzie stały, a trafia się niekiedy i taki, któren pocichu

powiadał się aż z Ziemi Świętej i takie cudeńka prawił, takie kraje znał, przez takie wielgachne morza jechał, tyla przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających pobożnie, a niejednemu i uwierzyć było trudno w to wszystko... Ale chciwie słuchał, jako że każden rad się czegoś nowego dowiedział a i wieczory były długie i do świtu wyspać się jeszcze można choćby i na oba boki.

Hej! jesień to była, późna jesień!

I ani przyśpiewków, ni pokrzyków wesołych, ni tego ptaszków piukania, ni nawoływań nie słychać było we wsi — nic, jeno ten wiatr pojękujący w strzechach, jeno te dżdże, sypiące jakoby szkliwem po szybach i to głuche, wzmagające się co dnia bicie cepów po stodołach.

Lipce martwiały równo jako te pola okólne, co wyczerpane, szare, odarte w odpocznieniu leżały i cichości tężenia; jako te drzewiny nagie, poskręcane, żałobne drętwiejące zwolna na długą, długą zimę..

Jesień to była, rodzona matka zimy.

Ino się tem pokrzepiano, że niema jeszcze pluchy, że drogi nie bardzo rozmiękły i może wytrzyma pogoda do jarmarku, na któren całe Lipce się wybierały, jakby na odpust jaki.

Bo jarmark miał być na świętą Kordulę, walny i ostatni już przed Godami, więc się nań wszyscy szykowali należycie.

Już na parę dni przedtem deliberowano po wsi, coby się sprzedać dało, czy z inwentarza, czy z ziarna abo też z drobnego przychówku. A że na zimę szło, to i kupować trza było niemało i z przyodziewku i ze sprzętów i z różnych różności gospodarskich, z czego i różne

turbacje poszły i swary i kłótnie po chałupach, boć wiadomo przeciech, że u nikogój się nie przelewa, a o grosz gotowy coraz to trudniej.

A tu i rychtyk w ten czas i płacić przychodziło podatki, to gminne składki, i spłaty różne między sobą, a często i przednówkowe pożyczki, a jak niejeden to i zasługi służbie — tyla tego razem, że niektóren, choćby i z półwłókowych, ciężko wzdychał i kalkulował, a nic nie wychodziło bez wyprowadzenia na jarmark konia abo i krowy, a już o biedniejszych to i niema co rzec.

Więc też i jaki taki wyprowadzał krowinę przed oborę, wycierał jej ognojone boki wiechetkiem i na noc przyrzucał koniczyny, to gotowanego jęczmienia z kartoflami, byle jeno wypęczniała źdźiebko; któren znów przysposabiał stare, poślepłe całkiem wywłoki, żeby chyla tyla do koni były podobne na ten przykład.

Insze znowu młóciły zawzięcie dnie całe, żeby zdążyć na jarmark.

I u Borynów sposobiono się raźnie; stary z Kubą domłócał pszenicy, a Józka z Hanką co im ino czasu ostawało, to podpasały maciorę i te gąski wybrane z ostawianych na chowanie, Antek zaś z Witkiem, że to lada dzień spodziewano się deszczów, jeździli do boru po susz na ogień i po ściółkę, z której co poszło do obory, a resztę zwalali pod chałupę do ogacenia ścian.

I tak ta przyśpieszona robota trwała aż do późna w noc ostatnią przed jarmarkiem; dopiero gdy pszenica już we worach leżała na wozie wtoczonym do stodoły i wszystko było przyrządzone na jutro — siedli wszyscy razem do wieczerzy w Borynowej izbie.

Na kominie buzował się wesoły ogień ze świerczyny, potrzaskujący ciągiem, a oni jedli wolno i w milczeniu, że to po spracowaniu nikomu się odzywać nie chciało, aż dopiero kiedy skończyli i gdy już kobiety posprzątały miski i garnki z ławy, Boryna rzekł, coś niecoś przysuwając się do komina:

— Przed świtaniem trza ruszyć!

— Juści, że nie później — odrzekł Antek i zabrał się do smarowania uprzęży, Kuba strugał bijak do cepów, a Witek obierał kartofle na rano i raz wraz poszturchiwał Łapę, któren leżał obok i wybierał sobie pchły zębami.

Cichość się uczyniła, że ino ogień trzaskał i świerszcze za kominem poskrzypiwały niekiedy, a z drugiej strony domu dochodził plusk wody i szczękanie mytych garnków.

— Kuba, ostaniesz to w służbie dłużej, co?

Kuba spuścił ośnik, którym strugał i zapatrzył się w ogień tak długo, aż Boryna mu przypomniał.

— Słyszałeś, com ci rzekł?

— Słyszeć, słyszałem, ino tak w głowę zachodzę, że po prawdzie, to krzywdy mi nijakiej u was nie było... Juści, ale ino... — urwał zakłopotany.

— Józia, dajno gorzałki i co przegryźć, co mamy na sucho radzić, kiej żydy jakie — zarządził stary i przysunął przed komin ławkę, na której Józia wnet postawiła butelkę, wianek kiełbasy i chleb.

— Napij się Kuba i rzeknij swoje słowo.

— Bóg zapłać, gospodarzu... Ostać, tobym się ostał, ino... ino...

— Postąpię ci coś niecoś...

— Przydaćby się przydało, bo to i kożuch zlatuje ze mnie i buciska też, a i kapot jaki kupiłbym... już jak ten dziadak jaki jest człowiek, że nawet do kościoła iść, to ino do kruchty... bo jakże mi przed ołtarz w takiem obleczeniu...

— A w niedzielę nie baczyłeś na to, inoś się pchał tam, gdzie najpierwsze... — rzekł surowo Boryna.

— Juści... Hale... Prawda... — bąkał srodze zawstydzony i ciemny rumieniec oblał mu twarz.

— A to i dobrodziej naucza, żeby szanować starszych. Napijno się Kuba na zgodę i słuchaj coć rzeknę, a sam się pomiarkujesz, że co parobek to nie gospodarz... Kużden ma swoje miejsce i la każdego co innego Pan Jezus wyznaczył. Wyznaczył ci Pan Jezus twoje, to go się pilnuj i nie przestępuj, na pierwsze miejsce się nie pchaj i nie wynoś się nad drugie — bo zgrzeszysz ciężko. I sam Dobrodziej ci powtórzy to samo, że tak być musi, by porządek na świecie był. Miarkujesz se Kuba?

— Nie bydlem przeciech i swoje pomyślenie mam.

— To baczże, byś się nad drugie nie wynosił.

— I... inom bliżej ołtarza chciał być...

— Pan Jezus z każdego kąta słyszy, nie bój się. I po co się pchać między najpierwsze, kiej wszyscy wiedzą ktoś jest.

— Juści, juści... gospodarzem byłbym, to i baldach nosićbym nosił, a i dobrodzieja pod pachę wiódł, i w ławkach siadał, i z książki głośno śpiewał... a żem ino parobek, chocia i syn gospodarski, to mi w kruchcie stać,

abo przed drzwiami, jako te pieski... — powiedział smutno.

— Takie już na święcie urządzenie jest i nie twoja głowa zmieni.

— Pewnie, że nie moja, pewnie.

— Napij się jeszcze Kuba i rzeknij, co ci mam zasług dodać.

Kuba wypił, ale że go już nieco zamroczyła gorzałka, to uwidziało mu się, że w karczmie siedzi z Michałem od organisty abo i z drugim kamratem i rajcują se swobodnie, wesoło, jak równy z równym. Roscebnął ździebko kapotę, wyciągnął nogi, buchnął pięścią w ławkę i zakrzyknął:

— Cztery papierki i rubla zadatku dołoży — to ostanę.

— Widzi mi się, żeś pijany, abo ci się w głowie popsuło — zawołał Boryna, ale Kuba szedł już za myślą swoją i dawnem marzeniem, a zresztą i nie słyszał gospodarskiego głosu, więc rozprostowywał skurczoną duszę, rósł w ambit i taką pewność siebie, jakoby samym gospodarzem się poczuł.

— Cztery papierki i jeszcze jeden zadatku — dołoży, to u niego ostanę, a nie, to psiachmać na jarmark pójdę i służbę se znajdę, choćby i na furmana do cugowych we dworze... Znają mię, iżem robotny i na wszystkiem w polu, czy kiele domu się znający, że niejednemu gospodarzowi bydło paść u mnie a uczyć się... A nie, to ptaszki strzelał będę i dobrodziejowi nosił abo i Janklowi... a nie...

— Cie... Kuternoga-jeden jak bryka. Kuba! — krzyknął ostro stary.

Kuba zamilkł, wytrzeźwiał z rozmarzenia, ale hardości nie stracił, bo jął się nieustępliwym czynić, że Boryna rad nierad dorzucał mu po półrublu, to po złotówce, aż i stanęło, że obiecał mu na przyszły rok dołożyć trzy ruble i dwie koszule miasto zadatku.

— Ho, ho, ptaszek z ciebie — wołał stary, przepijając do niego na zgodę, choć zły był, że tyla pieniędzy wywalić musi, ale wagować się nie było co, bo Kuba wartał i więcej, robotny parob, choćby i za dwóch, gospodarskiego nie ruszył i o inwentarz dbał więcej niźli o siebie, choć i kulawy był i mocy wielkiej nie miał, ale na gospodarstwie się znał — można się całkiem spuścić na niego, że wszystko jak przynależało zrobi i jeszcze najemnika przypilnuje.

Poradzili jeszcze o tem i o owem i gdy się rozchodzili, Kuba już odedrzwi nieśmiało całkiem się ozwał:

— Zgoda na trzy ruble i dwie koszule ino... ino... nie przedawajcie źrebicy... przy mnie się ulęgła... kożuchem swoim przyodziewałem, żeby nie przemarzła... tobym nie ścierpiał, żeby ją żyd jaki bijał libo i łachmytek z miasta... Nie sprzedawajcie... złoto, nie źrebica... kiej ten dzieciak posłuszna... koń taki, że i drugi człowiek — prosty pies przy niej. — Nie sprzedawajcie...

— Ani mi to w głowie nie postało.

— Bo w karczmie powiedali i... bojałem się...

— Opiekuny, psiekrwie, zawżdy najlepiej wiedzą!

Kuba byłby go za nogi ułapił z radości, ino śmieć

nie śmiał, to nadział czapę i poszedł rychło, jako że i czas było spać, bacząc na jarmark jutrzejszy.

. . . .

Jakoż i nazajutrz, jeszcze przed świtaniem, że nieledwie po drugich kurach, a już na wszystkich drogach i ścieżkach do Tymowa ruszali się ludzie.

Kto jeno żył, to z całej okolicy walił na jarmark.

Nad ranem upadł mocny deszcz, ale po wschodzie przetarło się nieco, ino niebo było zasnute buremi chmurzyskami, a nad nizinnemi ziemiami wisiały mgły szare kieby zgrzebne płótna, do cna przemiękłe, i po drogach szkliły się kałuże, a gdzie niegdzie po dołkach błoto chlupało pod nogami.

I z Lipiec wychodzono od wczesnego rana.

Na topolowej drodze za kościołem i hen, aż do lasów, widny był łańcuch wozów, toczących się wolno, krok za krokiem, taka ciżba była, a bokami, po obu stronach ino się mieniło od czerwonych wełniaków i białych kapot chłopskich.

Tyle narodu szło, jakby wieś cała wychodziła.

Szli gospodarze co biedniejsi, szły kobiety, szły parobki i dziewczyny, i komornicy też szli, a i biedota sama najemnicy także ciągnęli, bo jarmark to był ten, na którym godzono się do robót i zmieniano służby.

Kto co kupić, kto sprzedać, a jensi byle jarmarku użyć.

Któren wiódł na postronku krowinę abo i ciołaka, kto zaś gnał przed sobą maciorę z prosiętami, co ino pokwikiwały i rwały się tak, że trza je było cięgiem oganiać i stróżować, by pod wozy nie wpadły; jenszy czła-

pał się na szkapie; drugie oganiały wystrzyżone barany, gdzie niegdzie zaś bieliło się stadko gęsi z podwiązanemi skrzydłami, to grzebieniaste koguty wyzierały z pod zapasek kobiecych... A i wozy niezgorzej jechały wyładowane, raz wraz z jakiego półkoszka z pod słomy wyzierał ryj karmnika i kwiczał, aż gęsi gęgały zestrachane i psy, co szły zarówno z ludźmi, doszczekiwać poczynały przy wozach. I szli tak całą drogę, że choć szeroka była, a pomieścić się trudno wszystkim było, że jaki taki schodził na pole w brózdy.

O dużym już dniu, kiej się tak przetarło na niebie, że ino, ino słońca było patrzeć, wyszedł i Boryna z chałupy; przódzi już, bo o świtaniu Hanka z Józką pognały maciorę i podpasionego wieprzka, a Antek powiózł dziesięć worków pszenicy i półkorczyka czerwonej koniczyny. W domu ostawał tylko Kuba z Witkiem i Jagustynka, przywołana, żeby jeść uwarzyła i krów dojrzała.

Witek beczał w głos pod oborą, bo chciało mu się na jarmark.

— Czego się to głupiemu zachciewa — mruknął Boryna, przeżegnał się i poszedł pieszo, bo liczył, że się po drodze przysiędzie do kogo, jakoż i zaraz tak się stało, bo tuż za karczmą dopędził go organista, jadący bryczką w parę tęgich koni.

— Cóż to, na piechty, Macieju?

— La zdrowia... Niech będzie pochwalony.

— Na wieki. Siadajcie z nami, zmieścimy się! — proponowała organiścina.

— Bóg zapłać. Doszedłbym, ale jak powiadają,

zawżdy milej duszy — kiej ją wóz ruszy — odrzekł, sadowiąc się na przedniem siedzeniu, plecami do koni.

Podali sobie przyjaźnie ręce z organistami i konie ruszyły.

— A pan Jaś skąd się wziął, to już nie w klasach? — zapytał chłopca, siedzącego z parobkiem i powożącego.

— Przyjechałem tylko na jarmark! — zawołał wesoło organiściuch.

— Zażyjcie, francuska... — proponował organista, pstrzykając w tabakierkę.

Zażyli i pokichali solennie.

— Cóż tam u was? Sprzedajecie co dzisiaj?

— Bogać ta nie, powieźli do dnia pszenicę, a kobiety pognały świnię.

— Aż tyle! — wykrzyknęła organiścina. — Jasiu, weź szalik, bo chłodno — zawołała do syna.

— Ciepło mi, zupełnie ciepło, — zapewniał, lecz mimo to, okręciła mu czerwonym szalem szyję.

— Abo to wychody małe? Już niewiada skąd brać na wszystko...

— Nie narzekajcie Macieju, chwalić Boga, macie dosyć...

— Przeciech tej ziemi nie ugryzę, a gotowego grosza w zapasie niema...

Ale Boryna, nierad tym wypominkom przy parobku, pochylił się szybko i cicho zapytał:

— A pan Jaś, długo będzie jeszcze w klasach?

— Do świąt jeno.

— Wróci do dom, czy też do urzędu pójdzie?

— Moościewy, a cóżby w domu robił na tych pietnastu morgach, a mało to jeszcze drobiazgu!... A czasy ciężkie, jak z kamienia... — westchnęła.

— Bo i prawda, chrztów to ta jeszcze jest dosyć, ale co z tego za profit!

— Pochowków nie brakuje przeciech — dorzucił ironicznie Boryna.

— I... co za pochowki, sama biedota mrze, a ledwie parę razy w rok zdarzy się jakiś gospodarski pogrzeb, z którego coś kapnie.

— A i wotyw coraz mniej, a i targują się jak te żydy! — dorzuciła.

— Z biedy to wszystko idzje i że złych czasów — usprawiedliwiał Boryna.

— Ale i z tego, że ludzie o zbawienie swoje ani tych w czyścu ostających nie zabiegają. Proboszcz nieraz o tem mówił do mojego.

— I dworów coraz mniej. Dawniej, kiedy się jeździło po snopkach, czy z opłatkami, czy po kolędzie, czy też po spisie — to jak w dym do dworu — nie żałowali i zboża, i pieniędzy, i leguminy. A teraz, Boże zmiłuj się, każdy gospodarz się kurczy i jak ci da snopczynę żyta, to pewnie zjedzoną przez myszy, a jak tę ćwiartczynę owsa dostaniesz, to pewnie plew w nim więcej, niźli ziarna. Niech żona powie, jakie mi to jajka dawali latoś za spis wielkanocny — więcej niż połowa była zbuków. Żeby człowiek nie miał tej trochy gruntu, toby jak dziad żebrać musiał — zakończył, podsuwając Borynie tabakierkę.

— Juści, juści... — potakiwał Boryna, ale nie jego

tumanić, wiedziałci on dobrze, że organista pieniądze ma i na procenta, albo i na odrobek komornikom rozpożycza, to ino uśmiechał się na te wyrzekania i znowu spytał o Jasia...

— I cóż, do urzędu pójdzie?...

— Co? mój Jaś do urzędu, na pisarka? Nie potom sobie od gęby odejmowała, żeby skończył szkoły, nie. Do seminarjum pójdzie, na księdza...

— Na księdza!

— A bo mu to źle będzie? A bo to któren ksiądz ma źle?...

— Pewnie, pewnie... a i honor jest i to, jak powiadają, że kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie... — powiedział wolno i z szacunkiem poglądał przez ramię na chłopaka, pogwizdującego koniom, że to przystanęły nieco dla potrzeby swojej...

— Mówili, że i młynarzów Stacho księdzem miał być, a teraz jest pono we wielgich szkcłach i na dochtora praktykuje...

— Ale, księdzemby być takiemu łajdusowi, przecież moja Magda jest już w szóstym miesiącu i to od niego...

— Powiedali, że to od młynarczyka.

— Ale, prawda była, młynarzowa tak gada, żeby swojego zasłonić. Rozpustnik to, że niech ręka boska broni, prawie mu iść na doktora.

— Juści, że księdzem być lepiej, bo to i Panu Jezusowi chwała i ludziom na pociechę — pogłaskał ją chytrze Boryna, bo co się tam miał spierać z kobietą, i całkiem uważnie słuchał jej wywodów, a organista raz

po raz uchylał czapki i głośnem: Na wieki! odpowiadał na pozdrowienia wymijanych ludzi. Jechali truchtem i Jasio chwacko wymijał wozy, to ludzi, to inwentarz prowadzony, aż dopadł lasu, gdzie już luźniej było i droga szersza.

Zaraz na skraju dopędzili Dominikową, jechała z Jagną i Szymkiem, a krowa uwiązana za rogi szła za wozem, z którego wyglądały białe szyje gąsiorów, ciągiem syczących jako te żmije.

Pochwalili Boga, a Boryna aż się wychylił przy mijaniu i zawołał:

— Spóźnita się!

— Zdążym na czas! — odkrzyknęła Jagna ze śmiechem.

Przejechali, ale organiściuch parę razy obracał się za nią, aż wkońcu spytał:

— To Jagusia Dominikowa?

— Ona ci sama, ona — powiedział Boryna, patrząc z oddalenia na nią.

— Nie poznałem, bo dobrze już ze dwa lata jej nie widziałem.

— Młódka to jest jeszcze, a wtedy bydło pasała. Rozbuchała się ino, kiej jałowica na koniczynie — i aż się wychylił, żeby spojrzeć na nią.

— Bardzo ładna — rzucił chłopak.

— Jak wszystkie dziewki — powiedziała organiścina pogardliwie.

— Juści że gładka. Udała się dziewucha, to też niema tygodnia, żeby kto do niej z wódką nie posyłał.

— Przebierna! Stara myśli, że conajmniej to już

jaki rządca zjedzie po nią i parobków odgania... — szepnęła zjadliwie.

— Bo mógłby ją wziąć i taki, co siedzi choćby i na włóce... warta tego...

— To tylko wam posłać swatów, Macieju, kiedy ją tak chwalicie! — zaczęła się śmiać, a Boryna już się nie ozwał ni słowem.

— Hale, taki tam łachmytek miescki, wielga mi osoba, co ino gospodarskim kurom pod ogon uważa, czy la niej jajków nie niesą, abo i ludziom w garście, będzie się ta przekpiwała z rodowych gospodarzy! Wara ci od Jagusi! — myślał, zeźlony silnie i ino poglądał przed się, na czerwieniejący zapaskami wóz Dominikowej, któren ostawał coraz dalej, bo Jasio tęgo prażył konie, że rwały z kopyta, aż się błoto otwierało.

Próżno organiścina pogadywała o tem i owem, kiwał głową, cosik tam mamrotał pod nosem i tak się zawziął, że ozwać się nie chciał ni słowem jednem.

I skoro tylko wjechali na wyboisty bruk miasteczka, zesiadł z bryczki i jął dziękować za podwiezienie.

— Pod wieczór wracamy, chcecie, to się przysiądźcie do nas — proponowała.

— Bóg zapłać, mam przeciech swoje konie. Powiedziałyby, że się do kalikowania godzę, na pomocnika organiście... a ja ta nuty nijakiej nie wyciągnę i świeców gasić nie nauczny...

Pojechali w boczną uliczkę, a on się zwolna przedzierał przez główną, do rynku, bo jarmark był sielny i choć to jeszcze dość rano, a narodu już się gęstwiło niezgorzej; wszystkie ulice, place, zaułki i podwórza za-

8*

walone były ludźmi, wozami i towarem różnym — nic jeno ta wielka woda, do której ciągiem jeszcze, ze wszystkich stron, dopływały nowe rzeki ludzkie i cieśniły się, kolebały, toczyły po ciasnych uliczkach, aże domy się trząść zdały, i rozlewały po wielkim placu klasztornym. Niewielkie jeszcze po drodze błoto, tutaj bite i rozrabiane tysiącami nóg było już po kostki i tryskało z pod kół na wszystkie strony.

Gwar już był znaczny, a wzmagał się z każdą chwilą; głucha wrzawa huczała niby bór, kiej morze się kolebała, biła o ściany domów i przewalała z końca w koniec, że tylko niekiedy słychać było ryki krów, to granie katarynki przy karuzeli, to płaczliwe lamentacje dziadów, albo ostre, przenikające piszczałki koszykarzy.

Jarmark był wielki, co się zowie, narodu skupiło się tyla, że i przejść było niełatwo, a już w rynku pod klasztorem, to Boryna przez siłę pchać się musiał, taki gąszcz się czynił między kramami.

Było też tego, było, że ani przeliczyć, ni objąć, gdzieby zaś tam kto poradził.

A najpierwej te płócienne, wysokie budy, co stały wzdłuż klasztoru we dwa rzędy, zapchane całkiem towarem kobiecym — a płótnami, a chustkami, co wisiały na żerdkach i jako te maki były czerwone, że aż się w oczach ćmiło, a drugie zasię całkiem żółte się widziały, a insze buraczkowe... i kto je tam wszystkie spamięta! A dzieuch i kobiet pełno tu przed niemi, że i kija nie było gdzie wrazić — która targowała i wybierała sobie, a drugie aby ino popatrzeć i oczy se ucieszyć ślicznościami.

A potem znów szły kramy, co się aż lśniły od paciorków, lusterek, szychów, a wstążek, a kryzków onych na szyję, a kwiatuszków zielonych, złotych i różnych... a czepków i Bóg ta wie czego jeszcze.

Gdzie znowu święte obrazy sprzedawali w pozłocistych ramach i za szkłem, że choć stały pod ścianami albo i zgoła na ziemi leżały, a szedł od nich blask, że jaki taki do czapki sięgał i znak krzyża czynił świętego.

Boryna kupił jedwabną chustkę na głowę dla Józki, którą był jeszcze na zwiesnę obiecał dziewczynie za pasionkę, wsadził za pazuchę i jął się przepychać do targowiska świńskiego, co było za klasztorem.

Ale szedł wolno, że to ciżba była sroga i że się popatrzeć było na co.

Gdzie czapnicy pod domami porozwieszali szerokie drabiny, zawieszone od góry do dołu czapkami.

Gdzie znów szewcy tworzyli całą ulicę wysokich kozłów drewnianych, na których, sczepione za uszy, wisiały szeregi butów, i takich zwyczajnych, żółtych do smarowania przetopionem sadłem, żeby wody nie puściły, i takich już pod glanc przyszykowanych, i ciżem kobiecych z czerwonemi sznurowadłami a na wysokich obcasach.

A za nimi ciągnęły się rymarze z chomontami na kołkach i uprzężą rozwieszoną.

A potem powroźnicy i ci, co sieci sprzedawali.

I ci, co z sitami po świecie jeździli.

I ci, co z kaszą po jarmarkach się wodzili.

A kołodzieje, a garbarze.

Gdzie znowu krawce i kożuszarze rozwiesili swoje

towary, od których bił taki zapach, aże w nozdrzach wierciło; te miały odbyt niezgorszy, że to na zimę szło.

A potem całe rzędy stołów nakrytych płóciennemi daszkami a na nich zwoje kiełbas czerwonych i grubych kiej liny, wały żółtego sadła, boczki wędzone, połcie słoniny, szynki — spiętrzały się na kupach, a gdzie znów na hakach wisiały całe wieprzki wypaproszone i broczące jeszcze posoką, że trza było odganiać piesków, co się cisnęły.

A wpodle rzeźników, jako to braty rodzone, stali piekarze i na podesłanej grubo słomie, na wozach, na stołach, w koszach i gdzie się dało, leżały góry bochnów wielkich jak koła, placków żółtych, bułek, kukiełek...

Gdzie zaś i kto przeliczy i spamięta te wszystkie kramy i to, co w nich sprzedawali?...

Były z zabawkami i takie z piernikami, gdzie z ciasta lepione były zwierze różne, a serca, a żołnierze i cudaki takie, że i nie rozeznać bele komu; były takie, gdzie kalendarze, gdzie książki nabożne, gdzie historje o zbójach i srogich Magielonach przedawali i lementarze też; były i takie, gdzie piszczałki, organki i gliniane kuraski i jensze muzyckie rzeczy — w które juchy żółtki la zachęty grali, że taki jazgot się czynił, że i wytrzymać trudno było — bo ci tu kurasek piszczy, tam trąbka potrębuje, gdzie z piszczałek przebieraną nutę wyciągają, tam ci znowu skrzypki piskają, a owdzie bęben pobekuje stękający — jaże we łbie łupało od wrzasku.

Zaś w pośrodku rynku dookoła drzew rozciągali się bednarze, blacharze i garncarze, porozstawiali tyle misek i garnków, że ledwie przejść można było, a za nimi

stolarze; łóżka i skrzynie malowane, i szafy, i półki i stoły, aże grały temi farbami, że oczy trza było mrużyć...

A wszędy, na wozach, pod ścianami, wzdłuż rynsztoków, gdzie ino miejsca było, rozsiadły się kobiety sprzedające; która cebule w wiankach albo i we workach; która z płótnami swojej roboty i wełniakami; która z jajkami, a serkami, a grzybami, a masłem w osełkach poobwijanych w szmatki; inna znów zasię ziemniaki, to gąsków parę, to wypierzoną kurę, to len pięknie wyczesany albo i motki przędzy miała, a każda siedziała przy swoim i poredzały se godnie, jak to zwyczajnie na jarmarkach bywa, a trafił się kupiec, to sprzedawały wolno, spokojnie, bez gorącości — po gospodarsku, nie tak, jako te żydy, co wykrzykują, handryczą i ciskają się kiej głupie.

Gdzie niegdzie zaś, pomiędzy wozami i kramami kurzyło się z blaszanych kominków — tam sprzedawali gorącą herbatę — a i insze jadło jako to: kiełbasę prażoną, kapustę, barszcz z ziemniakami też mieli.

I dziadów zlazło sie ze wszystkich stron co niemiara: ślepych, kulawych, niemych i zgoła bez rąk i nóg, tyla, jak na odpuście jakim. Wygrywali na skrzypicach pieśni pobożne, drugie śpiewali, pobrzękując w miseczki, a wszystkie z pod wozów, z pod ścian i prosto z błocka żebrali lękliwie i wypraszali sobie ten grosik jakiś abo jensze wspomożenie.

Przejrzał to wszystko Boryna, podziwował się nad niejednem, pogwarzył coś niecoś ze znajomkami i dopchał się wreszcie na targowisko świńskie, za klasztor, na ogromny piaszczysty plac, zrzadka ino obsadzony do-

mami, gdzie pod samym murem klasztoru, z za którego wychylały się ogromne dęby, pełne jeszcze żółtych liści, kupiło się dosyć ludzi, wozów i leżały całe zagony świń, spędzonych na sprzedaż.

Rychło odnalazł Hankę z Józką, bo zaraz z kraja były.

— Sprzedajeta, co?

— Hale, już tu targowali rzeźnicy maciorę, ale mało dają...

— Świnie drogie?

— Bogać tam drogie, spędzili tyla, że niewiada, kto to rozkupi.

— Są ludzie z Lipiec?

— O, hań tam mają prosięta Kłęby, a i Szymek Dominików stoi przy wieprzku.

— Uwińta się rychło, to se ździebko popatrzycie na jarmark.

— Już też i ckno tak siedzieć.

— Wiele dają za maciorę?

— Trzydzieści papierków, powiadają że niedopasiona, bo ino w gnatach gruba a nie w słoninie.

— Ocyganiają, jak ino mogą... ale ma ci słonine na jakie cztery palce... — rzekł, omacawszy maciorze grzbiet i boki. — Wieprzak chudy na bokach, ale portki ma niezgorsze na szynki — dodał, spędziwszy go z mokrego piasku, w którym do półboków leżał zanurzony.

— Za trzydzieści pięć sprzedajcie, zajrze do Antka ino i zaraz do was przylece. Jeść wam się nie chce?...

— Pojadłyśmy już chleba.

— Kupię wam i kiełbasy, ino sprzedajcie a dobrze.

— Tatulu, a nie zabaczcie o chustce, coście to jeszcze na wiesne obiecali...

Boryna sięgnął za pazuchę, ale się wstrzymał, jakby go coś tknęło, bo tylko machnął ręką i rzekł odchodząc:

— Kupię ci Józia, kupię... — i aż w dyrdy ruszył, bo dojrzał twarz Jagny między wozami, ale nim doszedł, zczezła gdzieś do cna, jakby się w ziemię zapadła; jął więc odszukiwać Antka; nie łacno to było, bo w tej uliczce, prowadzącej z targowiska na rynek, stał wóz przy wozie i to w rzędów parę, że środkiem i z trudem niemałym a baczeniem można było przejechać — ale wnet się na niego natknął. Antek siedział na workach i smagał batem żydowskie kury, co się stadami uwijały koło kobiałek, z których jadły konie, a półgębkiem odpowiadał kupcom.

— Powiedziałem siedem, to powiedziałem.

— Sześć i pół daję, więcej nie można, pszenica ze śniedzią.

— Jak ci parchu lunę przez ten pysk paskudny, to ci wnet zaśniedzieje, ale pszenica czysta jak złoto.

— Może być, ale wilgotna... Kupię na miarę i po sześć rubli i pięć złotych.

— Kupisz na wagę i po siedem, rzekłem!

— Co się gospodarz gniewa, kupię nie kupię, a potargować można.

— A targuj się, kiej ci pyska nie szkoda. — I nie zwracał już uwagi na żydów, którzy rozwiązywali worki pokolei i oglądali pszenicę.

— Antek, pójde ino do pisarza i w to oczymgnienie przyjdę do cie...

— Co, na dwór skargę podajecie?

— A bez kogo to padła moja graniasta?

— Dużo ta wskóracie!

— Swojego darować nie daruję.

— I... borowego przyprzeć gdzie w boru do chojaka, sprać czem twardem, żeby mu aż żebra zapiszczały — zaraz byłaby sprawiedliwość.

— Borowy, juści, że mu się to należy, ale dworowi też — rzekł twardo.

— Dajcie mi złotówkę.

— Na co ci?

— Gorzałki bym się napił i przegryzł co...

— Nie masz to swoich? Ciągiem ino w ojcowę garść uważasz...

Antek odwrócił się gwałtownie i jął pogwizdywać ze złości, a stary, chociaż z żalem i markotnością, wysupłał złotówkę i dał.

— Żyw wszystkich swoją krwawicą... — myślał i śpiesznie się przeciskał do ogromnego narożnego szynku, gdzie było już sporo ludzi, pożywiających się; w alkierzu od podwórza mieszkał pisarz.

Właśnie siedział pod oknem przy stole z cygarem w zębach, w koszuli był tylko, nieumyty i rozczochrany; jakaś kobieta spała na sienniku w kącie, przykryta paltem.

— Siadajcie, panie gospodarzu! — zrzucił ze stołka obłocone ubranie i podsunął Borynie, któren zaraz opowiedział dokumentnie całą sprawę.

— Wasza wygrana, jak amen w pacierzu. Jeszcze-

by! krowa zdechła i chłopak choruje z przestrachu! Dobra nasza! — zatarł ręce i szukał papieru na stole.

— Hale... kiej zdrowy chłopak.

— Nic nie szkodzi, mógł zachorować. Bił go przecież...

— Nie, bił ino chłopaka sąsiadów.

— Szkoda, toby było jeszcze lepsze. Ale to się jakoś zesztukuje tak, że będzie i choroba z pobicia i zdechła krowa. Niech dwór płaci.

— Juści, o nic nie idzie ino o sprawiedliwość.

— Zaraz sie napisze skarge. Frania, a ruszno się wałkoniu! — krzyknął i tak mocno kopnął leżącą, że podniosła rozczochraną głowę. — Przynieś no gorzałki i co zjeść...

— Ani dydka nie mam, a wiesz Guciu, że nie zborgują... — mruczała i podniósłszy się z barłogu, jęła ziewać i przeciągać się; wielka była jak piec, twarz miała ogromną, obrzękłą, posiniaczoną i przepitą, a głos cienki, jakby dzieciątka.

Pisarz pracował, aż pióro skrzypiało, pociągał cygara, puszczał dym na Borynę, który przypatrywał się pisaniu, zacierał chude, piegowate ręce i raz wraz odwracał wynędzniałą, okroszczoną twarz na Frankę; zęby przednie miał przyłamane, usta sine i wielkie czarne wąsy.

Napisał skargę, wziął za nią rubla, wziął na marki drugiego i ugodził się na trzy za stawanie w sądzie, jak sprawa przyjdzie na stół.

Boryna się na wszystko zgodził skwapliwie, bo miarkował, że dwór mu wszystko zapłaci i z nawiązką.

— Sprawiedliwość musi być na świecie, to sprawa wygrana! — rzekł na odchodnem.

— Nie wygramy w gminnym, to pójdziemy do zjazdu, zjazd nie poradzi, pójdziemy do okręgowego, do izby sądowej — a nie darujemy.

— Zaśbym tam darował swoje! — zawołał z zawziętością Boryna — i komu jeszcze, dworowi, co ma tyle lasów i ziemi!... — rozmyślał, wychodząc na rynek i zaraz jakoś przy czapnikach natknął się na Jagnę.

Stała w czapce granatowej na głowie, a drugą jeszcze targowała.

— Obaczcieno Macieju, bo ten żółtek powiada, że dobra, a pewnikiem cygani...

— Galanta, la Jędrzycha?

— Juści, Szymkowi już kupiłam.

— Nie zamała to będzie?

— Takusińką ma ci głowę, kiej moja...

— Piekny z ciebie byłby parobeczek...

— Abo i nie! — zawołała zuchowato, bakierując nieco czapkę...

— Wnetkiby cię tu godziły do siebie...

— Hale... inom za droga do służby. — Zaczęła się śmiać.

— Jak komu... mniebyś ta za droga nie była...

— I w polu robićbym nie robiła...

— Robiłbym ja za ciebie Jaguś, robił, — szepnął ciszej i tak spojrzał na nią namiętnie, aż dziewczyna cofnęła się zakłopotana i już bez targu zapłaciła za czapkę.

— Sprzedaliście krowę? — zapytał po chwili, opa-

miętawszy się nieco i wytchnąwszy z owej lubości, co mu jak gorzałka buchnęła do głowy.

— Kupili ją la księdza do Jerzowa. Matka poszła z organistami, bo chcą zgodzić parobka.

— A to my sobie choćby na ten kieliszek słodkiej wstąpimy!...

— Jakże to?

— Zziębłaś Jaguś, to się ździebko ogrzejesz...

— Gdziebym zaś z wami szła na wódkę!...

— A to przyniese i tutaj się napijem, Jaguś...

— Bóg zapłać za dobre słowo, ale mi matki trza poszukać.

— Pomogę ci Jaguś... — szepnął cichym głosem i poszedł przodem, a tak robił łokciami, że Jagna swobodnie szła za nim wskróś ciżby, ale gdy weszli między płócienne kramy, dziewczyna zwolniła, przestawała i aż jej oczy rozgorzały do tych różności porozkładanych.

— To ci śliczności, mój Jezus kochany! — szeptała, przystając przed wstążkami, które uwieszone w górze, kołysały się na wietrze, niby tęcza paląca.

— Która ci się widzi Jaguś, to se wybierz — rzekł po namyśle, przezwyciężając skąpstwo.

— Hale, ta żółta w kwiaty, z rubla kosztuje abo i dziesięć złotych!

— Nie twoja w tem głowa, weź ino...

Ale Jaguś przez siłę i z żalem oderwała ręce od wstążki i poszła dalej do drugiego kramu, Boryna ino pozostał na chwilę.

A w tym znowu chustki były i materje na staniki i kaftany.

— Jezus mój, jakie śliczności, Jezus! — szeptała oczarowana i raz wraz zanurzała ręce drżące w zielone atłasy, to w czerwone aksamity i aż się jej ćmiło w oczach i serce dygotało z rozkoszy. A te chustki na głowę! Ponsowe jedwabne z zielonemi kwiatami przy obrębku, złociste całe, kiej ta święta monstrancja; a modre jako to niebo po deszczu; a białe, a już najśliczniejsze te mieniące, co się lśkniły, kiej woda pod zachodzącem słońcem, a lekkie, kieby z pajęczyny! Nie, nie ścierpiała i jęła przymierzać na głowę a przeglądać się w lusterku, które przytrzymywała żydówka.

Ślicznie jej było, jakoby zorze namotała na swoich lnianych włosach, a one modre oczy tak rozgorzały z radości, aż fiołkowy cień padał od nich na twarz pokraśniałą, uśmiechała się do siebie, aż ludzie poglądali na nią, taka była urodna i taka młodość i zdrowie biło od niej.

— Dziedzicówna jaka przebrana, czy co? — szeptali.

Przyglądała się sobie długo i z ciężkiem westchnieniem zdjęła chustkę, ale wzięła się targować, bo choć kupić nie miała, a ino tak sobie, żeby oczy dłużej nacieszyć.

Ostygła wnetki, bo kupcowa powiedziała pięć rubli, że i sam Boryna jął ją zaraz odwodzić.

Przystanęli jeszcze przed paciorkami — a było ich tam niemało, jakby kto cały kram posuł temi kamuszczkami drogiemi, że się lśniły, a połyskały ino, aże oczów oderwać było trudno, bursztyny żółte, jakoby z żywicy pachnącej uczynione; korale, kieby z tych kropel krwi

nanizane, a perły białe, wielkie jak orzechy laskowe, a drugie ze srebra i złota...

Przymierzała Jaguś niejedne i przybierała między niemi, a już się jej widział najśliczniejszym sznur korali, obwinęła nim białą szyję we cztery rzędy i zwróciła się do starego.

— Uważacie, co?

— Pieknie ci Jaguś! Mnie ta nie dziwota korale, bo ano leży we skrzyni coś z osiem biczów po nieboszczce, a wielkich jak dobry groch polny... — rzekł z rozmysłem od niechcenia niby.

— Co mi ta z tego, kiej nie moje! — rzuciła ostro paciorki i śpiesznie już szła zachmurzona i smutna.

— Jaguś, a to przysiądźmy se ździebko.

— Ale, do matki mi czas.

— Nie bój się, nie odjedzie cie.

Przysiedli na jakimś dyszlu wystającym.

— Sielny jarmarek — rzekł po chwili Boryna, rozglądając się po rynku.

— Przecież nie mały! — Poglądała jeszcze ku kramom z żałością i często sobie westchnęła, ale już ją odchodziła smutność, bo powiedziała.

— Tym dziedzicom, to dobrze... Widziałam dziedziczkę z Woli z panienkami, to tyla sobie kupowały, że aże lokaj za niemi nosił! i tak co jarmark!

— Kto ciągiem jarmarczy — temu długo nie starczy.

— Im tam wystarczy.

— Póki żydy dają — rzucił złośliwie, aż Jaguś

obejrzała się na niego i nie wiedziała co rzec na to, a stary, nie patrząc na nią, zagadnął cicho:

— Byli to od Michała Wojtkowego z wódką u ciebie Jaguś, co?...

— A byli i poszli!... Niezguła jeden, jemu też swatów posyłać — zaśmiała się.

Boryna powstał prędko, wyjął z zanadrza chustkę i coś jeszcze w papier owinięte.

— Potrzymaj-no to Jaguś, bo mnie trzeba zajrzeć do Antka.

— Jest to na jarmarku? — Oczy jej pojaśniały.

— Ostał przy zbożu, tam ano w ulicy. Weź sobie Jaguś, to la ciebie — dodał widząc, że Jagna zdumionemi oczami wodziła po chustce.

— Dajecie?... Naprawdę la mnie? Jezus, jakie śliczności! — wykrzyknęła, rozwijając wstążkę tę samą, co się jej tak podobała. — Hale, ino tak przekpiwacie se ze mnie, za cóżby mnie? Kosztuje tyla pieniędzy... a chustka czysto jedwabna...

— Weź Jaguś, weź, la ciebie kupiłem, a jak ta któren parobek będzie przepijał do ciebie, nie odpijaj, na co sie spieszyć... mnie już czas iść.

— Moje to, prawdę mówicie?

— Zaśbym tam ocyganiał cię!

— I uwierzyć trudno. — I rozkładała ciągle chustkę, to wstążkę.

Ostaj z Bogiem, Jaguś.

— Bóg wam zapłać, Macieju.

Boryna odszedł a Jagna raz jeszcze rozwinęła i przepatrywała, naraz zawinęła wszystko razem

i chciała bieżyć za nim i oddać... bo jakże jej brać od obcego, nie krewny żaden ni pociotek nawet... ale już starego nie było. Pociągnęła wolno szukać matki i z lubością, ostrożnie dotykała chustki wsadzonej za pazuchę. Taka była uradowana, że ino jej białe zęby połyskiwały w uśmiechu, a twarz gorzała rumieńcem.

— Jagusia!... Do wspomożenia... biedna sierota... ludzie kochane... krześcijany prawdziwe... Zdrowaś Marja za te duszyczki... Jagusia!...

Jagna oprzytomniała i jęła oczami szukać, kto ją wołał i skąd i wnet dojrzała Agatę, siedzącą pod murem klasztoru, na garści słomy, że to błocko w tem miejscu było po kostki. Przystanęła żeby jakiego grosza poszukać, a Agata, uradowana z obaczenia swojaczki, nuż wypytywać się, co tam w Lipcach się dzieje...

— Wykopaliśta już?

— Do cna!

— Nie wiecie, co u Kłębów?

— Wygnali was w tyli świat, na żebry, a ciekawiście ich?

— Wygnali, nie wygnali, samam poszła, bo trza było... jakże, darmo to mi dadzą ten kąt abo jeść, kiej sie u nich nie przelewa... A ciekawam, boć krewniaki...

— A co z wami?

— A co, chodzę od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, od jarmarku na jarmarek i tą modlitwą upraszam se u dobrych ludzi gdzie kąt, gdzie warzy łyżkę, gdzie grosik jaki! Dobre są ludzie, ubogiemu nie dadzą mrzeć z głodu, nie. Nie wiecie, zdrowi tam wszyscy u Kłębów? — zapytała nieśmiało.

— Zdrowi, a wy nie chorujecie?

— I... gdzie zaś, w piersiach mę cięgiem poboliwa, a jak się naziębię, to i żywą krwią pluję... Niedługo mi już, niedługo. Choć ino do zwiesny dociągnąć, wrócić do wsi i tam se między swojemi zamrzeć — o to ino Jezusiczka proszę, o to jedynie — rozłożyła ręce okręcone różańcami, wzniesła zapłakaną twarz i jęła się modlić tak gorąco, aż łzy jej pociekły z zaczerwienionych oczów.

— Zmówcie pacierz za tatula — szepnęła Jagna, wtykając jej pieniądz.

— To będzie za tych w czyścu ostających, a za swoich to już ja i tak się cięgiem modlę i Boga proszę, za żywych i umarłych. Jaguś, a nie przysyłali to z wódką?

— Przychodzili.

— I żaden ci się nie uwidział?...

— Żaden. Ostajcie z Bogiem, a na zwiesnę do nas zajrzyjcie — powiedziała prędko i poszła do matki, którą ujrzała zdala z organistami.

Boryna zaś powracał do Antka wolno, raz że ciżba była, a drugie, że mu Jaguś cięgiem w myśli stała, ale nim doszedł, spotkał się z kowalem.

Przywitali się i szli wpodle siebie, milcząc.

— Skończycie to ze mną, hę? — zaczął ostro kowal.

— Niby z czem? Mogłeś mi to samo i w Lipcach powiedzieć. — Zły już był.

— Przecież już cztery roki czekam.

— Przybaczyłeś se dzisiaj! To se jeszcze poczekaj ze czterdzieści, kiej zamrę.

— Już i ludzie mi redzą, żeby do sądu podać... ale...

— Podaj. Powiem ci, gdzie skargi piszą, i na pisarza dam rubla...

— Ale se myślę, że po dobremu się zagodzimy... — skręcił chytrze.

— Prawda, z kim nie wojną — z tym zgodą.

— Sami to miarkujecie niezgorzej.

— Mnie ta z tobą ni zgody ni wojny nie potrzeba.

— Zawżdy to pierwszy żonie powiadam, że ociec jest za sprawiedliwością.

— Każden jest za sprawiedliwością, komu ją w kumy prosić potrza — mnie nie potrza, bom ci nic niewinowaty — powiedział twardo, aż kowal zmiękł, że to z tej strony go napocząć nie napocznie i jakby nigdy nic, najspokojniej i prosząco rzekł:

— Napiłbym się czego, postawicie?...

— Postawię. Jakże, najlepszy zięć prosi, to choćby i całą kwartę — przekpiwał zdziebko, wchodząc do narożnego szynku; był już tam i Jambroży, ale nie pił, siedział w kącie markotny jakiś i smutny.

— Po gnatach mę łupie, to pewnie na pluchę — wyrzekał.

Wypili raz i drugi ale w milczeniu, bo obaj dość złości mieli do się na wątpiach.

— Kiej na pogrzebie pijeta! — ozwał się Jambroży, zły juści, że go to nie poprosili, bo od rana jakby nic w gębie nie miał.

— Jakże gadać. Ociec tyla dzisiaj sprzedaje, to muszą uważać, komu pieniądze na precenta dać...

— Macieju! Mówię wam Macieju, że Pan Jezus...

— Komu Maciej to Maciej, a tobie wara! Widzisz go juchę. Za pan brat świnia z pastuchą. — Ozeźlił się srodze.

A kowal, że to już po dwóch mocnych, nabrał rezonu i rzekł cicho:

— Ociec, powiedzcie to słowo — dacie czy nie?

— Powiedziałem; do grobu ze sobą nie zabierę, a przódzi ni morga nie popuszczę. Na wycug do waju nie pójdę... jeszcze mi miły ten rok abo i dwa na świecie.

— To spłatę dajcie.

— Rzekłem, słyszałeś?

— Za trzecią kobietą się oglądają, to co im ta znaczą dzieci — szepnął Jambroży.

— A bo i pewnie.

— Spodoba mi się, to się i ożenię. Zabronisz?

— Zabronię, nie zabronię, ale...

— Jak mi się spodoba, to z wódką poślę choćby jutro.

— Ślijcie, a bo ja to wam przeciwny. Dajcie mi chociaż tego ciołka, co wam ostał po graniatej, to i sam pomogę. Rozum wy swój macie, to miarkujcie, z czem wam najlepiej. Nie raz i nie dwa przekładałem żonie, co wam ano kobiety potrzeba, żeby upadku w gospodarstwie nie było...

— Mówiłeś to tak, Michał?...

— Żebym tak spowiedzi świętej nie doczekał. Mówiłem. Całej wsi przecież redzę, jak komu potrzeba, a nie wiedziałbym, co wam potrzeba!

— Cyganisz ty jucho, aż się kurzy, ale jutro

przyjdź, ciołka dostaniesz, bo jak prosisz — dam; a prawować się zechcesz ze mną — to ten patyk złamany weźmiesz abo i co gorsze...

Napili się jeszcze, kowal już postawił i przyzwał jeszcze do kompanji Jambroża, któren ochotnie się przysiadł i jął gadki ucieszne opowiadać, a przekpiwać się, że raz wraz śmiechem wybuchali.

Niedługo cieszyli się ze sobą, bo każdemu pilno było iść do swoich, a i do spraw różnych; rozeszli się w zgodzie, ale jeden drugiemu nie wierzył ani tyla, co za paznokciem — znali się dobrze jak te łyse konie i przezierali nawskróś kieby przez szyby.

Jambroży tylko ostał, poczekiwał na kumów abo i znajomków, żeby mu kto postawił jeszcze jaką półkwaterkę, bo dobra i psu mucha, póki kto całego gnata nie rzuci, a napić się lubiał niezgorzej i samemu stawiać sobie było trudno a nie dziwota, kościelnym był ino.

I jarmark dobiegał już końca.

W samo południe zaświeciło słońce ale tylko tyla, coby kto lustrem mignął po świecie i zaraz się schowało za chmury; a już przed wieczorem sposępniało na świecie, chmurzyska wlekły się nisko, że prawie na dachach leżały i drobny deszcz jął siać kiej przez gęste sito. To i rozjeżdżali się prędzej — każdy śpieszył do dom, żeby się dostać przed nocą i większą pluchą.

I handlarze rychlej zdejmowali kramy i pakowali się na wozy, że to deszcz zacinał coraz gęstszy i zimniejszy.

Mrok zapadał prędko ciężki i mokry.

Miasteczko pustoszało i milkło.

Tylko dziady i jeszcze gdzie niegdzie pojękiwali z pod ścian i w karczmach podnosiły się wrzaski pijaków i kłótnie.

Jakoś już o samym wieczorze wyjechali z miasta Borynowei; sprzedali wszystko, co mieli, nakupywali różności i użyli jarmorku, co się zowie. Antek podcinał koni i jechał, aż się błoto otwierało, bo i ziąb był i podpili sobie wszyscy niezgorzej; stary choć skąpy był i aż piszczał za groszem, a tak ich dzisiaj ugaszczał i jadłem i napitkiem i tem dobrem słowem, że aż dziwno było.

Noc się zrobiła zupełna, gdy dojechali do lasu.

Ciemno było, że choć oko wykol; deszcz padał coraz grubszy i gdzie niegdzie po drodze rozlegały się turkoty wozów i ochrypłe śpiewy pijaków, albo i ktosik człapał się wolno po błocie.

A środkiem topolowej drogi, co ino szumiała głucho i pojękiwała jakby z zimna, szedł Jambroży pijany już całkiem, taczał się z boku na bok, czasem utknął na drzewo abo i w błoto, ale się rychło podnosił i cięgiem podśpiewywał na całe gardło, jak to miał we zwyczaju.

Plucha szła taka i ciemność, że koniom ogonów nie rozeznał, a i światła wsi widziały się ledwie jako to wilczych ślepiów migotanie.

VI.

Deszcze się rozpodały na dobre.

Już od samego jarmarku świat zwolna zatapiał się w szarych, mętnych szkliwach deszczów, że tylko ob-

rysy borów i wsi majaczyły blade, niby z przemiękłej przędzy utkane.

Szły nieskończone, zimne, przenikające szarugi jesienne.

Siwe, lodowate bicze deszczów siekły bezustannie ziemię i przemiękały do głębi, aż drzewo każde, źdźbło każde dygotało w bezmiernym bólu.

A z pod ciężkich chmur, skłębionych nad ziemią, z pod zielonawych szarug, wychylały się chwilami szmaty pól poczerniałych, przemiękłych, rozpłaszczonych — to wybłyskiwały strugi spienionej wody, płynącej brózdami, albo czerniały drzewa samotne na miedzach, jak przygięte, nabrzmiałe wilgocią, trzęsły ostatniemi łachmanami liści i szamotały się rozpaczliwie niby psy na uwięzi.

Drogi opustoszałe rozlały się w błotniste, gnijące kałuże.

Krótkie, smutne, bezsłoneczne dnie wlekły się ciężko przegniłemi smugami światła, a noce zapadały czarne, głuche, rozpaczliwe bezustannym, monotonnym chlupotem...

Przerażająca cichość ogarnęła ziemię.

Umilkły pola, przycichły wsie, ogłuchły bory.

Wsie poczerniały i jakby silniej przywarły do ziemi, do płotów, do tych sadów nagich, poskręcanych i jęczących zcicha.

Szara kurzawa deszczów przysłoniła świat, wypiła barwy, zgasiła światła i zatopiła w mrokach ziemię, że wszystko wydało się jakby sennem majaczeniem, a smutek wstawał z pól przegniłych, z borów zdrętwia-

łych, z pustek obumarłych i wlókł się ciężkim tumanem; przystawał na głuchych rozstajach, pod krzyżami, co wyciągały rozpacznie ramiona, na pustych drogach, gdzie nagie drzewa trzęsły się z zimna i łkały w męce, do opuszczonych gniazd zaglądał pustemi oczami, do rozwalonych chałup, na umarłych cmentarzach tłukł się wśród mogił zapomnianych i krzyży pogniłych i płynął światem całym, przez nagie, odarte, splugawione pola, przez wsie zapadłe i zaglądał do chat, do obór, do sadów, aż bydło ryczało z trwogi, drzewa się przyginały z głuchym jękiem, a ludzie wzdychali żałośnie w strasznej tęsknocie — w nieutulonej tęsknocie za słońcem.

. . . .

Deszcz mżył bezustannie, jakoby kto drobnem szkliwem przysłaniał świat, że Lipce całe tonęły w gęstych tumanach szarugi, z pod której tylko gdzie niegdzie czerniały dachy, to obmoknięte płoty kamienne lub te brudne kołtuny dymów, co się wiły nad kominami i wlekły po sadach.

Cicho było we wsi, tylko gdzie niegdzie młócono po stodołach ale i zrzadka, bo wieś cała była na kapuśniskach.

Pustka leżała na błotnistej, rozmiękłej drodze i pusto było w obejściach i przed domami, czasami tylko ktoś zamajaczył we mgle i ginął wnetki, że tylko człapanie trepów po błocie było słychać, albo wóz naładowany kapustą wlókł się wolno od torfowisk i rozganiał gęsi, brodzące za liściami spadłemi z wozów.

Staw szamotał się w ciasnych brzegach i przybierał ciągle, bo aż się przelewał w niższych miejscach na drogę po Borynowej stronie, sięgał płotów i bryzgał pianą na ściany chałup.

Cała wieś była zajęta wycinaniem i zwożeniem kapusty; pełno jej było po klepiskach, sieniach i izbach, a jak u niektórych i pod okapami siniały kupy główek.

Przed domami, wystawione na deszcz, mokły ogromne beczki.

Spieszono się nagwałt, bo deszcz prawie nie ustawał, a drogi robiły się grząskie, nie do przebycia.

I u Dominikowej dzisiaj wycinano.

Już od rana pojechała na kapuśnisko Jagna z Szymkiem, bo Jędrzych ostał i łatał ano dach, że to przeciekał w paru miejscach.

Pod wieczór to już było i jakby się ździebko mroczeć zaczynało, to stara raz wraz wychodziła przed dom i patrzyła w mgły, ku młynowi i nasłuchiwała, czy nie jadą jeszcze?...

A na kapuśniskach, leżących nisko za młynem, w torfowiskach, wrzała jeszcze na dobre robota.

Czarniawe mokre mgły leżały na łąkach, że tylko gdzie niegdzie błyskały szerokie rowy pełne siwej wody, i wysokie zagony kapusty, siniejącej bladą zielenią albo rdzawej, niby pasy blachy żelaznej, a tu i owdzie majaczyły we mgle czerwone wełniaki kobiet i kupy wyciętych główek.

W dali przemglonej, nad rzeką, co płynęła z szumem wskroś gęstych zarośli ,siniejących niby chmura, czerniały stogi torfu i wozy, do których donoszono ka-

pustę w płachtach, bo z powodu rozmiękłego gruntu dojechać nie było można do kapuśnisków.

Docinali już niektórzy i zabierali się do domu, więc i głosy coraz mocniejsze rozlegały się w mgle i leciały z zagonu na zagon.

Jagna skończyła dopiero co swój zagon, zmęczona była srodze, głodna i przemoczona do skóry, bo nawet i trepy zapadały się w rudy, torfiasty grunt po kostki, że raz wraz je zzuwała, żeby wylać wodę.

— Szymek, a dyć się ruchaj prędzej, bo już kulasów nie czuję! — wołała żałośnie, a widząc, że chłopak nie może sobie zadać, wyrwała mu niecierpliwie ogromny toboł, zarzuciła go na plecy i poniesła na wóz.

Parobek z ciebie tyli, a miętki jesteś w grzbiecie, kiej kobieta po rodach — szepnęła pogardliwie, wsypując kapustę do półkoszków wysłanych słomą.

Szymek przywstydzony mamrotał coś pod nosem, skrobał się po kołtunach i zaprzęgał konia.

— Spiesz się Szymek, bo noc! — naganiała go, znosząc co chwila kapustę na wóz.

Jakoż i noc nadchodziła, mrok gęstniał i czerniał a deszcz się wzmagał, że tylko pluskało po rozmiękłej ziemi i rowach, jakby kto ziarnem sypał.

— Józia! skończycie to dzisiaj? — zawołała do Borynianki, która z Hanką i Kubą wycinała wpodle.

— Skończymy! Bo i czas do domu, taka plucha, że mnie już do koszuli przejęło. Jedziecie to już?

— Juści. Noc zaruteńko i taka ćma, że się drogi nie rozezna. Jutro się zwiezie resztę. Sielną macie ka-

pustę! — dodała, pochylając się ku nim i patrząc na majaczące w mgle kupy.

— I wasza niezgorsza, a już co korpiele to macie największe...

— Z nowego nasienia była rozsada, dobrodziej przywieźli z Warszawy.

— Jagna! — ozwał się znowu z mgieł głos Józi — wiecie, a to jutro Walek Józefów śle z wódką do Marysi Pociotkowej...

— Taki skrzat! A ma to ona już lata? Widzi mi się, że jeszcze łoni krowy pasała!...

— La chłopa to już lata ma, ale i morgów ma tyla, że się parobki śpieszą.

— Będą się i do ciebie śpieszyły, Józia, będą...

— Jak się tatuś z trzecią nie ożenią! — zakrzyczała Jagustynka, gdzieś z trzeciego zagona.

— Co wam też w głowie, a toć dopiero na zwiesnę matkę pochowali — powiedziała przetrwożonym głosem Hanka.

— Co ta chłopu szkodzi. Każden chłop to jak ten wieprzak, żeby nie wiem jak był nachlany, to do nowego koryta ryj wrazi... Ho, ho, jedna jeszcze nie dojdzie... nie ostygnie całkiem, a już za drugą się ogląda... pieski to naród... A jak to zrobił Sikora? W trzy tygodnie po pochowku pierwszej z drugą się ożenił.

— Prawda, ale i drobiazgu po nieboszczce ostało pięcioro...

— Rzekliście! ale ino głupie uwierzą, że la dzieci się ożenił... la siebie, bo mu markotno było samemu pod pierzyną!...

— Mybyśwa ojcu nie dali, oho!... — zawołała energicznie Józia.

— Młódka ty jeszcze to i głupia... ojcowy grunt to i ojcowa wola!

— Dzieci też coś znaczą i prawo swoje mają — zaczęła Hanka.

— Z cudzego woza, to złaź choć i w pół morza — mruknęła głucho Jagustynka i zamilkła, bo Józka rozgniewana zaczęła nawoływać Witka, co się był wałęsał gdzieś nad rzeką, a Jagna się nie wtrącała do tej rozmowy — uśmiechała się ino niekiedy, że się to jej jarmark przypomniał i nosiła kapustę, a skoro wóz był już pełen, Szymek jął wyjeżdżać ku drodze.

— Ostajcie z Bogiem — rzuciła do sąsiadek.

— Jedźta z Bogiem, my też zaraz... Jaguś, a przyjdziesz do nas obierać, co?

— Powiedz ino, kiedy potrza, a przyjdę, Józia, przyjdę...

— A w niedzielę chłopaki wyprawiają muzykę u Kłębów, wiecie to?

— Wiem Józia, wiem.

— Spotkacie Antka, to powiedźcie, że czekamy, niech pośpieszy — prosiła Hanka.

— Dobrze, dobrze...

Pobiegła prędzej, żeby dognać wóz, bo Szymek odjechał był już o staję, że ino go słychać było, jak klął na konia; wóz grzęznął i zarzynał się aż po osie w rozmiękłym torfiastym gruncie, że na dołkach i w gorszych miejscach oboje musieli pomagać koniowi, żeby wyciągnął z trzęsawiska.

Milczeli oboje, Szymek wiódł konia i zważał, żeby nie wywrócić, bo dołów wszędzie było pełno, a Jagna szła z drugiej strony, podpierała ramieniem wóz i rozmyślała, jak się to trzeba wystroić na to obieranie do Borynów.

Mrok zapadał prędko, że ledwie konia widać było, deszcz jakby przestał, tylko mokra ciężka mgła wisiała, że oddychać było ciężko, a górą szumiał głucho wiatr i bił w drzewa na grobli, do której dojeżdżali właśnie.

Podjazd na groble był ciężki, bo stromy i śliski, koń utykał i co krok przystawał odpoczywać, że ledwie zdzierżeli wóz, żeby nie uciekł.

— Nie trza było tyle kłaść na jednego konia! — ozwał się jakiś głos z grobli.

— To wy Antoni?...

— Juści.

— A pośpieszajcie, bo już tam Hanka was wypatruje... Pomóżcie nam...

— Poczekajcie, niech ino zejdę, to pomogę. Pomroka taka, że nic nie widać.

Wjechali zaraz na groble, bo tak potężnie podparł, aż koń ruszył z kopyta i zatrzymał się dopiero na wierzchu.

— Bóg wam zapłać, ale też mocni jesteście, że laboga! — wyciągnęła do niego rękę.

Zamilkli nagle, wóz ruszył, a oni szli koło siebie, nie wiedząc co mówić, zmieszani dziwnie oboje.

— Wracacie to? — szepnęła cicho.

— Ino cię do młyna odprowadzę Jaguś, bo tam w drodze woda wyrwę zrobiła.

— To dopiero ciemnica, co? — wykrzyknęła.

— Boisz się Jaguś? — szepnął, przysuwając się bliżej.

— Hale, bałabym się ta...

Znowu zamilkli i szli tak przy sobie, że biodro w biodro, ramię w ramię...

— A oczy to się wam świecą, jak temu wilkowi... aże dziwno...

— Będziesz w niedzielę na muzyce u Kłębów.

— A bo to matka mi dadzą...

— Przyjdź Jaguś, przyjdź... — prosił cichym, przyduszonym głosem.

— Chcecie to? — zapytała miękko, zaglądając mu w oczy.

— Laboga, a dyć ino la ciebie zgodziłem skrzypka z Woli i la ciebie namówiłem Kłęba, żeby dał chałupy, la ciebie Jaguś... — szeptał i tak przysuwał twarz do jej twarzy i dyszał, aż się cofnęła nieco i zadygotała ze wzruszenia.

— Idźcie już... czekają na was... jeszcze kto nas obaczy... idźcie...

— A przyjdziesz?...

— Przyjdę... przyjdę... — powtórzyła, obzierając się za nim, ale już zniknął w mgle, tylko odgłos jego kroków słychać było po błocie.

Dreszcz nią wstrząsnął gwałtowny i coś jak płomień wichrem przeleciał przez serce i głowę, aż się zatoczyła. Ani wiedziała, co się jej stało, oczy ją paliły jakby zasypane zarzewiem, tchu złapać nie mogła ni przyciszyć serca namiętnie bijącego; rozkładała ręce bez-

wiednie, jak do obejmowania, rozprężała się w sobie, bo ją brały takie szalone ciągotki, że omal nie krzyczała... dopędziła wozu, chwyciła się luśni i choć nie potrza było, tak potężnie pchała, aż wóz skrzypiał, chwiał się i główki spadały w błoto... a przed oczami ciągiem widziała jego twarz i oczy roziskrzone, pożądliwe... palące...

— Smok nie chłop... chyba takiego drugiego we świecie niema... — myślała bezładnie.

Oprzytomniał ją turkot młyna, obok którego przejeżdżali i szum wody płynącej na koła i z pod stawideł otwartych, bo przybór był ogromny. Woda z rykiem głuchym spadała na dół i rozbita na białą miazgę kłębiła się i jaśniała w rzece, rozlewającej się szeroko.

W domu młynarza, stojącym zaraz przy drodze, już się świeciło i przez szyby przysłonięte firankami widać było lampę, stojącą na stole.

— Mają lampę kiej u dobrodzieja albo i we dworze jakim...

— Bo to nie bogacze... Gruntu to ma więcej od Boryny i na precenta pieniądze daje i na mieleniu to nie okpiwa, co? — ciągnął Szymek.

— Żyją kiej dziedzice... Takim to dobrze... Po pokoju chodzą... na kanapach się wylegują... w cieple siedzą... słodko jadają, a ludzie na nich robią... — myślała ale bez zazdrości, nie słuchając Szymka, któren o ile mrukliwy był, o tyle, kiej się rozgadało, to już bez nijakiego końca.

Dowlekli się wreszcie do chałupy.

W izbie widno było i ciepło, ogień buzował się we-

sożo na trzonie; Jędrzych obierał ziemniaki a stara nastawiała kolację.

Jakiś stary, siwy człowiek grzał się przy kominie.

— Skończyliście Jaguś?

— A ino, telo że ta źdźiebko, może ze trzy płachty ostało na zagonie.

Poszła do komory się przebrać i wkrótce już się zwijała po izbie i narządzała jedzenie, pilnie poglądając i ciekawie na starego, któren siedział w głębokiem milczeniu, patrzał w ogień, przebierał ziarna różańca i poruszył ustami. A gdy siadali do kolacji, stara położyła łyżkę dla niego i zapraszała.

— Ostajcie z Bogiem... zajrzę tu jeszcze, bo może i w Lipcach ostanę na dłużej...

Ukląknął na środku izby, pochylił się przed obrazami, przeżegnał i wyszedł.

— Kto to? — zapytała Jagna zdziwiona.

— Wędrownik ci to święty, od grobu Jezusowego idzie... dawno go znam, bo już tu nieraz bywał i przynosił świętości różne... Jakoś ze trzy roki temu...

Nie skończyła, bo wszedł Jambroży, pochwalił Boga i usiadł przed kominem.

— Ziąb taki i plucha, że aże mi moja drewniana noga skostniała.

— Wam też po nocy i takiem błocku łazić... nie siedzielibyście to w chałupie i pacierze se przepowiadali...— mruczała Dominikowa.

— Cniło mi się samemu, tom do dzieuch wyszedł i do ciebie Jaguś pierwszej wstąpiłem...

— Kostucha waszej dzieusze na imię...

— Z młodszymi hula a o mnie całkiem zabaczyła!...

— Ale?... — zagadnęła Dominikowa pytająco.

— Prawdę mówię. Dobrodziej był z P. Jezusem u Bartka za wodą...

— Cie... na jarmarku widziałam go zdrowym...

— Zięciaszek ci go tak sprał kołkiem, że aż mu wątpia odbił.

— O cóż, kiedy?...

— A o cóżby, jak nie o gront. Wadzili się już z pół roku aż się i dzisiaj w połednie porachowali.

— Że to kary boskiej niema na tych zabijaków — ozwała się Jagna.

— Przyjdzie, nie bój się Jagno, przyjdzie — rzekła twardo stara, wznosząc oczy na obrazy święte.

— A kto już pomarł, nie wstanie — szepnął Jambroży cicho.

— Siadajcie do miski, zjecie co jest.

— Nie od tegom, nie. Miseczce jednej, bele dużej, poradzę jeszcze — podkpiwał.

— Wam to ino przekpiwania w głowie i zabawa.

— Tyla i mojego, tyla, na cóż mi turbacje, hę?

Obsiedli ławkę, na której stały miski i jedli wolno i w milczeniu, Jędrzych pilnował, żeby dokładać i dolewać, tylko Jambroży raz po raz powiadał jakie słowo ucieszne i sam się śmiał najbardziej, bo chłopaki, chociaż rade były się pośmiać, bali się srogiego wzroku matki.

— Dobrodziej w domu? — zagadnęła pod koniec.

— A gdzieby na takie błoto? Jak żyd w książkach siedzi.

— Mądry ci on, mądry...

— I dobry, że nie znaleźć lepszego... — dodała Jagna.

— Juści... pewnie... na brzuch se nie pluje, ani drugiemu na brodę, a co mu kto da, weźmie...

— Nie pletlibyście bele czego.

Powstali od kolacji. Jagna ze starą siadły do kądzieli przed kominem, a synowie jak zwykle zajęli się sprzątaniem, myciem naczyń i obrządkiem. Tak już zawżdy u Dominikowej było, że synów swoich dzierżyła żelazną ręką i rychtowała ich na dziewki, żeby ino Jagusia rączków se nie pomazała.

Jambroży zapalił fajkę, pykał w komin, to poprawiał głownie i dorzucał gałęzi i raz spoglądał na kobiety, ważył cosik w głowie i układał.

— Były pono u was swaty?

— Abo to jedne.

— Nie dziwota, Jagna kiej malowana. Dobrodziej powiedział, że i w mieście nie spotkać piękniejszej.

Jagna poczerwieniała z ucieszności.

— Tak powiedział. Niech mu Bóg da zdrowie. Dawno się już zbierałam zanieść na wotywę, dawno, ale jutro zaraz zaniesę.

— Przysłałby tu jeszcze ktoś z wódką ino się boją ździebko... — zaczął pocichu.

— Parobek?... — zapytała stara, nawijając na furgoczące po podłodze wrzeciono.

— Gospodarz na całą wieś, rodowy... ale wdowiec.

— Dziecków cudzych kolebała nie będę...

— Odchowane, nie bój się Jaguś, odchowane.

— Co jej tam po starym... ma jeszcze lata... poczeka se na młodego, jak się jej uda jaki.

— Takiego nie braknie, a bo to młodych brak? Jak świece chłopaki, papierosy palą, w karczmie tańcują, gorzałkę piją i ino patrzą za dzieuchami, która jakie morgi ma i trochę gotowego grosza, żeby balować było za co... Gospodarze juchy, do połednia śpią, a po połedniu taczkami gnój wożą i motyczkami orzą pole...

— Na poniewierkę takiemu Jagny nie dam.

— Nie próżno mówią, żeście we wsi najmądrzejsza...

— Ale i za starym też uciechy nijakiej dla młódki...

— A bo to do uciechy niema młodych.

— Staryście kiej świat a pstro˜wama jeszcze we łbie — powiedziała surowo.

— I... gada się, byle ozór nie skiełczał.

Zamilkli na długo.

— Stary uszanuje i na cudzy grosz nie łasy — podjął znowu Jambroży.

— Nie, nie, ino obraza boska z tego bywa.

— Mógłby zapis zrobić — rzekł serjo, wytrząsając fajkę na trzon.

— Jagna ma dosyć swojego — odpowiedziała po chwili, wahająca już i niepewna.

— Więcejby on dał, niźli wziął, więcej...

— Rzekliście!

— Co wiadomo, nie z wiatru wziąłem ani z pomyślonku, nie od siebie przyszedłem...

Milczeli znowu. Stara ogładzała długo rozwichrzoną kądziel, potem pośliniła palec i jęła wyciągać lniane włókna lewą ręką, a prawą puszczała w wir wrzeciono, że z warczeniem kieby bąk kręciło się po podłodze i furgotało.

— Jakże? ma to przysłać?

— Któren?

— Nie wiecie to? a dyć tamten! — wskazał przez okna na światła, ledwie migocące przez staw u Boryny.

— Dorosłe dzieci, dobrego słowa nie dadzą i prawa do swoich części mają...

— Ale może zapisać to co jego... jakże?... A chłop dobry i gospodarz nie bele jaki, i pobożny i krzepki jeszcze, sam widziałem, jak se korzec żyta zadawał na plecy. Już tamby Jagnie nic nie brakowało, chyba tego ptasiego mleka..., a że wasz Jędrzych na bezrok do wojska staje... to Boryna z urzędnikami się zna, wie do kogo trafić, mógłby pomóc...

— Jak ci się widzi Jaguś?...

— Mnie ta wszystko jedno, każecie to pójdę... wasza w tem głowa, nie moja... — mówiła cicho, wsparła czoło na kądzieli i zapatrzyła się w ogień bezmyślnie i słuchała wesołego trzaskania gałązek. Ten czy tamten, było jej zarówno — wstrząsnęła się tylko nieco na przypomnienie Antka.

— Jakże? — pytał Jambroży, powstając z ławki.

— Niech przysyłają... zrękowiny nie ślub jeszcze... — odrzekła wolno.

Jambroży pożegnał się i poszedł prosto do Boryny. Jagna wciąż siedziała nieruchoma i milcząca.

— Jaguś... córuchno... co?...

— A nic... wszyćko mi zarówno... Każecie, to pójdę za Borynę... a nie, to ostanę przy was... bo mi to źle z wami...

Stara przędła dalej i mówiła cicho.

— Najlepiej chcę la ciebie, najlepiej... Juści że stary on jest, ale krzepki jeszcze, i ludzki, nie tak jak drugie chłopy, uszanuje cię... Panią se będziesz u niego, gospodynią... A jak zapis zrobi, to już go tak narychtuję, żeby gront wypadł wpodle naszego, koło żyda pod górką... a choćby i ze sześć morgów zapisał... Słuchasz to? ze sześć morgów! A trza ci iść za chłopa... trza... poco mają wygadywać na ciebie i na ozorach obnosić po wsi... Wieprzkaby się zabiło... a może i nie... może... — umilkła i już w głowie układała sobie resztę, bo Jaguś jakby nie słyszała jej słów, przędła machinalnie i jakby jej nie obchodził los własny, tak nie myślała o tem zamęźciu.

A bo to jej źle było przy matce? robiła co chciała i nikt jej marnego słowa nie powiedział. Co ją tam obchodziły gronta, a zapisy, a majątki — tyle co nic, abo i mąż? Mało to chłopaków latało za nią — niechby tylko chciała, to choćby wszystkie na jedną noc się zlecą... i myśl jej leniwie się snuła, jak nić lniana z kądzieli i jak ta nić okręcała się ciągle jednako na tem, że jak matka każą, to pójdzie za Borynę... Juźci że go nawet woli od innych, bo kupił jej paciorki i chustkę... juści... ale i Antekby kupił to samo... a i inne może... żeby tylko miały Borynowe pieniądze... każden dobry... i wszystkie razem... a bo ona ma głowę, żeby wybierać! Matki w tem głowa, żeby zrobić, jak potrza...

Zapatrzyła się znowu w okno, bo poczerniałe, zwiędłe georginje, kołysane przez wiatr, zaglądały w szyby, ale wnet zapomniała o nich, zapomniała o wszystkiem, nawet o sobie samej, zapadła w takie prześwięte bezczucie, jak ta ziemia rodzona w jesienne martwe noce — bo jako ta ziemia święta była Jagusina dusza — jako ta ziemia. Leżała w jakichś głębokościach nierozeznanych przez nikogo, w bezładzie marzeń sennych — ogromna, a nieświadoma siebie — potężna, a bez woli, bez chcenia bez pragnień — martwa, a nieśmiertelna; i jako tę ziemię brał wicher każdy, obtulał sobą i kołysał, i niósł tam, gdzie chciał... i jako tę ziemię o wiośnie budziło ciepłe słońce, zapładniało życiem, wstrząsało dreszczem ognia, pożądania miłości, a ona rodzi, bo musi, żyje, śpiewa, panuje, tworzy i unicestwia, bo musi, jest, bo musi... bo jako ta ziemia święta, taką była Jagusina dusza — jako ta ziemia!...

I długo tak siedziała w milczeniu, ino te oczy gwiezdne świeciły się kiej spokojne wody w wiośniane południe, aż ocknęła znagła, bo ktosik otwierał drzwi do sieni.

Wbiegła Józka zadyszana, przypadła do komina, wylewała z trepów wodę i rzekła:

— Jaguś, jutro u nas obieranie, przyjdziesz!

— Przyjdę.

— W izbie będziemy obierali. Jambroży tam siedzą u tatula, tom się chyłkiem wyrwała na wieś, żeby ci powiedzieć. Będzie Ulisia, i Marysia, i Wikta, i pociotkowe drugie... i chłopaki przyjdą... Pietrek obiecał się ze skrzypicą...

— Któren to?

— A Michałów, co za wójtem siedzą, co to w kopaniu przyszedł z wojska... i tak mówi pokracznie, że go i wymiarkować trudno...

Natrzepała co ino mogła i poleciała do dom.

Cisza znowu objęła izbę.

Czasami deszcz uderzał w szyby, jakby kto przygarścią piasku rzucił, to wiatr szumiał i baraszkował w sadzie albo dmuchał w komin, że głownie się rosypywały po trzonie i dym buchał na izbę... a ciągiem warczały wrzeciona po podłodze.

Wieczór ciągnął się wolno i długo, aż stara cichym, drżącym głosem zaśpiewała:

Wszystkie nasze dzienne sprawy.

A chłopaki z Jagną wtórowali zcicha, a tak przenikliwie, aż kury w sieni na grzędach krzekoczyć zaczęły i pogdakiwać.

VII.

Nazajutrz, dzień był tak samo zadeszczony i posępny.

Co chwila ktoś wychodził z jakiejś chałupy i długo a frasobliwie poglądał w omglony świat, czy się gdzie nie przejaśnia — ale nic kromię burych chmur, płynących tak nisko, że darły się o drzewa, widać nie było; deszcz mżył bezustannie, tyle, że jakoś zaraz z południa prze-

szedł w ulewę, jakoby kto upusty niebieskie otworzył, że ino dudniło po dachach.

Ludzie się kwasili po chałupach; jaki taki lazł po tem błocie i deszczu do sąsiadów na wyrzekanie, że to czas taki, co i psa na dwór wygonić trudno, a tu niejeden ściółkę miał jeszcze w lesie, kto znów drew nie zwiózł, a isnzy, bezmała wszystkie prawie, nie docięli w polu kapusty, po którą i nie wyjechać dzisiaj, bo ano staw tak przybrał w nocy, że musieli do dnia wywrzeć stawidła i puścić wodę do rzeki, która i przez to rozlała się szeroko, aż łąki stanęły pod wodą, a kapuśniska jako te wyspy czerniały się grzbietami zagonów z pośród siwej, spienionej topieli.

U Dominikowej też nie zwieźli tej reszty, jaka w polu ostała.

Jagna już od rana nie mogła dać sobie rady, chodziła ino z kąta w kąt, to patrzyła przez okna na krzę gierginj owaloną przez falę, w ten świat zadeszczony i wzdychała żałośnie.

— Cni mi się, że laboga! — szeptała, z niecierpliwością oczekując zmroku i pójścia do Borynów, na to obieranie kapusty, a tu dzień wlókł się tak wolno, kiej ten dziadek po błocie, tak nudnie i tak jakoś smutnie, że już wydzierżyć było nie sposób. Rozdrażniona też była, że cięgiem krzyczała na chłopaków i potrącała, co się jej tylko pod ręce nawinęło, a do tego głowa ją poboliwała, aż se owsem rozprażonym i octem skropionym obłożyła ciemię — dopiero przeszło. Mimo to miejsca sobie znaleźć nie mogła i robota leciała z rąk, a ona zapatrzała się w staw rozchlustany, któren, niby ptak

jaki, rozwijał ciężkie skrzydła, bił niemi, podrywał się z szumem, aż woda wypryskiwała na drogi, a ulecieć nie mógł, jakby nogami wrośnięty w ziemię, a za wodą stał dom Boryny, dobrze było widać zielony ze starości dach i ganek świeżo pokryty gontami, bo się jeszcze żółciły, i zabudowania za sadem, ale całkiem nie wiedziała, na co patrzy...

Dominikowej nie było od samego rana, bo ją wezwali do rodzącej kobiety na drugi koniec wsi, jako że lekująca była i znająca się na różnych chorobach.

A Jagnę aż podrywało, żeby gdzie bieżyć we świat, do ludzi, ale co się przyodziała na głowę w zapaskę i wyjrzała za próg na błoto i pluchę — to się jej odechciewało wszystkiego... że wkońcu aż się jej płakać chciało z tej jakiejś dziwnej tęskności... to nie mogąc sobie poradzić, otworzyła swoją skrzynkę i jęła z niej wyjmować, a rozkładać po łóżkach przyodziewek świąteczny aż poczerwieniało w izbie od wełniaków pasiatych, zapasek, kaftanów, ale nie cieszyło ją to dzisiaj, nie... patrzyła obojętnym, znudzonym wzrokiem na dobro swoje, tylko wyciągnęła z pod spodu chustkę Borynową i wstążkę, ustroiła się w nią i długo przeglądała się w lusterku.

— Niezgorzej... trza się na wieczór w to przyodziać — pomyślała i zdjęła zaraz, bo ktoś szedł opłotkami do chałupy.

Wszedł Mateusz... Jagna aż krzyknęła ze zdziwienia, bo ten ci to był, o którego najwięcej pomawiano ją, że z nim w sadzie nocami się schodzi, a często i gdzie indziej puszcza... Parobek był starszy, bo mu już dobrze

było po trzydziestce, kawaler jeszcze, ale żenić się nie chciał, że to siostry miał niepowydawane, a jak Jagustynka plotkowała, że mu to dzieuchy, albo i cudze żony lepiej smakowały... Chłop był rozrosły jak dąb, mocny, dufający w siebie i przez to tak hardy i nieustępliwy, że mało kto się go nie bojał. A sposobna jucha była do wszystkiego; na fleciku grywał, że aż do duszy szło, wóz zrobić zrobił, chałupy stawiał, piece wylepiał, wszystko robił tak sprawnie, że ino mu się robota w garściach paliła, grosz się go ino nie trzymał całkiem, choć zarabiał sporo, bo wszystko zaraz przepił i przefundował, albo i rozpożyczył... Gołąb było mu na przezwisko, choć i do jastrzębia prędzej był podobien z twarzy i z onej zapalczywości...

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki... Mateusz!

— Jam-ci, Jaguś, ja...

Ścisnął ją za rękę i tak gorąco patrzył w oczy, aż się dziewczyna zarumieniła i niespokojnie na drzwi poglądała.

— A to z pół roku byłeś we świecie... — szepnęła zmieszana.

— Całe pół roku i dwadzieścia i trzy dni... dobrzem liczył... — a rąk jej nie puszczał.

— Zapalę światło! — zawołała, że to się już mroczyło na dobre i żeby mu się wyrwać.

— Przywitajże mnie Jaguś — prosił cicho i chciał ją objąć, ale wysunęła się prędko i szła do komina, zapalić światło, bojała się, żeby ich tak po ciemku matka nie zeszła, albo i kto drugi, ale nie zdążyła, bo Mateusz

chycił ją w pół, przycisnął mocno do siebie i jął zapamiętale całować...

Zatrzepotała się kiej ptak, ale nie jej moc wyrwać się takiemu głodnemu smokowi, któren ściskał, aż żebra trzeszczały i tak całował, że całkiem zesłabła, oczy jej zaszły mgłą, tchu złapać nie mogła, że ino ostatkiem skamlała:

— Puść... Mateusz... Matula...

— Jeszcze ździebko Jaguś, jeszcze raz, bo się całkiem wścieknę... — I tak całował, że mu dziewczyna całkiem zmiękła i leciała przez ręce, kiej woda, ale puścił ją, bo posłyszał w sieniach kroki, sam zapalił nad okapem lampkę i skręcał papierosa, a roziskrzonemi uciechą oczami spoglądał na Jaguś, że to jeszcze przyjść do siebie nie przyszła, bo się mocno dzierżyła ściany i dyszała ciężko.

Jędrzych wszedł i ogień na trzonie rozdmuchiwał, nastawiał garnki z wodą i ciągiem się po izbie kręcił, że już mało wiele ze sobą mówili, a no pogłądali na się iskrzącemi, głodnemi oczami, jakoby się zjeść chcieli...

Wnetki, bo jakoś w pacierzy parę, nadeszła Dominikowa, musi być zła była, bo już w sieniach wywarła gębę na Szymka, a ujrzawszy Mateusza, popatrzyła nań srogo, na przywitanie nie zważała i poszła do komory przeoblec się.

— Idź se, bo cię matka zeklną jeszcze... — prosiła cicho.

— Wyjdziesz to do mnie Jaguś, co? — prosił.

— Wróciłeś to już ze świata? — rzekła stara, jakby go dopiero spostrzegając.

— Wróciłem matko... — mówił łagodnie i chciał ją w rękę pocałować.

— Ale, suka ci była matką, nie ja! — warknęła, wyrywając rękę ze złością. — Pocoś tu przyszedł? Mówiłam ci już, że tutaj nic po tobie...

— Do Jagusi przyszedłem, nie do was — hardo zawołał, bo go już złość brała.

— Wara ci od Jagusi, słyszysz! Wara ci, żeby ją potem bez ciebie na ozorach obnosili po wsi, jak tę jaką ostatnią... ani mi się pokazuj na oczy... — wrzasnęła.

— Krzyczycie, kiej wrona, że wieś cała usłyszy!

— Niech usłyszą, niech się zlecą, niech wiedzą, żeś się Jagny przyczepił, kiej rzep psiego ogona, że i ożogiem trudno cię odegnać...

— Żebyście nie kobieta, tobym wam a ździebko żebra zmacał za powiedanie takie...

— Spróbój zbóju jeden, spróbój psie... — pochwyciła za żelazny pogrzebacz.

Ale i na tem skończyła, bo Mateusz splunął, trzasnął drzwiami i wyszedł prędko, bo jakże, z babą się to miał bić i pośmiewisko z siebie dla wsi czynić?

A stara, że to już jego nie stało, wsiadła na Jagnę i hajże jazgotać, a wypominać wszystko, co miała na wątpiach... Jaguś siedziała cicho, aż zmartwiała ze strachu, ale kiedy słowa matki dojęły ją do żywego... przecknęła, schowała głowę w pierzynę i buchnęła płaczem i wyrzekaniami... rozżalona była srodze... bo przecież nic temu nie winna... nie zwoływała go do chałupy... sam przyszedł... a na zwiesnę, co matka wypominają... to... spotkał ją przy przełazie... mogła się to wyrwać ta-

kiemu smokowi?... kiej ją tak ozebrało, że... a potem, mogła się to ognać przed nim?... Zawsze się z nią tak dzieje, że niech kto a ostro spojrzy na nią, albo i ściśnie mocno... to się w niej wszystko trzęsie, moc ją odchodzi i tak mdli w dołku, że już o niczem nie wie... co ona winowata?

Skarżyła się cicho przez łzy, aż stara się udobruchała i jęła troskliwie obcierać jej twarz i oczy, a głaskać po głowinie, a uspokajać.

— Cichoj Jaguś, nie płacz... nie... a to oczy ci się zaczerwienią, kiej królikowi i jak to pójdziesz do Borynów?

— Czas to już? — spytała po chwili, spokojniejsza nieco.

— Juści że pora, a przybierz się pięknie, ludzie tam będą, a i sam Boryna uważa...

Podniesła się zaraz Jaguś i zaczęła się ubierać.

— Nie uwarzyć ci to mleka?

— Nie chce mi się całkiem jeść, matulu.

— Szymek, wygrzewasz się pokrako, a tam krowy o pusty żłób zębami dzwonią! — krzyknęła resztą złości, aż Szymek uciekł, żeby czego nie oberwać.

— Widzi mi się — mówiła ciszej, pomagając Jagnie się przyodziać — że kowal jest w zgodzie z Boryną. Spotkałam go, wiódł od starego sielnego ciołka... Szkoda... dobrze wart z piętnaście papierków... ale może to i dobrze, że są w zgodzie, bo kowal pyskacz i na prawie się zna... — Odstąpiła parę kroków i z lubością przyglądała się córce. — Ale, tego złodzieja Kozła pono już wypuścili, trzeba znowu zamykać wszystko, a pilnować...

— Pójdę już!

— Idź, a siedź do północka i gzij się tam z parobkami — wybuchnęła resztą złości.

Jagna wyszła, ale jeszcze z drogi słyszała starą, jak krzyczała na Jędrka, że świnie nie wegnane do chlewów, a kury nocują po drzewach.

U Boryny już było sporo ludzi.

Ogień buzował się na kominie i rozświetlał ogromną izbę, aż lśniły się szkła od obrazów i kołysały się te światy, czynione z kolorowych opłatków i na nitkach wiszące u czarnych, okopconych belek, na środku izby leżała kupa czerwonej kapusty, a w półkole szeroko zatoczone, twarzami do ognia, siedziały rzędem dziewczyny i kilka kobiet starszych — obierały z liści kapustę, a główki rzucały na rozesłaną pod oknem płachtę.

Jaguś ogrzała ręce przy kominie, ostawiła trepy pod oknem i siadła zaraz z kraju przy starej Jagustynce i jęła się roboty.

Gwar się też w miarę podnosił, bo przybywało jeszcze kobiet i parobków, którzy wraz z Kubą znosili kapustę ze stodoły, ale częściej kurzyli papierosy i szczerzyli zęby do dziewczyn, a prześmiewali się społecznie.

Józka, choć to i skrzat był jeszcze, a rej wodziła i w robocie i w śmiechach, bo starego nie było, a Hanka, jak to zwyczajnie, kiej ta ćma łaziła, abo mruk.

— Czerwono w izbie, jakby od makowych kwiatów! — zawołał Antek, bo był wtoczył do sieni beczki, a teraz ustawiał przed kominem, z boku nieco, szatkownice.

— Ba, zestroiły się, kiej na wesele! — ozwała się któraś starsza.

— A Jaguś, to kiejby ją kto w mleku wymył — zaczęła złośliwie Jagustynka.

— Poniechajcie — szepnęła, czerwieniąc się.

— Cieszta się dziewczyny, bo już Mateusz przywendrował ze świata, zaraz się tu zaczną muzyki, a tańce, a wystawanie po sadach... — ciągnęła stara.

— Całe lato go nie było.

— Jakże, dwór stawiał we Woli.

— Majster jucha, bańki nosem puszcza — rzekł któryś z parobków.

— A do dzieuch tak sposobny, że i trzech kwartałów czekać nie potrza...

— Jagustynka to nikomu dobrego słowa nie dadzą — zaczęła jakaś dziewczyna.

— Pilnuj się, bym o tobie nie chciała co rzec...

— Wiecie, pono ten stary wędrownik już przyszedł?

— Będzie dzisiaj u nas — zawołała Józia.

— Bez całe trzy roki bywał we świecie.

— We świecie?... Był ci u grobu Jezusowego!

— Hale! Widział go tam kto! Cygani jucha, a głupie wierzą; tak samo i kowal opowiada o zamorskich krajach, co ino w gazetach wyczyta...

— Nie gadajcie Jagustynko, sam dobrodziej przytwierdzał do mojej matki.

— Prawda, że to Dominikowa jakby drugą chałupę ma na plebanji i zawżdy wiedzą, czy księdza brzuch boli — lekująca przeciech...

Jagna zmilkła, ale poczuła dziwną ochotę choćby tym nożem ją źgnąć, bo cała izba parsknęła śmiechem, tylko Ulisia Grzegorzowa nachyliła się do Kłębowej i spytała.

— Skąd on jest?

— Skąd? Ze świata szerokiego, a bo to kto wie! — Nachyliła się nieco, wzięła główkę na dłoń, obcinała liście i mówiła szybko, coraz głośniej, żeby i drugie słyszały. — Co trzecią zimę przychodzi do Lipiec i u Boryny zakłada kwaterę... Rochem kazał się przezywać, choć mu ta pewnie i nie Roch... Dziad jest i nie dziad, kto go tam wie... ale pobożny człowiek i dobry... ino mu tej obrączki nad głowę, a byłby rychtyk kiej te świątki na obrazach. Różańce ma na szyi obcierane o grób Jezusowy... obrazki dzieciom daje święte, a jak niektórym, to i takie z królami, co to z naszego narodu przódzi wychodziły... i książki pobożne ma i takie, w których stoi wszystko i historje różne o świecie... czytał je przecież mojemu Walkowi, to i ja i mój słuchalim, inom przepomniała, bo i wymiarkować ciężko... A nabożny taki, że z pół dnia przeklęczy, drugi raz pod krzyżem, albo i gdzie w polu, a do kościoła ino na mszę chodzi. Dobrodziej zapraszał go do siebie, na plebanję, to mu rzekł:

— Z narodem mi ostać, nie na pokojach moje miejsce...

— Miarkują też wszyscy, że nie musi być z chłopskiego stanu, choć mówi, jak wszystkie, i nauczny jest; jakże, z żydem gadał po niemiecku, a we dworze w Drzazgowej — to z panienką, co była la zdrowia w ciepłych krajach, też rozmówił się po zagranicznemu...

a od nikogo nic nie weźmie, tyle co tę kapkę mleka i kromkę chleba, a i za to jeszcze dzieci uczy... powiedają... — ale Kłębowa urwała znagła, bo dziewczyny buchnęły śmiechem i aż się pokładały.

Śmieli się z Kuby, któren niósł w płachcie kapustę i pchnięty przez kogoś, przewrócił się na środku jak długi, aż się kapusta rozleciała po izbie, a on wstawał z trudem i co się już zerwał na czworaki, to padał znowu, bo go popychali.

Józia go obroniła i pomogła wstać, ale też pomstował, pomstował...

I zwolna rozmowa przeszła na co innego.

Wszystkie mówiły zcicha, a gwar się czynił, jakoby w ulu przed wyrojem, a śmiechy szły, a przekpiwania i uciecha taka, że ino oczy się iskrzyły i gęby śmiały, a robota szła chybcikiem, ino trzaskały noże o głąby, a główki jako te kule raz wraz padały na płachtę i stożyły się w coraz większą kupę. Antek zaś szatkował nad wielkim cebrem przy kominie; rozdziany był, że ostał ino w koszuli i w portkach pasiatych z wełniakowego sukna, rozczerwienił się, łeb mu się rozwichrzył i pot gęsto pokrył mu czoło; tęgo robił, ale śmiał się ciągiem i przekpiwał, a taki był urodny, że Jagna jak w obraz poglądała, a i nie ona jedna tylko... a on przystawał, żeby odetchnąć i wesołym wzrokiem tak patrzał na nią, że spuszczała oczy i czerwieniła się. Ale nikt tego nie widział prócz Jagustynki, a i ta udawała, że nie patrzy, jeno sobie w głowie układała, jak to opowiedzieć na wsi.

— Marcycha pono zległa, wiecie to? — zaczęła Kłębowa.

— Nie nowina to jej, co roku se to robi.

— Baba jak tur, to jej dzieciak krew odciąga od głowy — mruknęła Jagustynka i chciała dalej coś o tem rzec, ale ją zgromiły drugie, że to o takich rzeczach mówi przy dzieuchach.

— Wiedzą one i o lepszych, nie bójta się. Teraz nastał czas taki, że już i gęsiarce nie mówią o bocianie, bo się w oczy roześmieje... nie tak to przódzi bywało, nie...

— No, wyście ta już wszystko wiedzieli jeszcze za bydłem... — rzekła poważnie stara Wawrzonowa — a bo to nie baczę, coście wyprawiali na pastwiskach...

— Kiedy baczycie, to i ostawcie la siebie — zakrzyknęła ostro Jagustynka.

— Byłam już za chłopem... za Mateuszem widzi mi się... nie, za Michałem, tak, bo juści Wawrzon był trzeci... — mruczała, nie mogąc utrafić.

— Ale, siedzita i nie wiecie, co się stało! — zawołała, wpadając zadyszana, Nastusia Gołębianka, Mateusza siostra.

Podniosły się ciekawe zapytania ze wszystkich stron i wszystkie oczy spoczęły na niej.

— A to młynarzowi ukradli konie!

— Kiedy?

— Ze trzy pacierze temu. Dopiero co Jankiel mówił Mateuszowi.

— Jankiel ta wie wszystko zaraz, a może i nieco przódzi...

— Takie konie, kiej te hamany!

— Ze stajni wyprowadziły. Parobek poszedł do

młyna po obrok, wraca, a tu już ni koni, ni uprzęży niema, a pies w budzie struty, no!

— Na zimę idzie, to się już różności zaczynają.

— A bo kary na złodziejów niema żadnej... Hale, dużo mu zrobią, wsadzą do kryminału, dadzą jeść, w cieple się wysiedzi, z kolegami wypraktykuje, że kiej go puszczą, to jeszcze lepszy jest złodziej, bo nauczny.

— Gdyby tak mnie konia wyprowadzili, a złapałbym, tobym ubił na miejscu, jak psa wściekłego — wykrzyknął jeden z parobków.

— A bo ino tegoby wartał taki człowiek, bo ino głupie szukają sprawiedliwości we świecie. Kużden ma prawo dochodzić swojej krzywdy.

— Złapać takiego i całą kupą choćby zabić, to i kary niema, bo wszystkich toby karali?

— Baczę... zrobili tak u nas... zaraz, za drugim chłopem już byłam... nie, widzi mi się, że jeszcze za Mateuszem...

Ale te wywody przerwał Boryna, wchodząc do izby.

— Tak se na ucho gadacie, aże po drugiej stronie stawu słychać! — zawołał wesoło, czapkę zdjął i witał się ze wszystkimi po kolei. Musiał już mieć w głowie, bo czerwony był, jak ćwik, kapotę rozpuścił i głośno a dużo gadał, czego zwyczajny nie był. Chciało mu się przysiąść do Jagusi, ale się wagował, że to tak na oczach wszystkich nijako, póki zmówiona z nim nie jest, to ino wesoło pogadywał i rad na nią patrzył, taka piękna dzisiaj była i wystrojona w chustkę od niego.

— Zaraz też Witek z Kubą przynieśli długą ławę

przed komin, Józia starła ją czystem płótnem i zaczęła ustawiać miski i łyżki do jedzenia.

A Boryna wyniósł z komory pękatą, dobrze półgarncową butlę okowitki i jął z nią obchodzić wszystkich po kolei i przepijać.

Dziewczyny się nieco wzdragały, aż któryś z parobków powiedział:

— Łakome na okowitkę, kiej kot na mleko, ino się prosić dają.

— Sam pijanica zatracony, ciągiem siedzi u Jankla, to myśli, że wszyscy!

I piły, odwracały się, przysłaniały twarz ręką, resztę chlustały na ziemię, krzywiły się, mówiły »mocna« i oddawały kieliszek Borynie.

Tylko Jagna uparła się i nie piła, mimo próśb i namawiań.

— Nawet i smaku gorzałki nie znam i nie ciekawam — powiedziała.

— No, siadajcie ludzie kochane, co jest, to zjemy! — zapraszał stary.

Obsiedli po ceregielach różnych, jak to obyczaj każe, ławę i zwolna jedli, a raz wraz pogadywali.

Z misek dymiło parą, że przysłoniła wszystkich, jak chmurą, z której tylko skrzybot łyżek, mlaskanie i to słowo niektóre słychać było.

Jadło zwarzyli wybrane, aż się dziwił niejeden, bo i ziemniaki z rosołem były, i mięso gotowane z prażoną jęczmienną kaszą, i kapusta z grochem — rzetelnie ugościli, po gospodarsku, a do tego Boryna ciągiem za-

praszał, a przymuszał, a Józia ze swej strony i Hanka pilnowały, by zasię dolać i dołożyć...

Witek dorzucał suchych karpów na ogień, że ino trzaskał wesoło, a Kuba, przez ten czas, co jedli, znosił kapustę i zsypywał na kupę, a łakomie wciągał w siebie zapachy, oblizywał się i wzdychał.

— Pół wołubym zjadł z jedną, albo z dwoma miseczkami kaszy... a juchy tak zrą, jak te konie wygłodzone, jeszcze gotowe człowiekowi nie zostawić ni kosteczek — myślał z markotnością i przyciągał pasa, tak mu w kiszkach burczało z głodu.

Ale rychło skończyli i podnieśli się z Bóg zapłać gospodarstwu.

— Niech wam pójdzie na zdrowie.

Rumor się uczynił, kto wychodził, przewietrzyć się i kości przeciągnąć, kto rad spojrzeć w niebo, czy się nie przejaśnia, a jak parobki, to żeby na ganku pogzić się z dziewczynami.

A Kuba siadł na progu z miską na kolanach i jadł, aż mu się uszy trzęsły, nie zważając na Łapę, któren przypominał się różnie, a widząc, że nie wskóra, wysunął się na ganek do psów, co z ludźmi pościągały i gryzły się o kości, wyrzucone przez Józię.

Wzięli się akuratnie z powrotem do roboty, kiedy Roch stanął we drzwiach z pochwaleniem.

— Na wieki — odrzekli chórem.

— Spiesz się flisie, póki jest na misie... Spóźniliście się, ale jeszcze dla was będzie... — zawołał Boryna, przysuwając mu stołek do komina.

— Mleka i chleba daj mi Józiu, a wystarczy.

— Jest jeszcze i ździebko mięsa... — ozwała się nieśmiało Hanka.

— Nie, Bóg zapłać, mięsa nie jadam.

Przymilkli z początku i przypatrywali mu się z życzliwą ciekawością, ale gdy przysiadł do jadła, rozmowy i śmiechy podniesły się na nowo.

Tylko Jagna poglądała często na wędrownika ze zdumieniem, że to taki człowiek, jak wszystkie, a u grobu Jezusowego był, pół świata zeszedł i cudów tyla widział... Jak to tam może być w tym świecie? Gdzie to iść, żeby tam zajść?... Naokół przeciech ino wsie, a pola, a bory, a za niemi też wsie i pola i lasy... Ze sto mil trza iść, abo i z tysiąc — myślała i miała dziwną ochotę się spytać, ale gdzieby to zaś mogła, wyśmiałby ją jeszcze...

Chłopak Rafałów, co to był z wojska powrócił, przyniósł skrzypce, nastroił i zaczął przegrywać pieśnie różne.

Cichość się uczyniła, deszcz tylko zacinał w szyby i psy jazgotały przed domem. A on grał wciąż i coraz to coś nowego, przebierał ino palcami i smykiem tak ciągał po stronach, że nuta jakby sama wychodziła... pobożne pieśnie grał jakby la tego wędrownika, któren oczów z niego nie spuszczał, a potem znowu inne, światowe całkiem, tę o Jasiu, jadącym na wojenkę, co ją to często dziewczyny zawodziły po polach... a tak żałośliwie wyciągał nutę z owych drewulek, aż mróz szedł po kościach wszystkich, a Jagusi, że to czujna była na muzykę, jak mało kto, łzy ciurkiem pociekły po twarzy.

— A przestań, bo Jagusia płacze... — zawołała Nastka.

— Nie... to ino tak... ozbiera mnie zawdy granie... nie... — szeptała zawstydzona, kryjąc twarz w zapasce...

Nie pomogło to nic, bo choć nie chciała, a łzy same kapały z tej onej tęskliwości dziwnej, co jej była została w sercu, niewiadomo za czem...

Ale chłopak grać nie przestał, tyla, że teraz rznął od ucha siarczyste mazury, a obertasy takie, aż dziewczyny usiedzieć nie mogły, ino ściskały dygoczące z uciechy kolana, a rzucały ramionami, parobki przytupywali raz wraz i podśpiewywali wesoło — izba napełniła się wrzawą, a tupotem i śmiechami, aż się szyby trzęsły.

Naraz pies jął skowyczeć w sieni i tak przeraźliwie zawył, że umilkli wszyscy.

— Co się stało?

Roch rzucił się do sieni tak prędko, że o mało się nie przewrócił o szatkownice.

— I nic... chłopak któryś przyciął psu ogon drzwiami i bez to tak wył — zawołał Antek, wyjrzawszy do sieni.

— Pewnie to Witka robota — zauważył Boryna.

— Ale, Witekby ta psa krzywdził, któren zbiera po wsi wywłóki różne i lekuje... — broniła gorąco Józia.

Roch powrócił mocno wzburzony, oswobodzić musiał psa, bo skowyt było słychać już gdzieś w opłotkach.

— I pies stworzenie boskie i czuje krzywdę, jako i człowiek... Pan Jezus miał też swojego pieska i nie dał nikomu krzywdzić... — powiedział porywczo.

— Pan Jezusby tam miał pieska, jak wszyscy ludzie?... — wątpiła Jagustynka.

— A żebyście wiedzieli, to miał i Burkiem go przezywał...

— Hale... No! Cie... — odzywały się ciekawe głosy.

Roch milczał chwilę, a potem podniósł siwą głowę, okoloną długiemi, równo nad czołem uciętemi włosami, utkwił blade, jakby wypłakane oczy w ogniu i ozwał się cicho, przebierając palcami ziarna różańca...

. . . . . . W owy czas daleki...

Kiej Pan Jezus jeszcze po ziemi chadzał i rządy nad narodem sam sprawował, stało się to, coć wam rzeknę...

Szedł se Pan Jezus na odpust do Mstowa, a drogi nikaj nie było, ino piachy srogie a parzące, bo słońce przypiekało i gorąc był taki, jak kieby przed burzą...

A cienia nikaj, ni osłony.

Pan Jezus szedł z cierpliwością wielką, bo do lasu był jeszcze kawał drogi, ale że już tych świętych nóżków nie czuł z utrudzenia i pić mu się okrutnie chciało, to se raz wraz przysiadał na wydmach, chocia tam i barzej przygrzewało i rosły same ino koziebródki, a cienia było tyla, co od tych poschniętych badyli dziewan, że i ptaszekby się nie schronił...

Ale co przysiadł, to i nie odzipnął nawet rzetelnie, bo zaraz Zły, jako ten jastrząb paskudny, co bije z góry w ustałego ptaszka, tak ci on zapowietrzony bił racicami w piach, a tarzał się, jako to bydlę, że taka kurzawa, taka ćma się podnosiła, co i świata widać nie było...

Pan Jezus, choć mu piersi zapierało i ledwie się już ruchał, to wstawał i szedł, a ino się pośmiewał z głu-

piego, bo przeciech wiedział, że Zły chciał mu zmylić drogę, coby nie szedł na odpust na zbawienie grzesznego narodu...

I szedł Pan Jezus... szedł... aż i przyszedł do lasu...

Odpoczął se w cieniu niezgorzej, ochłodził wodą i coś niecoś z torby przegryz, potem wyłamał niezgorszy kijaszek, przeżegnał się i wlazł w bór.

A bór był stary i gęsty, a błota nieprzebyte, a chrapy i oparzeliska takie, że musi sam Zły tam domował, a gąszcze, że i niektóremu ptakowi łacno przemknąć się nie było. Jeno Pan Jezus wszedł, a tu kiej Zły borem nie zatrzęsie, kiej nie zacznie wyć, kiej nie pocznie łamać chojarów — a wiater, jako że to jego parob piekielny, pomagał w te pędy i rwał suszki, rwał dęby, rwał gałęzie i huczał i hurkotał po borze, jako ten głupi.

Ciemność się stała, że chocia oko wykol — a tu szum, a tu trzask... a tu zawierucha... a tu jakieś zwierzaki, pomioty djabelskie wyskakują i szczerzą kły... i warczą... i straszą... i świecą ślepiami, i... ino... ino chycić pazurami... ale juści, że nie śmiały, bo jakżeby... Pan ci Jezus był w swojej świętej osobie...

Ale i Panu Jezusowi dość było tego głupiego strachania i że pilno na odpust, to przeżegnał bór i zaraz wszystkie Złe i ze swojemi kumami przepadli w oparzeliskach.

Ostał się ino taki dziki pies, bo w ony czas pieski nie były jeszcze z ludźmi pobratane.

Ten ci to pies ostał i leciał za Panem Jezusem, szczekał, to docierał do świętych nóżek jego, to udarł

zębcami za porteczki, to kapot mu ozdarł i za torby chytał i sielnie się dobierał do mięsa... ale Pan Jezus, jako że był litościwy i krzywdy nijakiemu stworzeniu zrobićby nie zrobił, a mógł go kijaszkiem przetrącić, abo i zasie samem pomyśleniem zabić, to ino powieda:

— Naści głupi chlebaszka, kiejś głodny — i rzucił mu z torby.

Ale pies się rozeźlił i zapamiętał, że nic ino kły szczerzy, warczy, ujada, a dociera i całkiem już psuje Jezusowe porteczki.

— Chlebam ci dał, nie ukrzywdził, a obleczenie mi rwiesz i szczekasz po próżnicy. Głupiś mój piesku, boś pana swego nie poznał. Jeszcze ty za to człowiekowi odsłużysz i żyć bez niego nie poradzisz... — powiedział Pan Jezus mocno, aż pies siadł na zadzie, potem zawrócił, ogon wtulił między nogi, zawył i kiej ogłupiały pognał w cały świat.

A Pan Jezus przyszedł na odpust.

Na odpuście narodu, jak drzew w boru, abo tej trawy na łąkach — aże gęsto.

Ale w kościele było pusto, bo w karczmie grali, a przed kruchtą cały jarmark i pijaństwo, i rozpusta, i obraza boska, jako to i w te czasy bywa.

Wychodzi Pan Jezus po sumie i patrzy, aż tu naród, kiej to zboże pod wiatrem, to w tę, to w oną stronę się kolebie i ucieka, a niektóry z biczem bieży, kto żerdkę z płotu wyciąga, kto znów po kłonice sięga, a inszy zasię i kamienia szuka, a baby w krzyk i na płoty się drą, to na wozy, a dzieci w bek, a wszyscy krzyczą:

— Wściekły pies, wściekły pies!

A pies środkiem ludzi, kieby znagła rozstąpioną ulicą, gna z wywieszonym ozorem i wprost na Pana Iezusa.

Nie uląkł ci się Pan nasz, nie... poznał, że to ten sam piesek z boru, to ino rozpostarł tę swoją świętą kapotę i powieda do zwierza, któren znagła przystanął.

— Pójdź tu Burek, przespieczniejszyś ty przy mnie, niźli w borze.

Okrył go kapotą, ospostarł nad nim ręce i powiada:

— Nie zabijajcie go ludzie, bo to też stworzenie boskie, a biedne jest, głodne, zgonione i bezpańskie.

Ale chłopi jeli krzyczeć, jeli wydziwiać, a mamrotać i trzaskać kłonicami o ziemię: że to zwierz dziki i wściekły, że im już tyla gąsków i owieczek porwał, że cięgiem szkody czyni, a i człowieka uszanować nie uszanuje, ino zaraz kłami... że nikt bez kija na pole nie wyjdzie, bo bez tego piekielnika przespieczności nijakiej niema... że zabić go trza koniecznie...

I chcieli przez moc psa z pod Pana Jezusowej kapoty wziąć, a zakatować.

Aż się Pan Jezus ozgniewał i krzyknął:

— Nie ruchaj jeden drugi! To się łajdusy i pijanice psa boita, a Pana Boga to się nie boita, co?...

Odstąpili, bo mocno rzekł, a Pan Jezus im dalej powieda — że są łajdusy... że przyszli na odpust, a piją ino po karczmach, a Boga obrażają, a pokuty nie czynią i przeklętniki są, a katy jedne la drugich, złodzieje, bezbożniki i kara boska ich nie minie.

Skończył Pan Jezus, podniósł kijaszek i chciał odejść...

Ale już go naród poznał i kiej nie rymnie przed nim na kolana, kiej nie rykną płaczem i kiej nie zaczną skomleć...

— Ostań z nami Panie! Ostań Panie Jezu Chryste! Ostań! A to ci wierne będziemy, kiej ten pies... pijanice my, bezbożniki my, złe my ludzie, ale ostań, ukarz, bij, ale ostań, sieroty my opuszczone, ludzie bezpańskie... — i tak płakali, tak żebrali, tak całowali go po rękach i po tych nogach świętych, że zmiękło serce pańskie, ostał z nimi przez parę pacierzów, nauczał, rozgrzeszał i błogosławił wszystkiemu.

A potem, kiedy już odchodził, to powiada:

— Krzywdę wam czynił pies? Odtąd wam odsługiwać będzie. I gąsków popilnuje i owieczki oganiał będzie i jak się jeden albo drugi schlasz — chudoby i dobra stróżem będzie a przyjacielem.

— Ino go szanujta i krzywdy mu nie czyńcie.

I odszedł Pan Jezus we świat tyli.

A obejrzy się — Burek siedzi tam, gdzie go obronił.

— Burek, a pódzi ze mną, cóż to, sam głupi ostaniesz?...

I pies poszedł i już szedł wszędy za Panem i taki cichy, taki czujny, taki wierny, kiej parobek najlepszy.

I poszli już wszędzie razem.

I bez bory szli i bez wody — całym światem.

A że nieraz i głód był, to piesek ptaszka jakiego wytropił, to gąskę abo baranka przyniósł i tak se społecznie żyli.

A często gęsto, kiedy Jezusiczek strudzony spo-

czywał, to Burek odganiał złych ludzi, abo i zwierza dzikiego i nie dał Pana naszego, nie...

Kiej przyszedł czas, że żydy paskudne i one faryzeje srogie wiedły Pana na umęczenie — to Burek rzucił się na wszystkich i jął gryźć i bronić, jak tylko umiała biedota kochana.

A Jezus mu rzekł z pod drzewa, które dźwigał na mękę swoją świętą.

— Sumienie barzej ich gryźć będzie... a ty nie uredzisz...

I kiej umęczonego powiesili na krzyzie, to Burek siadł i wył...

... drugiego dnia, kiej wszystkie ludzie poodchodzili, że już ani Panienki Najświętszej, ni apostołów świętych nie było... to ostał ino Burek...

... lizał raz wraz te święte, przebite goździami, konające nóżki Panajezusowe i wył... wył... wył...

... a kiej już trzeci dzień nadszedł... przecknął Pan Jezus i patrzy, a tu nikogo wpodle krzyża... ino jeden Burek skamli żałośliwie i tuli się do jego nogów...

... to Pan nasz Jezus Chrystus przenajświętszy pojrzał miłościwie na niego w tej godzinie i rzekł ostatnim tchem:

— Pójdź Burek ze mną!

. . . .

I piesek w to oczymgnienie puścił ostatnią parę i poszedł za Panem.

Amen.

— Tak było, jakom rzekł, ludzie kochane! — powiedział łagodnie, skończywszy, przeżegnał się i po-

szedł na drugą stronę, gdzie mu już Hanka spanie narządziła, że to wielce był utrudzon.

Głuche milczenie zaległo izbę. Rozważali se wszyscy tę dziwną historję, a dziewczyny niektóre jak Jagusia, Józka i Nastka, to obcierały ukradkiem oczy, bo tak je rzewnością przejęła dola Pańska i ta Burkowa przygoda; a samo już to, że się taki pies znalazł we świecie, co lepszy był od ludzi i wierniejszy Panu, zastanowiło wszystkich niemało... i poczęli zwolna, pocichu jeszcze czynić uwagi różne i dziwować się nad tem zrządzeniem boskiem, aż Jagustynka, która była pilnie słuchała, podniesła głowę, zaśmiała się urągliwie i powiada:

— Baj baju, chłop śliwy rwie a ino ich dwie! Ja waju lepszą powiem przypowiastkę, o tem skąd się wół wziął człowiekowi:

Pan Bóg stworzył byka.
I byk był.
A chłop wziął kozika,
Urznął mu u dołu
I stworzył wołu —
. . . . . i wół jest!

— Taka dobra moja prawda jako i Rochowa! — Poczęła się śmiać.

Izba też cała gruchnęła śmiechem i wnet posypały się żarty, to gadki, to przypowiastki różne.

— Jagustynka to wszystko wiedzą...

— Jakże, wdowa po trzech chłopach, to i nauczna.

— Juści, jeden ją uczył rano biczyskiem... drugi

w połednie rzemieniem, a trzeci na odwieczerz często gęsto kłonicą poganiał... — wołał Rafałów.

— Poszłabym i za czwartego, ale nie za ciebie, boś za głupi i chodzisz usmarkany kiej żydziak.

— Jak temu psu Jezusowemu było przez pana, tak kobieta obyć się nie obędzie przez bicia... to i Jagustynce markotno... — rzucił któryś z parobków.

— Głupiś... bacz ino kiej niesiesz ojcowe ćwiartki do Jankla, by cię nikt nie widział, a wdowieństwu daj spokój, to nie na twój rozum — warknęła ostro, aż przymilkli, bo bali się, że w złości wszystko głośno wypowie, co tylko wie, a mogła wiedzieć sporo. Przekorna baba była, nieustępliwa i o wszystkiem mająca swoje powiedzenie, nieraz takie, że aż ludziom skóra cierpła i włosy wstawały na głowie, bo nic nie uszanowała, nawet księdza i kościoła, że już nieraz ją Dobrodziej napominał i do pamiętania przynaglał, nie pomogło, a potem ino po wsi mówiła.

— I bez księdza każden do Pana Boga trafi, niech jeno będzie poczciwy; gospodyni lepiej mu pilnować, bo z trzeciem chodzi i znowu gdzie zgubi...

Taka była Jagustynka...

Rozchodzić się już mieli kiedy wszedł wójt z sołtysem, obchodzili chałupy, żeby jutro, podług rozkładu wychodzili na szarwark, na drogę za młyn, rozmytą przez deszcze...

Ale wójt przódzi, skoro jeno wszedł, rozłożył ręce i wykrzyknął:

— Same najpierwsze dziewczyny jucha stary se zwołał!

Jakoż prawdę rzekł, bo były same gospodarskie córki, rodowe — i z wianem.

Boryna gospodarz był przecież pierwszy na całą wieś, to jakże, dziewki służebne, komornice albo biedotę taką, co to w dziesięcioro wisi u krowiego ogona — zwoływałby do siebie i zapraszał!

Wójt pogadał ze starym na osobności, ale tak cicho, że nikt nie usłyszał, pośmiał się z dziewczynami i poszedł rychło, bo jeszcze całe pół wsi zwoływać miał na jutro. Wkrótce też i zaczęli się rozchodzić wszyscy, że to późno było a i kapusty prawie już zbrakło do obierania.

Boryna dziękował wszystkim a każdemu zosobna, i co starszym kobietom otwierał drzwi i wyprowadzał...

Jagustynka na odchodnem rzekła w głos:

— Bóg zapłać za ugoszczenie ale dobrze całkiem nie było.

— Hale! no...

— Gospodyni brak wam Macieju, a bez to nijakiego porządku nie może być...

— Co robić moiściewy, co robić, zrządzenie już takie boskie, że pomarła...

— Mało to dziewczyn! A dyć w każden czwartek ino wypatrują po wsi, czy swaty od was nie idą do której... — mówiła chytrze, ciągając go za język, ale Boryna choć i miał już odpowiedź, podrapał się tylko po głowie i uśmiechał a szukał bezwiednie oczami Jagusi, która zabierała się do wyjścia...

Na to i czekał Antek, przyodział się nieznacznie i wyszedł naprzód.

Jaguś sama szła do domu, bo inne mieszkały w drugiej stronie, ku młynowi.

— Jaguś! — szepnął, wychylając się z ciemności z pod płota jakiegoś.

Przystanęła, poznała głos jego i poczęła ździebko dygotać.

— Odprowadzę cię Jaguś! — Obejrzał się — noc była ciemna, bez gwiazd, wiatr huczał górą i miotał drzewami.

Objął ją wpół mocno i tak przytuleni do siebie zginęli w ciemnościach.

VIII.

Nazajutrz gruchnęła po Lipcach wieść o Borynowych z Jagną zmówinach.

Wójt był dziewosłębem — więc wójtowa, że mąż srogo przykazywał pary z gęby nie puszczać przódzi, nim powróci, dopiero na odwieczerzu pobiegła do sąsiadki, rzekomo soli pożyczyć i już na odchodnem nie wytrzymała, ino wzięła kumę na bok i szepnęła:

— Wiecie to, Boryna posłał z wódką do Jagny! Ino nie mówcie, bo mój tak przykazywał.

— Nie może być! Gdziebym ta z ozorem po wsi latała! pleciuch to jestem czy co?... Taki dziad i za trzecią kobietę się bierze! Co to dzieci na to powiedzą! O świecie, świecie! — jęknęła ze zgrozą.

A skoro wójtowa wyszła, przyodziała się w zapaskę i chyłkiem przez sad wpadła do Kłębów, co wpodle

siedzieli, pożyczyć szczotki paczesnej, że jej była się dziesik zapodziała.

— Słyszeliście! Boryna żeni się z Jagną Dominikówną! Dopiero co szły do niej z wódką.

— Nie! — cudeńka prawicie! Jakżeby, to dzieci dorosłe i sam już w latach!

— Juści, że nie młody, ale mu nie odmówią... nie, gospodarz taki, bogacz!

— Albo i ta Jagna! Widzieliście moi ludzie! To się lachała z tym i owym... a teraz gospodynią pierwszą będzie! Jest to na świecie sprawiedliwość, co?... a tyla dzieuch siedzi... choćby i tę siostrzynę...

— A moje po bracie! a Koprzywianki, a Nastusia, a drugie! to nie gospodarskie, nie śwarne, nie poczciwe, co?...

— Będzie się ona dopiero nadymała! i tak, kiej ten paw chodzi a głowy zadziera.

— Bez obrazy boskiej się też obyć nie obędzie — kowal, ni drugie dzieci nie darują swojego macosze, nie.

— Hale, poredzą to co? Gront starego, to i wola jego.

— Juści, że po prawie jego, ale po sprawiedliwości i dziecińskie też.

— Moiściewy, sprawiedliwość ma zawżdy ten, kogo stać na nią...

Nawyrzekały, nażaliły się na świat i jego sprawy i rozeszły się, a z niemi rozlała się ta wieść po wsi całej.

Że roboty było nie wiela i nie pilne, a ludzie siedzieli po chałupach, bo drogi były do cna rozmiękły, to pogwarzano o tych zmówinach po chałupach wszyst-

kich. Wieś całą ogarnęła ciekawość, na czem się to skończy; spodziewali się zgóry, że nastąpią bitki a procesowanie, a historje różne. Jakże, znali Borynową gwałtowność, że jak się zaweźmie to i Dobrodziejowi nie ustąpi, a i Antkową hardość też znali.

Nawet ludzie spędzeni do szarwarku, na rozerwaną groblę za młynem, poprzystawali i jęli o tem zdarzeniu poredzać.

Przerzekł coś niecoś jeden, przerzekł i drugi, aż wkońcu stary Kłąb, że to mądry chłop był i poważany, powiedział surowo:

— Z tego padnie złe na wieś całą, baczcie ino.

— Antek nie ustąpi, jakże nowa gęba do miski — rzekł któryś.

— Głupiś, u Boryny starczyłoby i la pięciu — o działy pójdzie.

— Bez zapisu się tam nie obejdzie.

— Dominikowa nie głupia, już ona wszystkich wyrychtuje.

— Matką jest, to jej psie prawo o dziecko stoić — rzucił Kłąb.

— W kościele przesiaduje a chytra na grosz kiej ten żyd.

— Nie powiedaj leda co na ludzi, żeby ci ozór nie odjęło.

I tak, całe popołudnie zajmowała się wieś zmówinami, co i nie dziw, bo Borynowie byli rodowi, starzy gospodarze, a Maciej, chociaż urzędu nijakiego nie sprawował a gromadzie przewodził. Jakże, na odwiecznych kmiecych rolach siedział, z dziada pradziada we wsi

był, rozum miał, bogactwo miał — że chcąc nie chcąc, a słuchali i uważali go wszyscy.

Jeno nikt z dzieci, ni kowal nawet, o zmówinach nie wiedział, bali się do nich z nowiną bieżyć, bych w pierwszej złości czego nie oberwać.

Więc też w chałupie Borynów cicho było jeszcze, ciszej dzisiaj niźli zazwyczaj — deszcz był przestał padać i od rana przecierało się na niebie, to zaraz po śniadaniu Antek z Kubą i z kobietami pojechali do lasu, zbierać susz na opał i probować, czyby się nie dało kolek ugrabić.

Stary pozostał w domu.

A już od samego rana był dziwnie przykry, dziwnie zeźlony, że ino szukał okazji, na kogoby wywrzeć niepokój i złość, jakie go rozstrzęsały; Witka sprał, bo pod krowy słomy nie przyrzucił i leżały do półboków w gnoju, z Antkiem się pokłócił; Hankę wykrzyczał za chłopaka, któren wybałykował przed dom i utytlał się w błocie; nawet na Józkę powstał, że się długo guzdrała... a konie czekały na nią.

A gdy wreszcie pozostał sam, z Jagustynką ino, która była ostała z wczoraj, żeby doglądnąć inwentarza, to już całkiem nie wiedział, co robić ze sobą. Przypominał sobie cięgiem, co mu Jambroż prawił o przyjęciu przez Dominikową, co rzekła Jagna, a mimo to, dufności w siebie nie miał i dziadowi wierzyć nie bardzo wierzył, że to mógł za ten kieliszek ocyganić ino. To łaził po izbie, oknem na pustą drogę wyglądał, abo zgoła i z ganku na Jagusiną chałupę niespokojnie spozierał — a zmierzchu wyczekiwał kiej zmiłowania...

Sto razy chciało mu się bieżyć do wójta i pognać, by poszli prędzej — ale ostał w domu, bo go powstrzymywały oczy Jagustynki, co za nim chodziły ciągiem; oczy zmrużone, a świecące urągliwością i naśmiechliwe...

— Czarownica jucha, wierci ślepiami kiej świderkiem! — myślał.

A Jagustynka łaziła po chałupie i obejściu z prząślicą pod pachą i naglądała, — przędła aż wrzeciono turkotało w powietrzu, nawijała nić i szła dalej, do gęsi, do świń do obory, a Łapa włóczył się za nią senny i ociężały. Nie odzywała się do starego, choć dobrze wiedziała, co go tak rozbiera i markoci, co nim tak rzuca, że aż wziął się do zabijania kołów pod ścianą do ogacenia.

Przystawała ino przy nim raz wraz, aż wkońcu rzekła:

— Nie idzie wama dzisiaj robota.

— A nie idzie psiachmać, nie idzie.

— Sodoma tutaj będzie, mój Jezu, Sodoma! — myślała, odchodząc. — Dobrze stary robi, że się żeni, dobrze! A toby mu dały taki wycug dzieci, jak mnie!

— Całe dziesięć morgów pola jak złoto dałam i co?... — splunęła ze złością. — Na wyrobki chodzę, na komornicę zeszłam!...

A stary, że to już wydzierżeć nie mógł, gruchnął siekierę o ziemię i krzyknął:

— Na psa taka robota!

— Gryzie was coś na wnątrzu.

— A gryzie, gryzie...

Jagustynka przysiadła na przyźbie, wyciągnęła

długą nić, zwinęła na wrzeciono i cicho, trochę z obawą rzekła:

— Przeciech nie macie się z czego markocić, ni turbować.

— Wiecie to.

— Nie bójcie się, Dominikowa mądra, a Jagna też pomyślenie ma.

— Rzekliście! — zawołał radośnie i przysiadł wpodle.

— Jakże, mam oczy.

Milczeli długo, przetrzymując się wzajemnie.

— Na wesele mnie zaproście, to wam takiego Chmiela zaśpiewam, że rychtyk w dziewięć miesięcy chrzciny wyprawicie... — zaczęła ironicznie, ale widząc, że stary się schmurzył, dorzuciła innym tonem.

— Dobrze robicie, Macieju, dobrze. Jak mój pomerł, żebym była sobie poszukała chłopa, to nie komornicąbym była, nie... Głupia byłam, zawierzyłam dzieciom, na wycug poszłam, gront odpisałam i co?...

— Ja ta nie odpiszę ni zagona! — rzekł twardo.

— Macie wy rozum, że tak mówicie, macie! Po sądach się włóczyłam, to ino te parę złotych, com miała— poszły, a sprawiedliwości nie kupiłam... i na starość na poniewierkę, na wyrobek! Żebyśta ścierwy pode płotem wyzdychały za moje ukrzywdzenie! Poszłam do nich w niedzielę, żeby chocia popatrzeć na chałupę, na ten sad, com go ano sama szczepiła — to synowa wywarła na mnie pysk, że na prześpiegi przychodzę! Mój ty Jezu kochany! ja na prześpiegi, na swój rodzony gront przychodzę! Myślałam, że trupem padnę, tak mnie żałość

ścisnęła! Poszłam do Dobrodzieja, żeby ich chociaż za to skarcił z ambony, to mi rzekł, że za te krzywdy Pan Jezus mnie wynadgrodzi!... Juści, juści... jak kto nic nie ma, dobra mu i Jezusowa łaska, dobra... ale zawdy wolałabym ja pogospodarzyć tu na groncie, w ciepłej izbie pod pierzyną się przespać, tłusto se podjeść i uciechy zażyć...

I jęła z taką gorącością wygadywać na wszystko, że Boryna powstał i poszedł na wieś do wójta, jako, że i mroczeć poczynało.

— Rychło idzieta, co?

— W te minuty, zarno Szymon przyjdą.

Jakoż i przyszedł i poszli już razem do karczmy, aby się napić jaki kieliszek i wziąć araku na poczęstunek. Jambroży już tam był i wnet przystał do nich, ale niedługo pili, bo Maciej ich popędzał.

— Poczekam na was tutaj; odpiją, to zabierzcie kobiety, przychodźcie duchem — zawołał za nimi.

Szli mocno środkiem drogi, aż błoto się otwierało; mrok gęstniał i pokrywał świat szarem, smutnem przędziwem, w którem wieś cała zapadała, tylko gdzie niegdzie poczęły z mroków wybłyskiwać światła chat i psy naszczekiwały w opłotkach, jak zwyczajnie przed kolacją.

— Kumotrze? — ozwał się po chwili wójt.

— He?

Widzi mi się, że Boryna wyprawi sielne weselisko.

— Wyprawi abo i nie wyprawi! — odrzekł zgryźliwie, że to mruk był.

— Wyprawi! Wójt wama to mówi, to wierzcie. Ja już w tem. Wyrychtujemy taką z nich parę, że jaż ha!

— Ino klacz poniesie, bo ogier widzi mi się, ma konopie w ogonie!

— Nie nasza to rzecz.

— Hale... dzieci nas wyklinać będą...

— Będzie galanto, ja wójt, to wama mówię.

Weszli zaraz do chałupy Dominikowej.

W izbie było widno, zamieciono, czysto — spodziewali się ich przecie.

Dziewosłęby pochwalili Boga, przywitali się kolejno ze wszystkimi, bo i chłopaki siedzieli w izbie, usiedli na przysuniętych do komina stołkach i jęli pogadywać to o tem, to o owem.

— A to ziąb, jakby już na mróz szło — zaczął wójt, ogrzewając ręce.

— Przeciech nie na zwiesnę idzie, to i nie dziwota!

— Zwieźliście już kapustę, co?

I... ostało tam na kapuśnisku ździebko, ale teraz nie dojedzie — odpowiadała stara spokojnie i chodziła oczami za Jagną, która pod oknem motała na motowidło przędzę w parniki, a była dzisiaj tak urodna, że wójt, chłop młody jeszcze, spoglądał na nią łakomemi oczami — ale wkońcu zaczął:

— Że to plucha, błocko i ćma, tośwa z Szymonem wstąpili do was po drodze; przyjęliście nas godnie, ugościli dobrem słowem — to cheba co stargujemy u was matko...

— I we świecie coś niecoś stargować można, ino poszukać trza...

— Prawieście rzekli matko, jeno nic nam po szukaniu, bo u was widzi się nam najlepiej.

— Targujcie — zawołała wesoło.

— Jałowicę byśmy na ten przykład zatargowali.

— Ho, ho! drogo stoi; nie na bylejakim postronku ją powiedzie!

— Ze śrebła poświęcanego mamy powrózek, a z takiego, to choćby i smok a nie zerwie się... No, wiela matko? — i jął wyciągać butelkę z kieszeni...

— Wiela? nie łacno to rzec! Młódka, na dziewiętnastą zwiesnę jej idzie, dobra i robotna, że mogłaby jeszcze roków parę postać u matki...

— Płone to stanie — bo bez przychowku, płone...

— La drugiej to i przy matce o to nie trudno! — szepnął Szymon.

Wójt się roześmiał głośno, a stara błysnęła ino oczami i rzekła prędko.

— Szukajcie drugiej, moja może poczekać.

— Juści że może, ale my nie znajdziemy urodniejszej i u lepszej maci!

— Rzekliście!...

— Ja wójt, to wama mówię, to wierzcie... — Wyciągnął kieliszek, wytarł go połą kapoty, nalał w niego araku i rzekł poważnie: — Słuchajcie Dominikowa pilnie, co wama powiem; urzędnik jestem i moje słowo to nie ten ptaszek, co se pisknie, fiuknie i tylaś go już widział! Szymon też wiadomo kto jest — nie obieżyświat żaden, ino gospodarz, ociec dzieciom i sołtys!... Miarkujcie se ino, jakie figury do was przyszły i z czem, miarkujcie!

— Dyć wiem Pietrze i uważam.

— Mądraście kobieta, to i to wiecie, że prędzej

czy później a Jaguś z domu iść musi, na swoje, tak już Pan Jezus postanowił, że ojce dzieci chowają la świata nie la siebie.

— Oj prawda, prawda, ty matko

Cackaj, czesz, strzeż,
I jeszcze dopłać komu —
Żeby wziął z domu...

— Tak już na świecie jest, to i nie zmieni. Chyba kapkę przepijemy matko?

— A bo ja wiem?... Niewolić jej nie będę, cóż Jaguś, odpijesz?...

— I... ja ta wiem... — pisknęła, odwracając do okna zaczerwienioną twarz.

— Posłuszna! Pokorne cielę dwie matki ssie... — dorzucił Szymon poważnie.

— W wasze ręce, matko!

— Pijcie z Bogiem, aleście jeszcze nie rzekli, kto taki? — powiedziała, że to nieobyczajnie wiedzieć naprzód, nie od dziewosłębów.

— Kto? A samci Boryna! — wykrzyknął, przechylając kieliszek.

— Stary! wdowiec! — wykrzyknęła niby z zawodem.

— Stary! Nie obrażajcie Pana Boga! Stary, a sąd miał jeszcze niedawno o dziecko!

— Prawda, ino że to nie jego było.

— Jakże, gospodarz taki i zadawałby się z pierwszą lepszą! Pijcie matko...

— Wypićbym wypiła, ino że to wdowiec, a sta-

remu prędzej z brzega do Abramka na piwo, to potem co?... Dzieci macochę wyżeną i...

— Mówili Maciej, coby bez zapisu nie było... — mruknął Szymon.

— Przed ślubem chyba!

Dziewosłęby zmilkli, dopiero po chwili wójt nalał nowy kieliszek i zwrócił się z nim do Jagny.

— Napij się! Jaguś, napij! Chłopa ci raimy kiej dąb, panią se będziesz i gospodynią na wieś całą, no w twoje ręce, Jaguś, nie wstydaj się...

Wahała się, czerwieniła, odwracała do ściany, ale wkońcu, przysłoniwszy twarz zapaską, upiła ździebko i wylała resztę na podłogę...

Wtedy kieliszek obszedł wszystkich po kolei. Stara podała chleb, sól, a wkońcu i wędzonej, suchej kiełbasy na przegryzkę.

Przepili parę razy z rzędu, aż oczy pojaśniały wszystkim i języki się rozwiązały. Jagna ino uciekła do komory, bo niewiada czemu, chycił ją płacz, że aż przez ścianę słychać było chlipanie.

Stara chciała do niej bieżyć, ale ją wójt zatrzymał.

— I ciele beczy, kiej je od maci odsadzają... zwykła to rzecz. Nie we świat idzie, nie na drugą wieś, to się z nią jeszcze cieszyć będziecie... Nie będzie jej nijaka krzywda, to ja, wójt wama mówię — wierzcie...

— Juści... inom se myślała zawdy, wnuczków się doczekam na pociechę...

— Nie turbujcie się, jeszcze się żniwa nie zaczną a już pierwszy będzie...

— Pan Jezus to tylko wie przódzi, nie my grze-

szni! Zapiliśmy, prawda... a mnie tak jakoś żałośliwie na sercu, kiej na pochowku...

— I nie dziwota, jedynaczka z domu, to waju się już za nią cni... Jeszcze ździebko, na frasunek! Wiecie, pójdziem wszystkie do karczmy, bo mi już ano wódki zbrakło, a i tam pan młody kiej na wąglikach wyczekuje.

— W karczmie to zrękowiny będziemy odprawiać?

— Po staremu, jak ojce nasi robili, ja, wójt wama to rzekłem — wierzcie.

Kobiety się ździebko przyodziały świąteczniej i wnet wychodzili.

— A chłopaki to ostaną? Siostrzyne zmówiny, to i la nich uciecha — zauważył wójt, że to parobki żałosne miny mieli i poglądali na mać niespokojnie.

— Trudno dom na boskiej opatrzności ostawić.

— Przyzwijcie ano Agatę od Kłębów, to przypilnuje.

— Agata już na żebry poszła. Zawoła się kogo po drodze. Chodźta Jędrzych i ty Szymek, a kapoty weźta; cóż to jak te dziadaki iść chceta... a niech się ino któren spije... to popamięta. Krowy jeszcze nie obrządzone, świni trza kartofli utłuc — baczcie o tem.

— Baczym matulu, baczym! — szeptali trwożnie choć chłopy były pod powałę i rozrosłe jako te grusze na miedzach, ale słuchali się matki kiej wyrostki, bo ich żelazną ręką za łby trzymała, a jak było potrza, to choćby i po stołku a do kudłów sięgła i po pyskach sprała, a posłuch musiał być i uważanie.

Poszli do karczmy.

Noc już była ciemna, że choć oko wykol, zwyczaj-

nie w pluchy jesienne. Wiatr szedł górą i bił w czuby drzew, że ino się kolebały i aż kładły na płoty z szumem; staw huczał i tak się ciepał, że bryzgi rozbite w pianę padały na środek drogi i nierzadko chlustały na twarze idących.

W karczmie też widno nie było, a wiater przez wygniecioną szybkę zawiewał, aż ta lampka na sznurku za szynkwasem kolebała się kiej kwiat złoty.

Boryna się do nich rzucił witać a całować, a obłapiać z gorącością, że to zmiarkował, iż Jaguś jakby już jego.

— A Pan Jezus rzekł: weź se robaku niewiastę, żeby ci się chudziaku nie cniło samemu. Amen! — bełkotał Jambroży, ale że więcej godziny popijał, to juści, że w języku ni w nogach mocny już nie był.

Zaraz też na szynkwasie żyd postawił arak, i słodką, i asencję, a do tego śledzie, placek z szafranem i jakieś wymyślne kukiełki z makiem.

— Jedzta, pijta ludzie kochane, braty rodzone, krześcijany wierne! — zapraszał Jambroży. — Miałem i ja kobietę, ino już całkiem nie pomnę gdzie... widzi mi się, że we Francji... nie, w Italji to było, nie... alem teraz ostał sierotą... Powiedam wam, że co starszy krzyknął: Szlusuj!

— Pijcie-no ludzie! Pietrze zaczynajcie — przerwał mu Boryna, przyniósł za całą złotówkę karmelków i wtykał je Jagusi w garście. — Naści Jaguś, słodziusieńkie są, naści.

— Hale... szkodujecie się... — Wzdrygała się.

— Nie bój się... stać mnie na to, obaczysz sama...

naści... a jużby la ciebie i ptasiego mleka nalazł... już ci ta u mnie krzywdy nijakiej nie będzie... — zaczął ją wpół brać a niewolić do picia i jadła. Jagna spokojnie wszystko przyjmowała, zimno i obojętnie, jakby to nie jej zmówiny były dzisiaj. Jeno tylko jedno pomyślała, czy stary te korale, o których na jarmarku wspominał, da przed ślubem.

Gęsto pić poczęli, jeden po drugim i na przekładankę arak ze słodką, i wszyscy wraz mówić zaczęli, nawet Dominikowa podpiła se niezgorzej i nuż wywodzić różności, nuż prawić, aż się wójt dziwował, że taka mądra kobieta jest.

Synowie się też popili, bo Jambroży, to wójt, przepijali do nich gęsto i zachęcali.

— Pijta chłopaki, zmówiny to Jagny, pijta...

— Baczym to, baczym, — razem odpowiadali i chcieli Jambroża w rękę całować aż wkońcu Dominikowa odciągnęła Borynę pod okno i zaraz do niego, prosto z mostu.

— Wasza Jagusia, Macieju, wasza.

— Bóg wam zapłać matko za córkę. — Ułapił ją za szyję i całował.

— Obiecaliście zapis zrobić, co?

— Zapis! a co po zapisie, co moje to i jej...

— Hale, żeby to śmiałe oko miała przed pasierbami, żeby nie wyklinali!

— Wara im do mojego! Wszystko moje — to i Jagusine wszystko.

— Bóg wam zapłać, ale miarkujcie ino, że to starsi

żdziebko jesteście, a przecież i tak kużden śmiertelny, bo to

> Śmierć nie wybiera«
> Dziś człowiek — jutro jagnię;
> Równo jej popadnie...

— Jeszczem krzepki, ze dwadzieścia roków strzymam — nie bójcie się!

— Nieboja wilcy zjedli.

— Takim rad, że mówcie, czego chcecie! Chcecie bych zapisał te trzy morgi koło Łukaszowych.

— Dobra i psu mucha, kiej głodny — my ta niegłodne. Na Jagusię po ojcu wypadnie pięć i z morga lasu... zapiszcie i wy sześć. Te sześć morgów przy drodze, gdzieście to latoś mieli kartofle.

— Najlepsze pole moje!

— Niby Jagusia to wybierek a nie nąjlepsza we wsi!

— Przeciech, że tak, bez to i swatów posłałem, ale bójcie się Boga, sześć morgów, to karwas pola, całe gospodarstwo. Coby dzieci powiedziały! — Jął się drapać po głowie, bo go żałość ułapiła za serce; jakże, tyle pola dać najlepszej ziemi!

— Moiściewy, mądrzyście i wy, że szukać, miarkujecie sami, że zapis to ino przespieczność la dziewczyny. Przeciech tego grontu, póki żyjecie, nikt wama nie odmierzy i nie weźmie — a co jest Jagusine, co jej się po sprawiedliwości należy po ojcu, to zaraz na zwiesnę omętrę się sprowadzi i już wasze, możecie se obsiewać...

Miarkujecie, że to nie krzywda wasza i te sześć morgów zapiszecie.

— Juści, la Jagusi zapiszę...

— Kiedy?

— A choćby i jutro! Nie, w sobotę na zapowiedzi damy i zaraz pojedziemy do miasta. Co tam, raz kozie śmierć.

— Jaguś, chodź ino córuchno, chodź! — zawołała na dziewczynę, której wójt tak coś prawił a przypierał do szynkwasu, że śmiała się w głos.

— A to ci Jaguś, Maciej zapisują te sześć morgów przy drodze — powiedziała.

— Bóg wam zapłać — szepnęła, wyciągając doń rękę.

— Napijcie się do Jagny tej słodziuśkiej...

Napili się, Maciej ujął ją wpół i wiódł do gromady, ale mu się wymknęła i podeszła do braci, z którymi rajcował a popijał Jambroży.

W karczmie gwar się podnosił coraz większy i ludzi przybywało, bo jaki taki, zasłyszawszy głosy, wstępował zajrzeć, a któren znów, by się przy tej okazji napić za darmo; nawet dziad ślepy, wodzony przez psa, znalazł się i siedział na widnem miejscu, nasłuchiwał i raz wraz pacierz mówił w głos, aż posłyszeli i sama Dominikowa dała mu wódki, przegryźć i parę dwojaków w garść.

Tęgo sobie podpili, że już wszyscy razem gadali, a brali się w bary a obłapiali, a całowali i każden drugiemu był bratem i przyjacielem, zwyczajnie, jak przy gęstym kieliszku.

Ino żyd uwijał się cicho i stawiał coraz nowe kwarty i butelki z piwem a zapisywał kredą na drzwiach, co kto stawiał.

A Boryna był jakby oczadziały z uciechy, pił, częstował, zapraszał, gadał, jak mało kto go kiedy słyszał, i ciągiem do Jagusi ciągnął i słodkości jej prawił, po gębusi głaskał, że to nieobyczajnie było, tak przy wszystkich ułapić ją za szyję i całować, choć go i ciągotki sielne brały, że zdzierżyć nie mógł, to ino wpół ją chwytał a w ciemny kąt ciągnął.

Dominikowa wrychle się opatrzyła, że czas już do domu iść, i jęła synków wołać, żeby się zbierali.

Ale Szymek już był spity, to ino na matczyne gadanie pasa poprawił, pięścią grzmotnął w stół i krzyknął:

— Gospodarz jestem psiachmać... Komu wola niech idzie... Chcę pić, to pił będę... Żydzie gorzałki!

— Cichoj Szymek, cichoj, bo cię spierą! — jęczał łzawo Jędrzych, też już mocno pijany i odciągał za kapotę brata.

— Do domu chłopaki, do domu! — syknęła Dominikowa groźnie.

— Gospodarz jestem! Chcę ostać to ostanę i gorzałkę pił będę... dosyć już matczynego panowania... a nie... wygonię... psiachmać...

Ale stara grzmotnęła go ino w piersi, aż się potoczył i opamiętał wnet, a Jędrzych nadział mu czapkę i wyprowadził na drogę, ale Szymka widać rozebrało powietrze, bo ino uszedł parę kroków, zatoczył się, chwycił płotka i jął krzyczeć i mamrotać.

— Gospodarz jestem psiachmać... gront mój... moja wola robić... gorzałkę pił będę... Żydzie araku!... a nie... wygonię...

— Szymek! Loboga Szymek, chodzi do domu, matula idą! — jęczał Jędrzych i płakał rzewnemi łzami. Wkrótce nadeszła stara z Jagną i zabrała synów z pod płota, bo się tam już byli ździebko za łby brali i tarzali po błocie.

A w karczmie, po wyjściu kobiet, przycichło nieco, ludzie się porozchodzili zwolna, że ostał ino Boryna ze swatami, Jambroży i dziad zarówno ze wszystkimi już pijący.

Jambroży był nieprzytomny, stał na środku, podśpiewywał, to opowiadał w głos.

— Czarny był... jak ten sagan był czarny... — zmierzył do mnie... ale trafisz mę gdzie... wraziłem mu bagnet w kałdun... zakręciłem, że ino chrupnęło... pierwszy!... Stoimy... stoimy, a tu naczelnik wali... Jezu Chryste! sam naczelnik!... chłopaki... powiada... narodzie... powiada.

— Szlusuj!... szlusuj... — krzyknął ogromnym głosem, wyprostował się jak struna i cofał się wolno, aż mu drewniana noga stukała, — pijcie do mnie Pietrze, pijcie... sierotam jest... — bełkotał niewyraźnie z pod ściany, ale się nie doczekał, bo naraz się porwał i wyszedł z karczmy, tylko z drogi dolatywał jego głos chrapliwy, śpiewający...

A do karczmy wszedł młynarz, ogromny chłop ubrany z miejska, z czerwoną twarzą, siwy i z małemi bystremi oczkami.

— Pijecie se gospodarze! Ho, ho, i wójt, i sołtys i Boryna! Wesele czy co!

— Nie co insze. Napijcie się z nami, panie młynarzu, napijcie — proponował Boryna.

Przepili znów kolejką.

— Kiejście tacy, powiem wam nowinę, że wytrzeźwiejeta!

Wytrzeszczyli na niego nieprzytomne oczy.

— A to, niema godziny, jak dziedzic sprzedał porębę na Wilczych dołach!

— A hycel psie krutki! Sprzedał, naszą porębę, sprzedał! — krzyknął Boryna i w zapamiętaniu grzmotnął butelką o ziemię.

— Sprzedał! Prawo jest i na dziedzica i na każdego, prawo jest... — bełkotał pijany Szymon.

— Nieprawda! ja wójt to wama mówię, że nieprawda, to wierzcie!

— Sprzedał, ino że wziąć nie damy, jak Bóg na niebie, nie damy! — wołał Boryna i bił pięścią w stół...

Młynarz poszedł, a oni jeszcze długo w noc radzili i odgrażali się dworowi.

IX.

Zbiegło dni parę od zmówin Jagusinych.

Deszcze ustały, drogi ociekły i stężały nieco, wody spłynęły, że ino po brózdach, a gdzie niegdzie i po nizinach a łęgach, siwiły się mętne kałuże — kiej te oczy zapłakane...

Nadszedł dzień Zaduszny, szary, bezsłoneczny i martwy, że nawet wiatr nie przeganiał zeschłemi badylami, ni chwiał drzewami, co stały ciężko pochylone nad ziemią...

Bolesna, głucha cisza przygniętła świat.

A w Lipcach już od rana dzwony biły wolno a bezustannie, i żałosne, rozbolałe dźwięki pojękiwały po omglonych, pustych polach; ponurym głosem żałoby wołały w ten dzień smętny, w ten dzień, co wstał blady, spowity w mgły aż do tych dal zapadłych, aż do tych bezkresów ziemi i nieba, siny, do niezgłębionej topieli podobny.

Od zórz wschodnich, co się jeszcze żarzyły blado, kieby ta miedź stygnąca, z pod sinych chmur, zaczęły płynąć stada wron i kawek...

Szły wysoko, wysoko, że ledwie okiem rozeznał i ledwie uchem pochwycił tę dziką, żałosną wrzawę krakań, podobną do jęków nocy jesiennych...

A dzwony biły wciąż.

Ponury hymn rozlewał się ciężko w martwem, ogłuchłem powietrzu, opadał na pola jękami, huczał po wsiach i lasach żałością, płynął światem całym, że ludzie i pola, i wsie zdały się już być jednem wielkiem sercem, bijącem skargą żałosną...

Ptactwo płynęło wciąż, aż dziw i lęk ogarniał, bo szły coraz niżej, i coraz większemi stadami, że niebo pokryło się jakby sadzą rozwianą, a głuchy szum skrzydeł i krakań wzmagał się, potężniał i huczał niby burza nadciągająca... Zataczały kręgi nad wsią i jak kupa liści, porwana przez wichurę, kołowały nad polami, opadały

na lasy, zwieszały się na nagich topolach, obsiadły lipy przy kościele, drzewa na cmentarzu, sady, kalenice chałup, płoty nawet... aż zestraszone bezustannem biciem dzwonów, zerwały się i czarną chmurą leciały ku borom... a ostry, przenikliwy szum płynął za niemi.

— Ciężka zima będzie! — mówili ludzie.

— Do lasów ciągną, ani chybi, śniegi wnet spadną.

I wychodzili przed chałupy coraz liczniej, bo nigdy jeszcze nie widziano tyle ptactwa razem — patrzano długo, ze smutkiem dziwnym, aż zniknęły w borach. Patrzano, wzdychano ciężko, jaki taki znak krzyża położył na czole w obronie przed złem i jęli się przyodziewać do kościoła i wychodzić, bo dzwony wciąż jęczały głucho, a z drugich wsi już szli ludzie drogami, majaczyli wskróś mgieł po ścieżkach i dróżkach.

Smutek przejmujący padł na wszystkie dusze; jakaś dziwnie bolesna cichość omotała serca — cichość rozpamiętywań żałośliwych i wspominek o tych, co już byli odeszli tam, pod te brzozy zwieszone, pod te czarne, pochylone krzyże...

— Mój ty Jezu kochany! Mój Jezu! — wzdychali i podnosili szare jak ta ziemia twarze i topili oczy beztrwożne w tajemnicy i szli spokojnie składać ofiary i pacierze za zmarłych.

Wieś była jakby zatopiona w ciężkiej, żałośliwej ciszy — jeno lękliwe, proszalne śpiewania dziadów z pod kościoła dochodziły czasami.

I u Borynów ciszej było niźli zwyczajnie, chociaż tam, we środku siedziało piekło przytajone, gotowe za lada czem wybuchnąć...

Jakże, dzieci wiedziały już o wszystkiem.

A wczoraj, w niedzielę wyszły pierwsze zapowiedzi starego z Jagusią...

W sobotę to jeździli do miasta, gdzie u rejenta zapisał Boryna sześć morgów Jagusi... Wrócił późno i z twarzą podrapaną, bo że był zdziebko napity, to już na wozie chciał był Jagnę brać, ale tyla wziął, co pięścią a pazurami mu dały.

A w domu z nikim nie mówił, choć i Antek cięgiem nasuwał mu się na oczy, ino zaraz legł spać jak stał, w butach i kożuchu... aż rano Józia zaczęła mamrotać na niego, że pierzynę błotem pomazał.

— Cichoj Józia, cichoj! — Zdarzy się to i niektóremu, co nigdy gorzałki nie pije... — powiedział wesoło i zaraz od rana poszedł do Jagny i już tam do późna przesiedział, że próżno z obiadem i wieczerzą nań czekali.

I dzisiaj wstał późno, już dobrze po wschodzie; w najlepszą kapotę się przyodział, buty świąteczne kazał se Witkowi sadłem wysmarować i nowe wiechetki ze słomy przyciąć — Kuba go wygolił, a on się pasem okręcił, kapelusz nadział i niecierpliwie wyglądał przez okno na ganek, bo tam Hanka iskała chłopaka, a nie chciał się z nią widzieć, aż i dopatrzył, że weszła na chwilę do izby, to się chyłkiem wysunął w opłotki — i tyla go już dnia tego widzieli...

Józka cały dzień popłakiwała i tłukła się po izbie jak ten ptak zamknięty! Antek zaś gorzał w mękach coraz boleśniejszych i sroższych — ani jadł, ni spał, ni mógł się zająć czemkolwiek; był ogłuszony jeszcze, nie-

przytomny zgoła i nie wiedzący, co się z nim dzieje. Twarz mu poczerniała, że tylko oczy uczyniły się jeszcze większe i płonęły szklisto, jakby łzami skamieniałemi — zęby zacinał, żeby nie krzyczeć w głos i nie wyklinać, a chodził wciąż po izbie, to po obejściu, to w opłotki szedł lub na drogę i powracał, padał w ganku na ławę i siedział godzinami zapatrzony przed się i utopiony w bolu, co w nim rósł jeszcze i potężniał.

Dom ogłuchł, ino płakania w nim się rozlegały, jęki a westchnienia, kieby po pogrzebie czyim. Drzwi stały wywarte na rozcież do obór i chlewów, że inwentarz łaził po sadzie i zaglądał w okna, a nie miał go kto nagnać z powrotem, tyle, co stary Łapa naszczekiwał i zaganiał, ale na darmo, bo nie uradził.

W stajni na werku Kuba czyścił strzelbę, a Witek z podziwem nabożnym przyglądał się temu i wyzierał okienkiem, żeby ich kto nie zeszedł...

— Huknęło, że Jezus! — Myślałem, że to dziedzic abo borowy strzelają...

— Hale... juści... dawnom nie strzelał, tęgom nabił i gruchnęło kiej z harmaty...

— Toście zaraz z wieczora poszli?...

— Tak, poszedłem na dworskie, pod las, bo tam na oziminę lubią kozy wychodzić... Ćma była, tom siedział długo... aż tu na świtaniu rogacz idzie... Przyczaiłem się tak, że ino z pięć kroków był ode mnie... nie strzeliłem, bo okrutny był, kiej wół... to myślę... nie uredzę... Puściłem go... a w jaki pacierz abo dwa... łanie wyszły... Wybrałem se najlepszą... inom przyłożył, jak

nie huknie! Tęgom nabił, ba, aże mi ramię spuchnęło, tak dostałem przykładem... ale się zwaliła... ino kopała nogami... jeszczeby nie... z pół garści siekańca dostała w bok... a beczała jucha... ażem się bojał, by nie posłyszał borowy i dorznąć musiałem...

— W lesie ostała, co? — pytał chłopak rozgorączkowany opowieścią.

— Gdzie ostała to ostała, nic ci do tego, a powiedz komu choć słowo, to baczysz, co ci zrobię...

— Kiej przykazujecie, to nie powiem, a Józi to można?

— Hale, cała wieśby zaraz wiedziała. Naści dziesiątkę, kup se co...

— Nie powiem i tak, ino mnie weźcie kiedy ze sobą, moi złoci, moi...

— Śniadanie! — krzyczała z przed domu Józka.

— Ino cicho być, wezmę cię, wezmę!

— I dacie mi choć ten raziczek strzelnąć, dacie, co? — błagał.

— Ale... proch to, myśli głupi, że darmo dają...

— Mam pieniądze, Kuba, mam, jeszcze w jarmarek dali mi gospodarz dwa złote, co je chowam na wypominki, to...

— Dobrze, dobrze, nauczę cię — szepnął i pogładził chłopaka po głowie... bo go tak ujął za serce tem skamleniem.

A w parę pacierzy po śniadaniu już obaj szli do kościoła. Kuba kusztykał raźno, a Witek ostawał się nieco, bo mu markotno było, że to nie miał butów ino boso szedł.

— A czy to można do zakrystji boso, co? — pytał cicho.

— Głupiś. Pan Jezus ci ta na buty czyje zważa, a nie na pacierze...

— Pewnie, że tak, ino w butach to zawżdy przystojniej... — szeptał smutniej.

— Kupisz ty sobie jeszcze buty, kupisz...

— A kupię, Kuba, kupię. Niech ino podrosnę na parobka, to zaraz pojadę do Warszawy i zgodzę się do koni... a w mieście to już wszystkie chodzą w butach, prawda Kuba?

— Prawda, prawda! — baczysz to jeszcze?

— I jak! Pięć roków miałem, kiej mę Kozłowa przywieźli, to i baczę dobrze... jušci... ziąb był... piechtyśmy szli do maszyny... baczę... a tu tyla jarzącego światła... że jeszcze mę w oczach ćmi... baczę... a dom kiele domu i takie wielgachne niczem kościół...

— Bajesz! — rzucił wzgardliwie.

— Baczę dobrze, Kuba... przeciem i dachów nie dojrzał... a tyla powozów... okna do samej ziemi... jušci... całe ściany widzi mi się ze szyb... i takie ciągiem dzwonienie...

— Kościołów tyla, to i nie dziwota!

— Pewnie, bo skądżeby dzwonienia były.

Zmilkli, bo już weszli na cmentarz i jęli się przepychać przez gęsty tłum, co był zaległ dookoła kościoła, że to we środku pomieścić się nie mogli.

Dziady uczyniły ulicę od głównych drzwi, aż hen na drogę, a każden na swój sposób się wydzierał, a krzyczał, a modlił w głos i dopraszał wspomożenia, a jak

niektórzy, to i na skrzypkach pogrywali i pieśni wyciągali jękliwemi głosami, a drugie na piszczałkach libo i harmonikach, że wrzask się rozlegał aż w uszach wierciło...

W zakrystji też było narodu gęsto, aż żebra trzeszczały przy stole, gdzie organista przyjmował na wypominki, a przy drugim syn jego, Jaś, ten, co to był we szkołach.

Kuba docisnął się przódzi i niemałą litanję imion podał organiście, któren zapisywał i brał za każdą duszę po sześć groszy albo i po trzy jajka, jeśli kto nie miał gotowych pieniędzy.

Witek ostał nieco w tyle, że go to po bosych nogach srodze deptali, ale się pchał jak mógł, choć ta i niejeden burknął, że to się to pod łokcie ciśnie a starszym zastąpia, i pieniądze w garści ściskał — dopiero, kiej go dopchnęli do stołu, wprost organisty, zapomniał języka w gębie... Jakże, gospodarze sami, a gospodynie ino, cała wieś prawie, bo i młynarzowa w kapeluszu kiej dziedziczka, i kowalowie, i wójt ze swoją... a wszyscy patrzą w niego... to nasłuchują... przypominają sobie w głos dusze różne... i po dziesięć... i po dwadzieścia imion podają... za całą familję... za ojców, dziadów i pradziadów... A on co?... Wie to, kto jego mać? Kto ojciec? Wie?... Ma to dać za kogo?... Jezu mój! Jezusiczku... to ino gębę szeroko otworzył i te oczy modre i stojał nieruchawy jako ten głupi... i serce mu się skurczyło z bolenia, że ledwie zipał, ledwie mógł złapać tego dechu... i tak mu się ckno zrobiło w dołku, jakby już miał ostatnią parę puścić... ale nie dostojał tak, bo go odepchnęli w kąt,

pod kropielnicę, to się ino wsparł głowiną o oną misę cynową, żeby nie paść, a łzy to mu jak te paciorki suły się z oczów... jak te różańce żałosne... i próżno je chciał powstrzymać... daremnie... i tak się trząsł w sobie, tak dygotał każdą kosteczką, że ani zębów zewrzeć nie mógł, ani ustoić prosto; przysiadł w kącie, od oczów ludzkich i płakał rzewnemi, sierocemi łzami...

— Matulu! matulu! — skamlało w nim cosik i oździerało mu duszę do cna. A pomiarkować nie mógł ni rozeznać, czemu to wszyscy ojców mają, matki mają, a on jeden sierota, on jeden tylko, on jeden...

— Jezu mój, Jezu!... — chlipał i zanosił się jako ten ptaszek duszony w sidłach, dopiero Kuba go odnalazł i zawołał:

— Witek, dałeś to już na wypominki?

— Nie — odrzekł — porwał się znagła, wytarł oczy i z mocą jął iść do stołu... tak, i on poda imiona... co ta mają wiedzieć, że nie ma nikogo... poco... sierota to la siebie... a znajda to znajda... Zadzierżysto powiódł oczami i pewnym głosem podał imiona: Józefy, Marjanny i Antoniego, te, co mu pierwsze przyszły na pamięć...

Zapłacił, wziął resztę i poszedł z Kubą na kościół pomodlić się i wysłuchać, jak ksiądz wypomni jego dusze...

Na środku kościoła stał katafalk z trumną na wierzchu, obstawioną jarzącemi światłami, a ksiądz z ambony wypominał nieskończone litanje imion — a co przerwał, odpowiadał mu głośny pacierz mówiony przez wszystkich za te zmarłe w czyścu ostające.

Witek przyklęknął przy Kubie, któren wyciągnął

z zanadrza koronkę i jął odmawiać wszystkie Zdrowaś i Wierzę, jakie ksiądz nakazywał; zmówił i on pacierz jeden i drugi, ale zmorzyły go wkońcu monotonne głosy modlitw, ciepło i wyczerpanie płaczem, to się ździebko wsparł o biedro Kuby i zasnął...

. . . .

Popołudniu, na nieszpory, jakie się odprawiały raz w rok w cmentarnej kaplicy, pociągnęli wszyscy od Boryny.

Szli Antkowie z dziećmi, szli Kowalowie, szła Józka z Jagustynką, a na końcu kusztykał Kuba z Witkiem — by już tych świątków zażyć do cna.

Dzień już przywierał szare, zmęczone powieki, gasnął i zapadał zwolna w przerażające, smutne topiele zmroków; wiatr się poruszył i przeciągał po polach z jękiem, tłukł się między drzewinami a wionął surowym, przegniłym tchem jesieni.

Cicho było, tą dziwnie posępną cichością zaduszek; tłumy szły drogą w surowem milczeniu, ino tupot nóg się rozlegał głucho, ino te drzewa przydrożne chwiały się niespokojnie i cichy a bolesny szum gałęzi drżał nad głowami, ino te grania i śpiewy proszalne dziadów łkały w powietrzu i opadały bez echa...

Przed wrótniami, a nawet i wśród mogił pod murem, stały rzędy beczek-solówek, a obok nich rozkładały się gromady dziadów.

A naród płynął całą drogą pod topolami ku cmentarzowi; w mroku, co był już przytrząsł świat jakby popiołem szarym, błyskały światła świeczek, jakie mieli niektórzy, i chwiały się żółte płomyki lampek maślanych,

a każdy, nim wszedł na cmentarz, wyciągał z tobołka chleb, to ser, to ździebko słoniny albo kiełbasy, to motek przędzy lub tę przygarść lnu wyczesanego, to grzybów wianek i składali to wszystko pobożnie w beczki — a były one księże, były organistowe i Jambrożego, a reszta dziadowskie, a któren w nie nie kładł, to grosz jaki wciskał w wyciągnięte ręce dziadowskie... i szeptał imiona zmarłych, za które prosił o pacierz...

Chór modłów, śpiewów, imion wypominanych jękliwym rytmem wznosił się wciąż nad wrótniami, a ludzie przechodzili — szli dalej, rozpraszali się wśród mogił, że wnet, niby robaczki świętojańskie jęły jaśnieć i migotać światełka wskróś mroków i gąszczów drzew i traw zeschniętych.

Głuchy, przyciszony trwożnie szept pacierzy, drgał w przyziemnej ciszy; czasem szloch bolesny zerwał się z mogił; czasem lament żałosny wił się w rozdzierających skrętach wśród krzyżów; to jakiś nagły, krótki, nabrzmiały rozpaczą krzyk, jak piorun rozdzierał powietrze, albo ciche płacze dziecięce — sieroce płacze kwiliły w omroczonych gąszczach niby pisklęta...

A chwilami opadało na cmentarz głuche i ciężkie milczenie, że ino drzewa szumiały posępnie, a echa płakań ludzkich, skarg, krzyków bolesnych, żałości, biły ku niebu, w świat cały szły...

Ludzie snuli się wśród mogił cicho, szeptali lękliwie i trwożnie poglądali w dal omroczoną, niezgłębioną...

— Każdy umiera! — wzdychali ciężko z kamienną rezygnacją, i wlekli się dalej, przysiadali przy grobach ojców, mówili pacierze, to siedzieli cisi, zadumani, głusi

na życie, głusi na śmierć, głusi na ból — jak te drzewa, i jak te drzewa kolebały się im dusze w sennem poczuciu trwogi...

— Jezus mój! Panie miłosierny, Marjo! — rwało się im z dusz umęczonych zamętem i podnosili twarze zakrzepłe i wyczerpane jak ta ziemia święta, a oczy szare niby te kałuże, co się jeszcze siwiły w mrokach, wieszali u krzyżów i ruchami tych drzew, rozchwianych sennie, osuwali się na kolana; do stóp Chrystusa rzucali serca strwożone i wybuchali świętym płaczem oddania się i rezygnacji.

Kuba z Witkiem chodzili razem z drugimi, a gdy już do cna pociemniało, Kuba powlókł się w głąb, na stary cmentarz.

A tam na zapadniętych grobach cicho było, pusto i mroczno — tam leżeli zapomniani, o których i pamięć umarła dawno — jako i te dnie ich i czasy, i wszystko; tam jeno ptaki jakieś krzyczały złowrogo i smutnie szeleściła gęstwa, a gdzie niegdzie sterczał krzyż spróchniały — tam leżały pokotem rody całe, wsie całe, pokolenia całe — tam się już nikt nie modlił, nie płakał, lampek nie palił... wiatr jeno huczał w gałęziach a rwał liście ostatnie i rzucał je w noc na zatracenie ostatnie... tam jeno głosy jakieś, co nie były głosami, cienie, co nie były cieniami, tłukły się o nagie drzewa kiej te ptaki oślepłe, i jakby skamlały o zmiłowanie...

Kuba wyjął z zanadrza parę oszczędzonych skibek chleba, rwał je w glomki, przyklękał i rozrzucał po mogiłach.

— Pożyw się, duszo krześcijańska, co cię wypomi-

nam w wieczornym czasie, pożyw się pokutnico człowiecza, pożyw się! — szeptał z przejęciem.

— Wezną to? — pytał cicho Witek zatrwożonym głosem.

— Przeciech! Ksiądz żywić nie da!... w beczki drugie kładą ale tym biedotom nic z tego... Księdzowe albo i dziadoskie świnie mają wyżerkę... a dusze pokutujące głód cierpią...

— Przyjdą to?...

— Nie bój się... Wszystkie te co czyścowe męki cierpią... wszystkie. Pan Jezus odpuszcza je na ten dzień na ziemię, żeby swoich nawiedziły...

— Żeby swoich nawiedziły! — powtórzył z drżeniem Witek.

— Nie bojaj się głupi, zły dzisiaj nie ma przystępu, wypominki ano odganiają go, i te pacierze, i te światła... A i Pan Jezus sam chodzi se dzisiaj po świecie i liczy gospodarz kochany, co mu ta jeszcze dusz ostało, aż se wybierze wszystkie, wybierze... Dobrze baczę, jak matula mówili, a i stare ludzie przytwierdzają...

— Pan Jezus se chodzi dzisiaj po świecie! — szeptał Witek i oglądał się bacznie...

— Ale, zobaczysz ta... to ino święte widzą abo i zasie pokrzywdzone najbarzej...

— Patrzcie-no, a tam się świeci i ludzie jakieś są — zawołał Witek ze strachem, wskazując na szereg mogił pod samym płotem...

— To leżą ci, co ich to w boru pobili... jušci... i moje pany tam leżą... i matka moja... jušci...

Przedarli się przez gąszcz i przyklęknęli u mogił

zapadłych i tak rozwianych, że ledwie ślad ino został; ani krzyże ich znaczyły, ni drzewa jakie ocieniały, nic, jeno ten piach szczery, parę zeschłych badyli dziewanny i cisza, zapomnienie, śmierć...

Jambroży z Jagustynką i Kłąb stary klęczeli przy tych grobach umarłych; dwie lampki tliły się wciśnięte w piasek, wiatr zawiewał i kołysał światłami i rwał słowa pacierzy i niósł je w noc czarną...

— Juści... matula moja tam leżą... baczę... — szeptał Kuba cicho więcej do siebie niźli do Witka, któren przykucnął przy nim, bo ziąb go przejmował nawskroś.

— A zwali ją Magdaleną... Ociec gront swój mieli ale służyli we dworze za furmana... w ogiery ino jeździli ze starszym panem... a potem pomarli... gront stryje wzieni... a ja pańskie prosiaki pasałem... Juści, Magdalena było matce, a ojcu Pieter i na przezwisko Socha, jako i mnie jest. — A potem dziedzic do koni mnie wziął, bym w ogiery po ojcu jeździł... to ino na polowania we świat, do drugich panów jeździlim cięgiem... strzylałem i ja niezgorzej... że młodszy dziedzic strzelbę mi dali... a matka ino ze starszą panią siedziała we dworze... Dobrze baczę... i kiej wszystkie szły... wzieni i mnie... Bez cały rok byłem... a co kazali, robiłem... juści nie jednego burka zakatrupiłem... nie dwóch... a młodszy dziedzic dostał we flaki... wątpia mu wypłynęły... Pan mój przecie... dobry człowiek... na bary wziąłem i wyniesłem... a potem do ciepłych krajów pojechał, i mnie kazał starszemu panu listy nieść... poszedłem... juści, że sterany byłem kiej ten pies... kulas mi przestrzelili,

zagoić się nie chciał, że to ciągiem ino na dworze, pod gołem niebem... a śniegi były po pas i mrozy siarczyste... baczę... jušci... przywlekłem się nocą... szukam... Jezus, Marjo! Jakby mnie kto kłonicą przez ciemię zdzielił!... Dworu niema, gumien niema... płotów nawet nie ostało... do cna wszystko spalone... a stary pan i pani starsza, i matula moja... i ta Józefka, co za pokojówkę była... pobite leżą na śmierć w ogrodzie!... Jezu! Jezu! baczę wszystko... jušci... Marjo! — jęczał cicho i łzy jak groch sypały mu się tak gęsto po twarzy, że i już nie obcierał... pojękiwał ino z żałości i utęsknienia, bo jak żywe tak mu to wszystko stanęło przed oczami, a Witek spał se, bo strudzona była biedota płakaniem...

Noc była coraz głębsza, wiatr mocniej targał drzewami, że długie warkocze brzóz zamiatały po mogiłach, a białe ich pnie, niby gzła śmiertelne przyodziane, majaczyły w mrokach... Ludzie się rozchodzili... światła gasły... śpiewy dziadów umilkły... milczenie uroczyste, a pełne dziwnych szelestów i głosów przejmujących, zapanowało wśród mogił... Cmentarz jakby się napełniał cieniami... tłumem widm... gąszczem mrocznych zarysów... gędźbą rozjęczonych a cichych głosów... oceanem dziwnych drgań, ruchem ciemności... błyskami trwogi, niemem łkaniem... tajemnicą pełną przerażenia i zamętu — aż stado wron zerwało się z kaplicy i z krzykiem uciekały na pola, a psy w całych Lipcach poczęły wyć długo, rozpaczliwie, żałośnie...

Wieś była cicha mimo święta, drogi były puste, karczma zamknięta, a gdzie niegdzie tylko, przez małe

zapocone szybki błyskały światełka i płynęły ciche śpiewy pobożnych, i głośne modlitwy odmawiane za umarłych...

Z trwogą wysuwano się przed domy, z trwogą nasłuchiwano szumów drzew, z trwogą patrzano w okna, czy nie stoją, nie jawią się ci, co w dniu tym błądzą przygnani tęsknotą i wolą Bożą... czy nie jęczą pokutniczo na rozstajach... czy nie zaglądają przez szyby żałośnie?...

A gdzie niegdzie, starym zwyczajem świętym, gospodynie wystawiały na przyźby resztki wieczerzy, żegnały się pobożnie i szeptały...

— Naści, pożyw się, duszo krześcijańska w czyścu ostająca...

Wśród ciszy, smętku, rozpamiętywań, lęku płynął ten wieczór Zaduszek...

W izbie u Antków siedział Roch, ten ci wędrownik z ziemi świętej, i czytał a powiadał pobożne i święte historje.

Ludzi było dość, bo i Jambroży z Jagustynką i Kłębem przyszli, i Kuba z Witkiem, i Józia z Nastusią; nie było tylko starego Boryny, któren do późna w noc siedział u Jagusi.

Cicho było w izbie, że ino ten świerszcz za kominem skrzypiał, a trzaskały suche karpy na ogniu.

Siedzieli wszyscy na ławach przed kominem, ino Antek pod oknem. A Roch przegarniał raz wraz kijaszkiem wągielki i cichym głosem mówił:

...»Nie straszno umierać, nie, bo —

»Jako ci ptaszkowie, co pod zimę do ciepłych kra-

jów ciągną, tak ci duszyczka strudzona do Jezusa podąża...

»Jako te drzewiny w nagości stojące o zwieśnie Pan przyodziewa w listki zielone a kwiatuszki pachnące, tak ci duszo człowiecza do Jezusa iść po radość, po wesele, po zwiesnę i ono przyobleczenie wieczne.

»Jako tę ziemię rodzącą a strudzoną ogarnia słońce — tak ci Pan przyhołubi duszyczkę każdą, że nic jej zimy, nic jej bolenie, nic jej śmierć sama...

»Hej! bo ino płakanie jest na tej ziemice, jeno żałość a turbacja!

»I złość jako te osty się pleni i w bory urasta!

»A wszystko próżne jest i daremne — jako to próchno, jako te pępuszki, co je na wodzie wiater wydyma, a drugi je za się precz żenie«.

X.

... Na ambonie i każdemu zosobna to mówię, ale wy jak te psy, tylko nastajecie jeden na drugiego, tylko... — wiatr resztę słów wepchnął mu do gardła, że ksiądz się srodze zakasłał, a Antek nic nie rzekł, szedł wpodle i wypatrywał w mrokach, pomiędzy drzewami.

Wiatr się podnosił coraz mocniejszy, przewalał się po drodze i tak bił w topole, i miotał niemi, aż się przyginały z jękiem i szumiały rozsrożone.

— A mówiłem jusze—zaczął znowu ksiądz,—żeby sam kobyłę zaprowadził do stawu, to ją naprzód wypuścił — no, i zapodziała się... Ślepa przecież, zalezie gdzie między płoty i jeszcze nogi połamie. — Biadał

i bardzo troskliwie szukał, zaglądał za drzewo każde, wypatrywał po polach.

— Przeciech zawżdy sama chodziła...

— Zna dobrze drogę do stawu... przecież, nalał ktobądź wody do beczki, wykręcił tylko, a ona już sama trafiła na plebanję... — Ale w dzień ją zaprzęgali... a dzisiaj Magda czy Walek puścili ją już o zmierzchu... Walek! — krzyknął głośno, bo cień jakiś zamajaczył wśród topoli...

— Walka widziałem po naszej stronie, ale jeszcze przed zmrokiem.

— Polazł ją szukać, rychło w czas! — Klacz ma ze dwadzieścia roków, przy mnie się uległa... wysłużyła sobie łaskawy chleb... a przywiązana jak człowiek... Mój Boże, żeby się jej co złego nie stało!

— Co jej ta będzie! — mruknął Antek ze złością, bo jakże, poszedł do Dobrodzieja po radę, po użalenie się, to go ino skrzyczał i jeszcze zabrał, żeby kobyły szukać! Juści i kobyły szkoda, choć ta i ślepa i stara, ale zawżdy człowiekowi powinna być pierwszyzna!

— A ty się opamiętaj i nie pomstuj, boć to ojciec rodzony! Słyszysz!

— Dobrze pamiętam! — odparł ze złością.

— Grzech śmiertelny i obraza boska. A nic ten dobrego nie zwojuje sobie, któren w zapamiętałości rękę podnosi na ojców i przeciwi się przykazaniom Bożym. Masz rozum, toś o tem wiedzieć powinien.

— Sprawiedliwości chcę ino.

— A pomsty szukasz, co?

Antek nie wiedział, co rzec na to.

— A i to ci jeszcze powiem, że pokorne cielę dwie matki ssie.

— Wszyscy mi to powiedają... juści, ino tej pokorności mam już po grdykę, że więcej nie ścierpię! Choćby i zbój, choćby i ukrzywdziciel, ale że ojciec rodzony to już mu wolno wszystko, a dzieciom nie wolno dochodzić swojej krzywdy! Laboga, takie urządzenie na świecie, że ino plusnąć a iść, gdzie oczy poniesą...

— A idź, któż cię trzyma! — rzucił porywczo ksiądz.

— Może i pójdę, bo co mi tutaj robić, co? — szeptał ciszej, łzawo jakoś.

— Bajesz i tyle. Drudzy i jednego zagona nie mają a siedzą; pracują i jeszcze Panu Bogu dziękują. Wziąłbyś się do roboty, a nie wyrzekał jak baba. Zdrowy jesteś, mocny, masz o co ręce zaczepić...

— Przeciech całe trzy morgi! — rzucił urągliwie.

— Żonę i dzieci masz, toś o tem pamiętać powinien.

— Baczeć ja dobrze, baczę... — mruknął przez zęby.

Wyszli przed karczmę, świeciło się w oknach i jakieś głosy wydzierały się aż na drogę.

— Co to, znowu pijatyka, co?

— Rekruty, te co ich do wojska latoś wzieni, piją se la uciechy... W niedzielę ich pognają w tylachny świat, to się cieszą...

— Karczma prawie pełna! — szepnął ksiądz, przystając przy topoli, skąd było dobrze widać przez okno całe wnętrze zapchane ludźmi.

— Bo się zejść miały dzisiaj i uredzić... względem tego lasu, co go dziedzic sprzedał żydom na porębę...

— Przecież nie cały sprzedał, jeszcze tyle zostało!

— Póki z nami się nie ugodzi, to ani chojaka ruszyć nie 'damy!

— Jakto?... — zapytał wystraszonym nieco głosem.

— A nie damy i tyla! Ociec chce się prawować, ale Kłąb i te, co z nim trzymają, powiedają, że sądu nie chcą, a rąbać nie pozwolą, i choćby całą wsią iść przyszło, to pójdą, a i z siekierami, i z widłami jak wypadnie, a swojego nie dadzą...

— Jezus Marja! Toby się bez bitki i jakiego nieszczęścia nie obyło!

— Pewnie! Jak się parę łbów dworskich siekierami rozwali, to zaraz będzie sprawiedliwość!

— Antek! Rozum ci się ze złości pomieszał, czy co? Głupstwa pleciesz, mój drogi!

Ale Antek już nie słuchał, rzucił się nieco w bok i zginął w ciemnościach, a ksiądz poszedł śpiesznie ku plebanji, bo usłyszał turkot kół i ciche, żałosne rżenie kobyły...

Antek zaś poszedł w dół wsi, ku młynowi a drugą stroną stawu, żeby nie przechodzić koło chałupy Jagny.

Jak zadra tkwiła mu ona pod sercem, jak zła zadra, że jej nie wyciągnąć, ni uciec od niej.

A bystre światło biło z jej chałupy, jasne i wesołe jakieś... przystanął, aby spojrzeć ino ten jeden razik, aby choć zakląć ze złości — ale go wnet cosik poderwało

z miejsca, że pognał jako ten wicher, ni się obejrzał za się.

— Ojcowa ona już, ojcowa!

Do szwagra bieżał, do kowala — rady i on nijakiej nie da, ale między ludźmi nieco posiedzi, a nie tam, w chałupie ojcowej... Albo i ten ksiądz! Do roboty go będzie zaganiał! Hale, sam nic nie robi, frasunku nijakiego ni turbacji żadnej nie ma, to łatwo mu drugich poganiać. Kobietę mu wypomniał i dzieci... baczy on ją dobrze, baczy! już mu dość obmierzły jej płakania, i ta jej pokorność, i te jej psie, skamlące oczy... i gdyby nie ona!... Żeby to był sam! Jezus mój! — jęknął ciężko i porwał go dziki, szalony gniew, że chciało mu się chycić kogo za gardziel, dusić, rozdzierać i bić aż do śmierci!...

Ale kogo?... Nie, nie wiedział i złość ustąpiła nagle, jak była przyszła, a on patrzył pustym wzrokiem w noc i nasłuchiwał szamotań wichury, co się przewalała po sadach i tak ciepała drzewami, aż kładły się na płoty i chlastały go gałęziami po twarzy... i wlókł się wolno, ociężale, że ledwie się mógł poruszać, bo na duszę jęły mu się zwalać zmory smutku, umęczenia, niemocy, iż rychło zapomniał, gdzie idzie i z czem?...

— Ojcowa jest Jagna, ojcowa! — przerzekał raz po raz, a coraz ciszej — jako ten pacierz, by go nie zapomnąć.

W kuźni czerwono było od ogniska, chłopak dymał miechem zapamiętale, aż rozżarzone węgle warczały i buchały krwawym płomieniem; kowal stał przy kowadle, czapkę miał na tyle głowy, ręce nagie, skórzany fartuch, twarz usmoloną tak, że mu ino oczy świeciły się jako te

wągliki, a kuł żelazo czerwone mocno, aż huczało i deszcz iskier rozpryskiwał się z pod młota i z sykiem topił się w błotnistej ziemi.

— A co? — zapytał po chwili.

— I... cóżby zaś! — odparł cicho Antek, wsparł się o wasąg, których kilka stało do okucia i zapatrzył się w ogień.

Kowal pracował tęgo, nagrzewał żelazo raz po raz i kuł, dzwonił do taktu młotem, to pomagał chłopakowi dymać miechem, gdy mocniejszego ognia było potrzeba, a ukradkiem poglądał na Antka i uśmiech złośliwy wił mu się pod rudemi wąsami.

— Byłeś pono u Dobrodzieja? no i co?

A cóżby, nic. W kościelebym to samo usłyszał.

— A chciałeś co innego? — zaśmiał się ironicznie.

— Ksiądz przecie, uczony... — mówił usprawiedliwiająco Antek.

— Uczony jak wziąć trzeba, ale nie, kiej co dać komu...

Ale Antkowi już się odechciało sprzeciwiać.

— Pójdę do izby — rzekł po chwili.

— Idź — wójt wstąpi do mnie, to tam przyjdziemy! — A machorka jest na szafce, zapal se...

Nie słyszał nawet, tylko wszedł do mieszkania, co po drugiej stronie drogi było.

Siostra rozpalała ogień a najstarszy chłopak uczył się na elementarzu przy stole... Przywitali się w milczeniu.

— Uczy się to? — zauważył, bo chłopak sylabizował głośno i wodził zastruganym patykiem po literach.

— Już od kopania, panienka z młyna mu pokazują, bo mój czasu nie ma.

— Roch też uczy już od wczoraj w ojcowej izbie.

— Chciałam i ja tam słać Jaśka, ale mój nie da, że to u ojca i że panienka więcej uczona, bo w szkołach była we Warszawie...

— Pewnie, pewnie... — powiedział, byle coś rzec.

— A Jasiek taki zmyślny do lewentarza, aż się panienka dziwuje.

— Jakże... kowalowe nasienie przecież... syn takiego mądrali...

— Przekpiwasz się, a on najlepiej powiada, że póki ociec żyją, to zawżdy zapis mogą odebrać...

— Juści, wyrwij wilkowi z gardła, wyrwij! Sześć morgów grontu. To my u niego z kobietą za parobków prawie służym, a on obcej zapisuje, leda komu...

— Kłócił się będziesz, a pomstował, a rady u ludzi szukał, a prawował — to cię jeszcze z chałupy wygoni... — mówiła cicho, oglądając się na drzwi.

— Kto to powiedział? — zawołał głośno, zrywając się ze stołka.

— Cichoj ino... tak ludzie mówią, cichoj!... — szeptała lękliwie.

— Nie ustąpię, niech mę przez moc wyciepnie, do sądu pójdę, prawował się będę, a nie ustąpię — krzyczał prawie.

— I głową muru nie przebijesz, choćbyś i tryskał jak ten baran! — powiedział kowal, wchodząc do izby.

— To co zrobić? Mądre rady masz la ludzi, to poradź...

— Złością ze starym nie wygra! — Zapalił fajkę i jął mu przekładać, tłumaczyć, łagodzić i tak kręcić, aż się Antek poznał i krzyknął:

— Ty z nim trzymasz!

— Za sprawiedliwością jestem.

— Dobrze ci za nią zapłacił.

— Jeśli zapłacił, to nie z twojej kieszeni.

— A z mojej psiachmać, z mojej! Dobrodziej jucha z cudzego. Dosyć już wziąłeś, to ci nie pilno.

— Tylem wziął co i ty!

— Hale, tyle... a statki, a szmaty, a krowę, a ileś wycyganił od ojca? Bacze dobrze i te gąski, te prosiaki i kto tam zliczy! A ciołek, co ci go dał niedawno, to nic?

— Mogłeś i ty brać.

— Złodziej nie jestem ni ten cygan!

— A ja złodziejem jestem, ja?...

Przyskoczyli do siebie, gotowi się chycić za orzydla, ale opadli wnet, bo Antek rzekł ciszej.

— Nie mówię tego do ciebie... Ale swojego nie dam, choćbym miał skapieć...

— I... nie tyla ci tam o ten grunt idzie, widzi mi się... — rzucił drwiąco kowal.

— Ino o co?...

— Latałeś za Jagną, to ci teraz i markotno.

— Widziałeś?... — krzyknął ugodzony jakby w samo serce.

— Są takie we wsi, co i widziały a nie raz...

— Żeby im pomroka padła na ślepie! — szepnął ciszej, bo właśnie wójt wchodził do izby i witał się ze

wszystkimi; snać wiedział, o co się kłócą, bo również jął bronić starego i usprawiedliwiać.

— Dobrze was poił i wypasał kiełbasami, to i nie dziwota, że go bronicie...

— Bele czego nie powiadaj, kiej wójt do cię mówi! — krzyknął wyniośle.

— Wasze wójtostwo stoi u mnie tyle, co ten patyk złamany...

— Coś rzekł, co?

— Słyszeliście! a nie, to rzeknę jeszcze takie słowo, aż wam w pięty pójdzie...

— Rzeknij to słowo, rzeknij!

— A rzeknę — oto pijanica jesteście, i Judasz, i przeniewierca! a rzeknę, że za gromadzkie pieniądze balujecie i dobrzeście za to wzięli od dworu, że dziedzic sprzedał nasz las!... a chcecie, to wam jeszcze co dołożę, ino że już tym kijaszkiem... — wołał zapalczywie, porywając za kij.

— Urzędnik jestem, miarkuj się Antek, byś nie żałował.

— A w mojej chałupie ludzi nie następuj, bo tu nie karczma — krzyczał kowal, zasłaniając sobą wójta, ale Antek już na nic nie zważał, bo obu zwymyślał jak psów, trzasnął drzwiami i wyszedł...

Ulżyło mu rzetelnie, spokojniejszy wrócił do domu, ino tem jednem markotny, że niepotrzebnie pokłócił się ze szwagrem.

— Teraz już wszyscy będą przeciwko mnie! — myślał nazajutrz rano przy śniadaniu i ze zdumieniem zobaczył kowala, wchodzącego do izby.

Przywitali się, jakby nigdy nic nie zaszło pomiędzy nimi.

A że Antek szedł do stodoły urznąć sieczki, kowal poszedł za nim, przysiadł się na snopkach zruconych ze sąsieka do omłotu i jął cicho mówić:

— Na psa wszystkie kłótnie i o co jeszcze? o to głupie słowo! Tom pierwszy przyszedł do ciebie i pierwszy wyciągam rękę do zgody...

Antek podał mu rękę, spojrzał podejrzliwie i mruknął:

— Juści, że ino to słowo, bom złości do was nie miał. Wójt mnie zeźlił, bo co się będzie ujmował, nie jego sprawa, to mu wara!

— To samo mu rzekłem, bo chciał bieżyć za tobą...

— Bić mnie... dałbym ja mu bitkę, jak jego pociotkowi, co jeszcze od żniw żebra se lekuje... — wykrzyknął i jął nakładać słomę do lady.

— I•tom mu przypomniał... — rzucił skromnie kowal i uśmiechnął się chytrze.

— Jeszcze ja się z nim porachuję, popamięta mnie... figura jucha, urzędnik!...

— Ryfa jest i tyla, poniechaj go. Umyśliłem cosik i z tem do ciebie przychodzę... Trza zrobić tak... popołudniu przyjdzie tu moja, to razem z nią idźcie do starego rozmówić się dokumętnie... Na nic tam złości i żalenia się po kątach, trza w oczy stanąć i prosto powiedzieć, co się ma... Będzie dobrze abo i nie będzie, ale trza wszystko wyłożyć!...

— Co tu wykładać, kiej zapis zrobił!

— I złością z nim nie poredzi! Juści, że zapis zro

bił, póki żyje, to zawdy go może odebrać — bacz to sobie, i la tego nie potrza mu się przeciwić. Niech się żeni, niech ma swoją uciechę.

Antek przybladł na to przypomnienie i drżeć począł w sobie, aż rznąć przestał.

— Przeciw temu nie powstawaj w oczy a przychwalaj i mów, że dobrze robi i zapis miał wolę, to zrobił... niech ino resztę nam przyobieca — tobie i mojej, a przy świadkach! — dodał chytrze.

— A Józka i Grzela? — zapytał z niechęcią.

— Spłaci się ich! Bo to Grzela mało wybrał? a dy prawie mu co miesiąc posyła do wojska. Mnie ino słuchaj, zrób jak ci redzę a nie stracisz. Moja w tem głowa, że już tak pokieruję, co wszystko będzie nasze...

— Jeszcze baran żyje, a już kuśnierz kożuch na nim szyje...

— Mnie słuchaj... Niech ino przyobieca przy świadkach, żeby ino było za co chycić pazurami... sąd jeszcze jest i sprawiedliwość, nie bój się. A jest już jedna zaczepka, boć został gront po twojej matce...

— Wielka parada, cztery morgi — na mnie i na twoją...

— Ale go nie dał tobie ni mojej! A tyle roków sieje i zbiera! — Zapłaci wam dobrze za to i z precentami... Przywtórzę raz jeszcze, staremu się w niczem nie przeciw, przychwalaj, przygaduj, na wesele idź, dobrego słowa nie żałuj, a obaczysz, że go narychtujemy... A nie da się dobrocią, to sądy radę mu dadzą... Z Jagusią znacie się dobrze... to i ona mogłaby ci pomóc coś niecoś... jeno jej rzeknij o tem... ona jeszcze lepiej

mogłaby starego na naszą stronę przechylić..., no zgoda?... bo czas mi już iść...

— Zgoda! ino prędko idź, bym ci w pysk nie dał i za wrota nie wyciepnął! — szepnął przez zęby.

— Co ty Antek? co ty? — bełkotał przestraszony, bo Antek puścił kosę i szedł ku niemu blady ze strasznemi oczami.

— Judasz ścierwa, złodziej! — wychlustywał ze siebie spienioną nienawiścią słowa, aż kowal porwał się i uciekł co tchu.

— Rozum mu się psuje, czy co?... — myślał już na drodze. — Jakże, dobrą radę dałem... a ten?... kiej taki głupi, to niech idzie na wyrobek, niech go stary wygoni, pomogę jeszcze do tego... a tak czy owak grontu nie popuszczę... Takiś to ty! W pysk chciałeś mi dać, za wrota wyciepnąć, żem się chciał z tobą podzielić... że kiej do brata przyszedłem z dobrem słowem! Takiś to ty! Acha, sambyś chciał wszystko brać! Niedoczekanie twoje! Wyciągnąłeś ty ze mnie moje zamysły, to już cię jucho przyrychtuję, jaż cię frybra angielska potrzęsie. — Rozsrażał się coraz bardziej, bo go wściekłość porywała, że Antek przejrzał jego zamysły i gotów jeszcze wydać przed starym. Tego się najwięcej obawiał.

— Trza temu zapobiec! — zdecydował natychmiast i, mimo obawy przed Antkiem, zawrócił z powrotem do Borynów.

— Jest gospodarz? — zapytał Witka, który wprost domu smagał kamieniami na gęsi pływające po stawie.

— Hale, jest tam! poszli przecie do młynarzów, zapraszać na wesele...

— Wyjdę naprzeciw, nibyto się spotkamy! — pomyślał i poszedł ku młynarzowi, ale po drodze wstąpił jeszcze do domu i przykazał żonie pięknie się przyodziać, dzieci zabrać i zaraz, jak przedzwonią południe, iść do Antków.

— Już on ci powie, co robić!... Nic sama nie rób i nie miarkuj, boś głupia, a ino jak będzie potrza, to beknij, ojcowe nogi obłap i proś... a słuchaj dobrze, co ojciec powiedzą i co Antek przódzi mówił będzie... — Z dobry pacierz ją nauczał a przez okno patrzył, czy ich na moście nie widać.

— Zajrzę do młyna, czy jagłę zrobili. — Dłużyło mu się w domu czekać.

Ale szedł wolno, przystawał a medytował... — Juści, kto go ta wie, co zrobi.

— Sklął mnie a gotów zrobić, com redził... to i lepiej, że kobieta przy tem będzie... a nie zrobi, pokłócą się... stary go wypędzi...

— Tak abo i nie, a zawsze się cosik udrze la siebie... — zaśmiał się radośnie, zatarł ręce, nacisnął kaszkiet i zapiął kapotę, bo wietrzno było i ziąb przejmujący szedł od stawu.

— Przymrozek będzie albo i pluchy nowe — szepnął, przystając na moście i spoglądając po niebie... Chmury gnały nisko, bure, ciężkie, jakby obłocone, niby stada niemytych baranów. Staw pomrukiwał głucho, a czasami chlustał wodą o brzegi, na których gdzie niegdzie, wśród czarnych, pochylonych olch i wierzb ro-

sochatych, czerwieniły się kobiety pierące szmaty; kijanki trzaskały zajadle po obu brzegach. Na drogach pusto było, gęsi tylko całemi stadami babrały w stężałem błocie i po rowach zarzuconych opadłemi liśćmi i śmieciami i dzieci krzyczały przed domami. Koguty zaczęły piać po płotach jakby na zmianę.

— We młynie prędzej się ich doczekam! — szepnął i poszedł na dół.

Antek zaś po odejściu kowala jął rznąć tak zajadle sieczkę, że całkiem się zatracił w tej robocie i do południa narznął tyle, aż Kuba, któren przyjechał z lasu, wykrzyknął:

— Na cały tydzień będzie tego, no! — dziwował się tak głośno, aż Antek oprzytomniał, ladę rzucił, przeciągnął się i poszedł do chałupy.

— Co będzie, to będzie, a trza mi się z ojcem rozmówić dzisiaj! — postanawiał... — Cygan on jest i Judasz, ale może i dobrze redzi... juści, musi on w tem co mieć... — Myślał o kowalu i zajrzał na drugą stronę, ojcową, i wnet się cofnął, bo tam siedziało ze dwadzieścioro dzieci i wszystkie razem a w głos sylabizowały... Roch je nauczał i pilnie baczył, by psich figlów nie stroiły... Chodził se dookoła nich z różańcem w ręku, nasłuchiwał, czasem które poprawił, czasem pociągnął za ucho, czasem pogłaskał, a często gęsto przysiadł i cierpliwie wykładał, jako tam stoi i pytał, a dzieciska hurmem jedno przez drugie rwały się odpowiadać, jako te indory, kiej je kto podrażni... a tak głośno, że i po drugiej stronie słychać było...

Hanka gotowała obiad i pogadywała z ojcem

swoim, starym Bylicą, któren rzadko zachodził, że to schorowany był i ledwie się już ruchał.

Siedział pod oknem wsparty na kijaszku i wodził oczami po izbie, to na dzieci, co były cicho się zbiły w kąt, to na Hankę spozierał... siwy był całkiem, wargi mu się trzęsły i głos miał słaby jakby ptaszęcy, a w piersiach mu ciągiem rzęziało...

— Jedliście śniadanie, co? — spytała cicho.

— I... po prawdzie, to Weronka zabaczyła mi dać... i nie upominałem się, nie...

— Weronka psy nawet głodzi, bo tu nieraz do mnie podjeść przychodzą! — zawołała, bo i przytem gniewała się ze starszą siostrą jeszcze od zeszłej zimy, że to tamta po śmierci matki pobrała wszystko, co pozostało i oddać nie chciała, to się i prawie nie widywały.

— Bo się u nich nie przelewa, nie... — bronił cicho... — Stach młóci u organisty to i tam poje i jeszcze czterdzieści groszy za dzień bierze... a w chałupie tyle gąb... że i tych ziemniaków nie starczy... Prawda... że dwie krowy mają i mleko jest... że masło i sery do miasta nosi i ten grosz jaki bierze... ale zabaczy często dać jeść... jušci niedziwota... dzieci tyla... a to i wełniaki ludziom tka... i przędzie i haruje jak ten wół... a bo to dużo ni trza?... żeby ino w porę i co dnia... to...

— A to się do nas przeniesie na zwiesnę, kiej wam u tej suki tak źle...

— Dyć się nie skarżę, nie narzekam ino... ino... — głos mu się załamał nagle...

— Popaślibyście gęsi, to dzieci przypilnowali...

— Wszystkobym robił, Hanuś, wszystko — szeptał cichutko.

— W izbie jest miejsce, to się łóżko wstawi, byście ciepło mieli...

— A dyć i w oborze, i przy koniach spałbym, byle u ciebie, Hanuś, byle już nie wracać! byle... — zachłysnął się aż tą prośbą błagalną i łzy jęły mu kapać z zapadłych, poczerwieniałych oczów... — Zabrała mi pierzynę, bo powiada, że dzieci nie mają pod czem spać... juści... marzły, żem sam je brał do siebie... ale kożuszysko się wytarło i nic mę nie grzeje... i łóżko mi wziena... a po mojej stronie zimno... ani tej szczapy drzewa nie pozwoli... i każdą łyżkę strawy wypomina... na żebry wygania... a kiej mocy nie mam, do ciebiem się ledwie zwlókł...

— Laboga! a czemuście to nam nic nigdy nie rzekli, że wam tak źle...

— Jakże... córka... on dobry człowiek, ale cięgiem na wyrobku... jakże...

— Piekielnica jedna! Wzięła pół gruntu i pół chałupy, i wszystko i taki wam daje wycug! Do sądu trza iść! Jeść mieli wam dawać i opał, i to co wam do ubieru potrzeba, a my te dwanaście rubli w rok... bośmy przeciech i dług spłacili... co, nie tak?...

— Prawda! Rzetelni jesteście, prawda... ale i te parę złotych co od was, a com je chował sobie na pochowek, wycyganiła ode mnie... a potem i dać było potrza... jakże... dziecko... — Umilkł i siedział cichy, skulony, podobny do kupy starych wiorów prędzej niźli do człowieka.

A po obiedzie, skoro jeno kowalowa weszła z dziećmi i jęła się witać, zabrał węzełek, jaki mu Hanka narządziła pokryjomu i wyniósł się pocichu.

Boryna na obiad nie przyszedł.

Kowalowa postanowiła zatem czekać choćby i do nocy; Hanka narządziła pod oknem warsztat i przeciągała pacześny wątek przez płochy i tylko niekiedy, choć i z nieśmiałością, rzuciła jakie słowo w rozmowę, jaką wiódł Antek z siostrą; wywodzi łswoje żale, w czem mu już i przywtarzała, ale niedługo to trwało, bo wpadła Jagustynka i jakby od niechcenia mówiła.

— Od organistów lecę, do prania mnie zawołały... Dopiero co był tam Maciej z Jagną prosić na wesele. Pójdą! Juści, swój do swego, bogacz do bogacza ciągnie... i księdza też prosili...

— I dobrodzieja prosili?... — wykrzyknęła Hanka.

— A cóż to, święty czy co? Prosili, powiedział, że może przyjdzie... la czego nie, bo to młoducha nie urodna, a bo to jadła dobrego i napitku nie naszykują! Młynarze się też obiecali i z córką. Ho, ho, takiego wesela, jak Lipce Lipcami, jeszcze nie było! Wiem dobrze, bo z Jewką od młynarzów kucharować będziemy. Wieprza już im Jambroży sprawił, kiełbasy robią... — przerwała nagle, bo nikt nie mówił i nie pytał, siedzieli chmurni, więc przyjrzała się wszystkim uważnie i wykrzyknęła:

— Zanosi się u was na coś.

— Zanosi czy nie zanosi, a wam nic do tego! — powiedziała tak ostro kowalowa, aż Jagustynka się obraziła i poszła na drugą stronę, do Józi, która ustawiała

ławki i stołki, bo dzieci się już porozchodziły, a Roch polazł na wieś.

— Pewnie, że ojciec nie będzie sobie żałował niczego — szepnęła kowalowa rozżalonym głosem.

— Nie ma to na to! — powiedziała Hanka i zmilkła zastrachana, bo Antek spojrzał na nią groźnie. — Siedzieli więc prawie w milczeniu i czekali; czasem które niecoś rzekło i znowu zapadało głuche, ciężkie, niepokojące milczenie...

Przed chałupą i na ganku Witek z dziećmi wyprawiał takie brewerje, aż Łapa szczekał i chałupa się trzęsła.

— Gotowych pieniędzy musi mieć też dosyć, ciągle coś sprzedaje a wyda na co?...

Antek machnął ręką na to siostrzyne słowo i wyszedł z izby na powietrze; ckniło mu się w chałupie i niepokój w nim rósł i strach, sam nie wiedział czego, czekał na ojca i niecierpliwił się, a rad był w duszy, że tamtego tak długo nie widać. — »Nie o gront tobie idzie, a o Jagusię!« Przypomniał sobie, co mu kowal wczoraj powiedział... — Łże jak ten pies! — wykrzyknął zapamiętale. Wziął się do ogacania ściany od podwórza, Witek nosił mu ściółkę z kupy, a on ubijał i zakładał żerdkami, ale mu ręce drżały i raz wraz zaprzestawał roboty. Wspierał się o ścianę i przez nagie, bezlistne drzewa patrzył za staw, hań, na Jagusiną chałupę... Nie, nie miłowanie w nim wzrastało, ino złość i tysiące uczuć nienawistnych, aż się zdziwił temu! — Suka, ścierwa, rzucili jej gnat, to i poszła! — myślał. Ale przyszły nań wspomnienia, wypełzły skądsiś, z tych pól nagich, z dróg, z sadów sczer-

niałych i pokurczonych i obsiadły mu serce, czepiały się myśli, majaczyły przed oczami... aż pot pokrył mu czoło, oczy rozbłysły i dreszcz go przechodził mocny, ognisty!... Hej, a tam w sadzie... a wtedy w lesie... a kiedy razem powracali z miasta...

Jezus! aż się zatoczył, bo znagła ujrzał tuż przed sobą jej twarz rozpłomienioną, dyszącą na miętnie, jej modre oczy i te usta pełne i tak czerwone a tak bliskie, że ich tchnienie czuł, buchnęły na niego żarem... i ten głos cichy, urywany, nabrzmiały miłością i ogniem...

— Jantoś!... Jantoś! — Przechylała się do niego blisko, że czuł ją całą przy sobie, jej piersi, jej ramiona, jej nogi — aż oczy przecierał i odpędzał precz od się te mary mamiące i cała jego złość zawzięta skapywała mu z serca niby te lody ze strzech, gdy je wiośniane słońce przygrzeje, a budziło się znowu kochanie i wznosiła swój łeb kolczasty tęskność bolesna, taka straszna tęskność, że choćby głową tłuc o ścianę i ryczeć w niebogłosy!

— A żeby to siarczyste zatrzasnęły! — wykrzyknął, przytomniejąc i bystro spojrzał na Witka, czy ten nie domyśla się czego...

Od trzech tygodni był w gorączce, w oczekiwaniu jakiegoś cudu, a nic nie mógł poredzić, niczemu się przeciwić! A bo to raz przychodziły mu szalone myśli i postanowienia, że biegł, aby się z nią zobaczyć, bo to jedną noc na deszczu i chłodzie warował jak ten pies przed jej chałupą! Nie wyszła, unikała go, na drodze już zdala omijała!...

Nie, to nie! I coraz bardziej zawzinał się przeciwko niej i przeciw wszystkiemu! Ojcowa ona, to i obca,

to i ta przybłęda, ten pies bezpański, ten złodziej co gront, dobro najwyższe im kradnie — a to kijem go choćby i na śmierć zakatrupię!

A bo to raz chciało mu się ojcu do oczów stanąć i rzec: nie możecie się z Jagną żenić, bo ona moja! Ale strach podnosił mu włosy na głowie, co powie stary, co ludzie, co wieś?...

A przecież Jaguś będzie jego macochą, matką jakby — jakże to może być, jakże?... toć grzech musi być, grzech! Aż bał się myśleć o tem, bo mu serce zamierało ze zgrozy niewytłumaczonej, z obawy przed jakąś straszną karą boską... I nie rzec o tem nikomu, ino to nosić w sobie jako zarzewie, jako ten ogień żywy, któren aż do kości przepala... nie na ludzką to moc, nie.

A tu już za tydzień ślub...

— Gospodarz idą! — zawołał Witek prędko, aż Antek drgnął ze strachu.

Mroczało już na świecie.

Zmierzch sypał się na wieś, jako ten popiół niewystudzony i od ukrytego zarzewia rudawy jeszcze — zorze dogasały, bladły od tych chmur burych, które wiatr gnał i zwalał na zachód i stożył w góry przeogromne. Zimno się robiło, ziemia tężała, powietrze czyniło się ostre, rzeźwe jak przed przymrozkiem i takie słuchliwe, że tupot i ryki pędzonego do wodopoju inwentarza szły głośniej, a skrzypy wrótni i studziennych żórawi, rozmowy, krzyki dzieci, szczekania leciały wyraźniej przez staw; gdzie niegdzie błyskały już okna i padały na wodę długie, porwane, drgające odbicia świetliste... a z poza lasów wychylał się zwolna ogromny, czerwony księżyc

w pełni, aż łuny biły nad nim, jakby pożar buchał gdzieś, w głębi lasów.

Boryna przyodział się w zwyczajne szmaty i poszedł w podwórze, do gospodarstwa, zajrzał do koni, do krów, do stodoły, a nawet i do prosiaków, skrzyczał Kubę za coś i Witka również, że cielęta wylazły z gródki i łaziły pomiędzy krowami, a gdy wrócił do izby swojej, już tam czekali nań wszyscy... Milczeli, ino wszystkie oczy podniosły się na niego i opadły wnet, bo przystanął na środku, obejrzał się po nich i zapytał drwiąco:

— Wszystkie! Jak na sąd jaki!

— Nie na sąd, ino do was przyślim z proszeniem — rzekła nieśmiało kowalowa.

— A czemuż to i twój nie przyszedł?...

— Robotę ma pilną, to ostał w domu...

— Jušci... robotę... jušci... — uśmiechnął się domyślnie, zrzucił kapotę i jął zzuwać buty, a oni milczeli, nie wiedząc od czego zacząć. Kowalowa chrząkała i przyciszała dzieci, bo się brały do baraszkowania, Hanka siedziała na progu i karmiła chłopaka, a latała niespokojnemi oczami po twarzy Antka, któren siedział pod oknem i układał sobie w głowie, co ma rzec, a drżał cały ze wzruszenia i niecierpliwości. Jedna Józia spokojnie obierała ziemniaki pod kominem, przyrzucała drewek na ogień i ciekawie poglądała po wszystkich, bo nic wymiarkować nie mogła.

— Czego chcecie, mówcie? — zawołał ostro, zniecierpliwiony milczeniem.

— A to... mów Antek... a to przyszlim wedle tego zapisu... — jąkała kowalowa.

— Zapis zrobiłem, a ślub w niedzielę... to wam rzeknę!

— To wiemy, ale nie o to przyślim.

— A czego?

— Zapisaliście całe sześć morgów!

— Bom ta chciał, a zechcę, to w ten mig zapiszę wszystko...

— Jak wszystko będzie wasze, to zapiszecie! — powiedział Antek.

— A czyjeż to jest, co, czyje?...

— Dziecińskie, nasze.

— Głupiś jak ten baran! Grunt jest mój i zrobię z nim, co mi się spodoba!

— Zrobicie abo i nie zrobicie...

— Ty mi wzbronisz, ty!

— A ja, a my wszystkie, a nie, to sądy wam wzbronią — krzyknął, bo już nie mógł ścierpieć i buchnął zapamiętałością.

— Sądami mi wygrażasz, co? Sądami! — Zamknij ty gembę pókim dobry, bo pożałujesz! — krzyczał, przyskakując do niego z pięściami.

— A ukrzywdzić się nie damy! — wrzasnęła Hanka, podnosząc się na nogi.

— A ty czego? Trzy morgi piachu wniesła i starą płachtę, a będzie tu pysk wywierała?

— Wyście i tyla Antkowi nie dali, nawet tych jego morgów matczynych, a robimy wam za parobków, jak te woły.

— Sprzątacie za to z trzech morgów.

— A odrabiamy wam za dwadzieścia abo i więcej.

— Jak wam krzywda, idźcie se poszukać lepiej.

— Nie pójdziem szukać, bo tu jest nasze! Nasze po dziadach pradziadach! — zawołał mocno Antek.

Stary uderzył go oczami i nic nie odrzekł, przysiadł przed komin i pogrzebaczem tak dziabał w głownie, aż iskry się sypały — zły był, ognie chodziły mu po twarzy i włosy mu ciągiem spadały na oczy jarzące jak u żbika... ale się jeszcze hamował, choć ledwie i zdzierżał...

Długie milczenie zaległo izbę, że ino te przysapki a dychania prędkie słychać było. Hanka szlochała zcicha i pohuśtywała dziecko, bo skamleć poczęło.

— My nie przeciwimy ożenkowi, chcecie, to się żeńcie...

— A przeciwcie się, dużo o to stoję...

— Ino zapis odbierzcie — dorzuciła przez łzy Hanka.

— Zmilkniesz ty, a to psiachmać jazgocze ciągiem jak ta suka! — rzucił z taką mocą pogrzebacz w ogień, aż się głownie potoczyły na izbę.

— A wy się miarkujcie, bo to nie dziewka wasza, żebyście gębę wywierali na nią!

— To czemu pyskuje!

— Ma prawo, bo się o swoje upomina! — wrzeszczał coraz mocniej Antek.

— Chcecie to i zapiszcie, ale to co ostało odpiszcie na nas — zaczęła cicho kowalowa.

— Głupiaś. Widzisz ją, mojem się tu będzie dzieliła. Nie bój się, na wycug do waju nie pójdę... — rzekłem!

— A my nie ustąpim. Sprawiedliwości chcemy.

— Jak wezmę kija, to wama dam sprawiedliwość.

— Spróbójcie ino tknąć, a pewnikiem wesela nie doczekacie...

I jęli się już kłócić, przyskakiwać do się, grozić, bić pięściami w stół, wykrzykiwać a wypominać wszystkie swoje żale i krzywdy! Antek tak się zapamiętał i tak rozsrożył, że wściekłość buchała z niego, i raz wraz już starego chwytał to za ramię, to za orzydle i gotów był bić... ale stary jeszcze się hamował, nie chciał bijatyki, odpychał Antka, na obelgi zrzadka odpowiadał, by ino dziwowiska la sąsiadów i wsi całej nie czynić! W izbie podniósł się taki krzyk i zamęt i płacz, bo obie kobiety płakały i wołały naprzemian, a dzieci też wrzeszczały, że Kuba z Witkiem przylecieli z podwórza pod okna... ale nic rozeznać nie rozeznali, bo wszyscy razem krzyczeli, aż wkońcu, kiedy im już zabrakło głosu, chrzypieli ino samemi przekleństwami a pogróżbami, Hanka ryknęła nowym, ogromnym płaczem, wsparła się o okap i jęła zalewanym przez łzy, nieprzytomnym głosem krzyczeć:

— Na żebrę ino nam iść, we świat... o mój Jezus, mój Jezus!... a jak te woły harowalim i dnie... i noce... za parobków... a teraz co?... a Pan Bóg was pokarze za krzywdę naszą!... pokarze... Całe sześć morgów zapisali... a te szmaty po matce... te paciorki... to wszystko... i la kogo to la kogo?... la takiej świni, ażebyś pode płotem zdechła za krzywdę naszą, a żeby cię robaki roztoczyły ty wywłoko, ty lakudro jedna, ty!...

— Coś powiedziała?... — zaryczał stary, przyskakując do niej...

— Że lakudra i włók ten, to i cała wieś wie o tem... cały świat... cały...

— Wara ci od niej, bo ci ten pysk o ścianę rozbiję, wara... — i jął nią trząść, ale już Antek przyskoczył i osłonił i również krzyczeć począł:

— I ja przywtórzę, że lakudra jest, włók, ja! A spał z nią, kto chciał, ja!... — wołał nieprzytomnie i gadał, co mu ślina na język przyniesła, nie skończył, bo stary, rozwścieklony już teraz do ostatka, trzasnął go tak w pysk, aż rymnął łbem na oszkloną szafkę i z nią razem zwalił się na ziemię... Porwał się rychło okrwawiony i runął na ojca.

Rzucili się na siebie jak dwa psy wściekłe, chycili się za piersi i wodzili po izbie, miotali, bili sobą o łóżka, skrzynie, o ściany, aż łby trzaskały. Krzyk się podniósł nieopisany, kobiety chciały ich rozerwać, ale przewalili się na ziemię i tak zwarci całą nienawiścią i krzywdami tarzali się, gnietli, dusili...

Całe szczęście, że rychło rozerwali ich sąsiedzi i odgrodzili od siebie...

Antka przenieśli na drugą stronę i zlewali wodą, tak osłabł z umęczenia i upływu krwi, bo twarz miał porozcinaną o szyby.

Staremu nic się nie stało; spencer miał nieco podarty i twarz podrapaną i aż siną z wściekłości... Sklął i powyganiał ludzi, co się byli zlecieli, drzwi od sieni zamknął i siadł przed kominem...

Ale uspokoić się nie mógł, bo mu ciągiem wracało

przypomnienie tego, co na Jagnę wypowiedzieli, a żgało go w serce jakby nożem...

— Nie daruję ja ci tego, psie jeden, nie daruję!— przysięgał sobie w duszy. — Jakże, na Jagusię... — Ale wnet przychodziło mu do głowy i to, co nieraz już słyszał o niej, co dawniej pogadywali a na co nie zwracał uwagi! Gorąco mu się robiło i dziwnie duszno i dziwnie markotno... — Nieprawda, pleciuchy i zazdrośniki, wiadomo! — wykrzyknął w głos, ale coraz więcej mu się przypominało gadań ludzkich. — Jakże, rodzony syn powieda, to nie mają szczekać! Ścierwa! — ale żarły go te wspominki jak ogień...

A gdy Józia posprzątała ślady bitwy, a wkońcu choć i późno, podała kolację, spróbował ziemniaków i położył łyżkę, nie mógł przełknąć.

— Zasypałeś obroki koniom? — zapytał Kuby.

— Przeciech...

— Gdzie Witek?

— Po Jambroża poleciał, by Antkowi głowę opatrzył; gęba mu spuchła kiej garnek — dodał i wyniósł się zaraz, bo księżyc świecił, a on się dzisiaj wybierał pod las na polowanie... — Juchy, chleb ich rozpiera, to się biją — mruczał.

Stary też poszedł na wieś, nie wstąpił jednak do Jagny, choć się w oknach świeciło, zawrócił z pod samych drzwi i polazł drogą ku młynowi.

Noc była chłodna, wyiskrzona, przymrozek ścinał ziemię, księżyc wisiał wysoko i tak jasno świecił, że cały staw roziskrzył się jakby żywem srebrem, drzewa rzucały długie, chwiejne cienie na drogi puste. Późno już

było, światła w domach gasły, ino bielone ściany występowały mocniej ze sadów nagich, cisza i noc ogarniała wieś całą, jeden młyn turkotał i woda bełkotała monotonnie... Maciej chodził to tą, to drugą stroną stawu i nie wiedział, co z sobą począć, nie uspokoił się, gdzietam, jeszcze barzej rozbierała go złość i nienawiść; aż i do karczmy poszedł, posłał po wójta i prawie do północka pił, ale robaka nie zalał... jeno jedno postanowienie powziął.

Rano nazajutrz, skoro wstał, zajrzał na drugą stronę, Antek leżał jeszcze, twarz miał obwiązaną w okrwawioną szmatę, ale się uniósł nieco.

— Wynośta mi się w ten mig z chałupy, żeby ni śladu po was nie ostało — krzyknął. — Chcesz wojny, chcesz sądu, idź do sądu, skarż mnie, dochodź swojego. Coś swoje posiał — latem zbierzesz, a teraz wynoś się! Niech moje oczy was nie widzą! Słyszysz! — ryknął, bo Antek podniósł się, ale nic nie odpowiadał... i zaczął się wolno ubierać...

— Żeby mi do połednia już was nie było! — zawołał jeszcze z sieni.

Antek i na to nie odrzekł, jakby nic nie słyszał...

— Józka, zawołaj Kubę, niech założy kobyłę do wozu i wywiezie ich, gdzie chcą!

— Hale, kiej Kubie cosik jest, leży na werku i jęczy ino, a powiada, że całkiem wstać nie może, tak go ten kulas krzywy boli...

— Hale, noga go boli! Wałkoń jeden, odpoczywać se chce... —i sam zajął się rannym obrządkiem gospodarskim.

Ale Kuba rozchorzał naprawdę, nie powiadał, co mu jest, choć go się Boryna pytał, ino że chory, a tak jęczał, tak stękał, aż konie rżały, przychodziły do wyrka i obwąchiwały mu twarz i lizały, a Witek coraz to nosił mu wodę wiaderkiem i ukradkiem prał w potoku jakieś szmaty skrwawione...

Stary nie spostrzegł tego, bo przypilnowywał, by się Antkowie wynosili.

I wynosili się.

Bez krzyków już, bez kłótni, bez sprzeciwiań pakowali się, wynosili statki, wiązali toboły; Hanka aż mdlała z żałości, Antek ją wodą trzeźwił i poganiał, byle już rychlej zejść z ojcowskich oczów, byle prędzej...

Pożyczył konia od Kłęba, ojcowego nie chciał i przewoził rzeczy do Hanczynego ojca, na koniec wsi, za karczmę jeszcze...

Ze wsi przyszło paru gospodarzy, z Rochem na czele i chcieli zgodę czynić między nimi, ale ni syn ni ojciec mówić sobie o tem nie dali...

— Popróbójcie, jak to wolność smakuje i swój chleb — odpowiedział stary.

Antek nic nie odrzekł na namowy, ino podniósł pięść i tak zaklął strasznie, tak pogroził, aż Roch zbladł i cofnął się do kobiet, których się dość zebrało w opłotkach i w ganku, żeby to Hance pomóc, a głównie, by się w głos użalać i pyskować a uredzać!...

Gdy zabeczana Józia podawała obiad ojcu i Rochowi, już tamci z ostatniemi rzeczami i dziećmi wyjeżdżali z opłotków na drogę... Antek ni się obejrzał na chałupę, przeżegnał się ino, westchnął ciężko, smagał

konia, podpierał wóz, bo kopiasto był nałożony i szedł jak martwy, a blady jak ten papier, oczy mu gorzały zaciętością i zęby szczękały kiej we febrze... ale ni jednego słowa nie rzekł, Hanka zaś wlekła się za wozem, starszy chłopak czepiał się matczynego wełniaka i krzyczał w niebogłosy, młodszego tuliła do piersi i zaganiała przed sobą krowy, stadko gęsi i dwa chude prosiaki, a tak ryczała, tak wyklinała, tak zawodziła, że ludzie wychodzili z domów i jakby procesją ich odprowadzali...

A u starego obiad jedli w ponurem milczeniu.

Stary Łapa szczekał na ganku, biegł za wozem, powracał znowu i wył... Witek go nawoływał, ale pies nie słuchał, biegał po sadzie, obwąchiwał podwórze, wpadał do izby Antków, obleciał ją parę razy, wypadł do sieni, szczekał, skomlił... połasił się do Józi i znowu latał jak oszalały, to przysiadał na zadzie i ogłupiałym wzrokiem patrzył, aż wreszcie zerwał się, wtulił ogon pod się i poleciał za Antkami...

— A to i Łapa poszedł za nimi...

— Wróci, wygłodzi się, to wróci, nie bój się Józia — mówił miękko stary. — Nie bucz głupia! wyporządź tamtą stronę, Roch będą mieli mieszkanie. Zawołaj Jagustynki, to ci pomoże... i zajmij się gospodarstwem, gospodynią teraz jesteś, na twojej głowie wszystko... no nie bucz, nie... ujął jej głowę i głaskał a przyciskał do piersi, a hołubił...

— Pojadę do miasta, to ci trzewiki kupię.

— Kupicie tatulu? naprawdę kupicie?...

— Kupię ci, kupię ci i co więcej, ino dobrą córką bądź, o gospodarstwie pamiętaj!

— To i na kaftan mi kupcie, taki jak ma Nastusia Gołębianka.

— Kupię ci córko, kupię...

— I wstążek ino długich, bobym nie miała na wasze wesele.

— Co ci ino potrza, mów, a wszystko miała będziesz, wszystko.

XI.

— Śpisz to Jaguś?...

— A bo to mogę. Ocknęłam na rozświcie i cięgiem mi w głowie stoi, że już dzisiaj wesele... aż wierzyć trudno.

— Markotno ci córko, co? — spytała ciszej... z lękliwą nadzieją w sercu...

— Coby zaś markotno miało być! ino, że od was trza mi iść, na swoje...

Stara nie odrzekła, stłumiła w sobie żal, jaki nagle ją przewiercił i wstała z pościeli, przyodziała się byle jak i poszła do stajni budzić chłopaków. Zaspali nieco po wczorajszych rozplecinach, bo dzień już był duży, świt zatopił ziemię w srebrzystej, połyskliwej szronami topieli, zorze się rozpalały na wschodzie — jakoby kto niebo posypał zarzewiem.

Dominikowa umyła się w sieni i cicho chodziła po izbie, ale raz wraz poglądała na Jagnę, której ledwie głowę można było rozeznać na pościeli wśród mroków, jakie jeszcze zalegały izbę...

— Leż se córko, leż!... ostatni to raz u matki, ostatni! — myślała z czułością i z tym bolesnym żalem, co wciąż powracał. Nie chciało się jej wierzyć, że to naprawdę już dzisiaj, aż sobie przypominać musiała wszystko... Tak sama chciała tego, a teraz, a teraz... jakby strach nią owładnął i tak zatrząsł, aż skurczyła się z bólu i przysiadła na łóżku... Boryna dobry człowiek, uszanuje i krzywdy jej nie zrobi... a Jaguś poprowadzi go, gdzie ino zechce, bo stary świata Bożego poza nią nie widzi...

Nie, nie o to się bojała, nie o to... pasierby! Juści... poco było Antków wyganiać? teraz dopiero będą zapiekać a pomsty szukać!... A nie wyganiać, to Antek byłby pod bokiem i obraza boska, abo i co gorsze, wyszłoby z tego!... Jezus mój! A rady już niema... Zapowiedzi wyszły... wieprzek zabity, weselni sproszeni... tyla już zrobione... zapis w skrzynce...— Nie, nie! Co będzie to będzie, a krzywdy nijakiej, póki żyje, zrobić jej nie dam!...— pomyślała stanowczo i poszła znowu do chłopaków krzyczeć, czemu nie wstają.

Za powrotem chciała ostro wołać na Jagnę, ale Jaguś; usnęła; równy, cichy oddech szedł od łóżka, a ją znowu chwyciły wątpliwości różne i żale i jak te jastrzębie czepiały się pazurami serca, darły i krzyczały strachem a troską! Uklękła pod oknem, wpiła zaczerwienione, rozpalone oczy w świt i modliła się długo i gorąco. Wstała mocna i na wszystko gotowa!

— Jaguś! Wstań córko, czas już! Ewka zaraz przyleci do gotowania, a tyla jeszcze roboty!

— Pogoda to? — pytała, podnosząc ociężałą głowę.

— I jaka, aż się lśkni na świecie od przymrozku! Słońce zaraz wzejdzie...

Jagna ubierała się szybko. Stara jej pomogła i długo o czemś rozmyślała, bo wkońcu rzekła:

— A przywtórzę ci jeszcze, com już nieraz mówiła... Borynę trza uważać... dobry on człowiek... z bele kim się nie zadawać... by cię znowu na ozory nie wzięli... ludzie, to jak te psy... ino gryść! Słuchasz to córko?...

— Słucham, słucham, ale tak mówicie, jakbym swojego rozumu nie miała...

— Rady dobrej nikomu nie za wiele... Bacz i to, by z Boryną nie huru-buru, a miętko a dobrocią... Starszy wżdy uważniejszy jest na to niźli młodziak... a kto wie, może ci z gruntu przypisać abo gotowy grosz za pazuchę wrazić!

— Nie stoję tam o to — burknęła zniecierpliwiona.

— Boś młoda i głupia... A obejrzyj się ino po wsi, po ludziach, to obaczysz, o co się kłócą, o co pracują, o co zabiegają! O grunt jeno, o dobro! Dobrzeby ci było bez tego zagona, bez tej świętej ziemi, co? Nie do wyrobku i biedowania Pan Jezus cię stworzył! nie! A pocom całe życie zabiegała — la ciebie ino Jaguś! A teraz ostanę kiej ten palec sama jedna?...

— A bo to chłopaki idą w świat, ostają...

— Tyla mi z nich pociechy, co z wczorajszego dnia! — wykrzyknęła i rozpłakała się — a z pasierbami zgodę powinnaś trzymać! — dodała, obcierając oczy.

— Józka dobra dziewczyna, Grzela jeszcze nie rychło wróci z wojska... a...

— Kowali trza się strzec.

— Przecież oni się z Maciejem sielnie obserwują...

— Ma w tem kowal jakieś wyrachowanie, ma! Ale pilnowała go będę... Z Antkami najgorzej, bo się pogodzić nie chcą... i Dobrodziej wczoraj zgodę chciał zrobić... nie przystali...

— A bo Maciej jest jak ten zły pies, żeby ich z chałupy wygnać! — wykrzyknęła namiętnie.

— Co ty Jaguś, co ty? A dyć Antek najbarzej wygadywał na ciebie i grunt chciał odebrać i pomstował a zarzekał przeciw tobie, że powtórzyć trudno.

— Antek przeciw mnie? Ocyganili was, a żeby im ozory paskudne poschnęły...

— A czemuż to jego stronę trzymasz, co?... — zapytała groźnie.

— A bo wszystkie na niego! Ja nie jestem jak ten pies dziadowski, co za każdym idzie, byle mu ino chleba podrzucił! Dobrze widzę, że mu się krzywda dzieje...

— To możebyś mu i zapis oddała... co?...

Ale Jagna już nie zdążyła rzec, bo łzy ciurkiem polały się z jej oczów, to ino buchnęła do komory, przywarła drzwi za sobą i długo buczała...

Nie przeszkadzała w tem Dominikowa, ino nowe strapienie wśliznęło się do jej serca... ale nie czas było medytować, Ewka przyszła, chłopaki przeciągali się przed sienią, trzeba było wziąć się do porządków i przygotowań ostatnich...

Słońce wstało i dzień raźno potoczył się naprzód. Przymrozek w nocy był niezgorszy, że kałuże po drogach i brzegi stawu ścięły się lodem, a na grudzi i co lżejsze bydlę utrzymać się nie mogło.

Ciepło się czyniło, pod płotami i w cieniach siwiało jeszcze, ale ze strzech skapywał zamróz lśniącemi paciorkami, a na mokradłach kurzyły opary kieby dymy. Powietrze było tak przejrzyste, że okólne pola widziały się jak na dłoni, a lasy przysunęły, że i poniektóre drzewa mógł rozeznać...

Na niebie modrem i niskiem ani jednej chmurki nie było.

Ale na pogodę nie szło, bo wrony tłukły się koło domów i piały koguty.

Niedzielny to był dzień, i chociaż dzwony jeszcze nie przedzwaniały do kościoła, a już we wsi wrzało kieby w ulu. Z pół wsi szykowało się na wesele Borynowe z Jagną.

Między chałupami, przez oszroniałe sady, biegały dziewczyny z pękami wstążek, a wełniakami i stroikami różnemi...

W chałupach był niemały rwetes przygotowań, przymierzań a przystrajań, że z gęsto powywieranych okien i drzwi buchały radosne głosy abo już te piosenki weselne.

A i w chałupie Dominikowej uczynił się gwałt i zamieszanie, jak to zwyczajnie w dzień taki!

Dom był świeżo obielony, choć nieco oblazł z wapna na wilgoci, a widniał już z daleka, bo i umajony był jak na Świątki. Chłopaki jeszcze wczoraj nawtykali świer-

czyny w strzechę, to w szpary ścian, gdzie się ino dało, a całe opłotki od drogi do sieni wysypali jedliną — pachniało jak w borze na zwiesnę.

A i wewnątrz wyporządzone było galanto.

Po drugiej stronie, gdzie był skład rupieci, buzował się tęgi ogień i kucharowała Ewka od młynarza przy pomocy sąsiadek i Jagustynki.

Z pierwszej zaś izby wynieśli wszelki sprzęt zbytni do komory, że ostały ino obrazy, a chłopaki ustawiali pod ścianami ławy mocne, a długie stoły. Izba też była wybielona z nowa, wymyta, a komin przysłonięty modrą płachtą, cały zaś pułap i belki, poczerniałe ze starości, Jagusia suto przystroiła wycinkami. Maciej był przywiózł z miasta kolorowych papierów, a ona wystrzygnęła z nich kółek strzępiastych, to kwiatuszków, to cudaków różnych, jako: kiedy psy gonią owce a pasterz z kijem za niemi leci, abo zaś i procesję całą, z księdzem, z chorągwiami, z obrazami, i inne różności, że spamiętać trudno, a tak wszystko utrafione i foremne, kieby żywe — aż się ludzie wczoraj, na rozplecinach dziwowali. — Umiała ona i nie takie, a wszystko, co ino zamyśliła abo na co spojrzała... że nie było w Lipcach chałupy bez tych jej strzyżek...

Ogarnęła się nieco w komorze i wyszła nalepiać resztę wzdłuż ścian, pod obrazami, bo już gdzie indziej miejsca nie było.

— Jaguś! a dałabyś spokój tym cudakom, druchen ino patrzeć... ludzie się wnet schodzić poczną, muzyka już po wsi chodzi... a ona się zabawia...

— Zdążę jeszcze, zdążę... — odpowiadała krótko

i dała wnet spokój nalepianiom — brakło jej cierpliwości... — Wysypała podłogę kolkami jedlinowemi, to stoły pokryła cienkiem płótnem, to porządkowała w komorze, abo się przemawiała z braćmi, lub wychodziła przed dom i patrzyła długo w świat! A żadnej radości w sobie nie czuła żadnej. Myślała jeno, że się wytańcuje a muzyki nasłucha i śpiewów, na co łakoma była. Była jak ten dzień jasny, roziskrzony a martwy jesienią i ogłuchły. Żeby jej wszystko nie przypominało, że to wesele dzisiaj, nie baczyłaby o tem. Boryna wczoraj, na rozpleciny, dał jej osiem sznurków korali, wszystkie, jakie mu ostały po nieboszczkach... Leżały na dnie skrzynki, nawet ich nie przymierzyła... Nie stała o nie, nie stała dzisiaj o nic... Leciałaby tylko gdzieś, przed się, choćby w cały świat... ale gdzie? Abo to wiedziała! Mierziło się jej wszystko, a do głowy wciąż wracało powiedzenie matczyne o Antku... — Jakże, onby wygadywał, on?... Nie mogła wierzyć, nie chciała... bo aż się jej na płacz zbierało!... A może!... wczoraj, kiedy prała w stawie, przeszedł i ani nie spojrzał! A jak szli rano do spowiedzi z Boryną, spotkali go przed kościołem... z miejsca zawrócił jak przed złym psem... A może?... Niech szczeka kiej taki, niech szczeka!...

Zaczęła się buntować przeciw niemu, ale znagła, wspomnienia tego wieczoru, kiedy wracali z obierania kapusty od Boryny, buchnęły jej do mózgu i zatopiły ją całą w ogniu i obwinęły jej duszę z taką mocą, a tak wyraziście w niej odżyły, że rady sobie dać nie mogła... aż ni stąd ni zowąd ozwała się do matki:

— Wiecie, a to po ślubie włosów mi nie obcinajcie!

— Hale, co mądrego umyśliła! — Słyszano to, żeby dziewce włosów nie ucięto po ślubie!

— A po dworach i miastach nie obcinają!

— Pewnie — juści, bo im tak trzeba do rozpusty — żeby ludzi mogły ocyganiać i za co inszego się wydawać. — Ale, będzie tu nowe porządki zakładała! Dworskie pannice niechta z siebie cudaki robią i pośmiewisko, niechta z kudłami jak żydowice jakie chodzą — wolno im kiej głupie, a tyś gospodarska córka z dziada pradziada, nie żadne miejskie pomietło, toś robić winna, jak Pan Bóg przykazał, jak zawżdy w naszym gospodarskim stanie się robiło... Znam ja te miejskie wymysły, znam... jeszcze nikomu one na zdrowie nie wyszły! Poszła w służbę do miasta Pakulanka i co?... Mówił wójt jako papier przyszedł do kancelarji, że dzieciaka udusiła i w kryminale siedzi... albo i ten Wojtek, Borynów krewniak po siostrze, dorobił się w mieście sielnie, że teraz po wsiach po proszonym chlebie chodzi... a przódzi na Wólce gospodarstwo miał, konie miał i chleba po grdykę... zachciało mu się bułek, a ma kij i torbę na starość... — Ale Jagna mądrych przykładów nie słuchała, a o obcięciu i gadać sobie nie dała... Namawiała ją Ewka, a ta znająca była, nie jedną wieś znała i rok w rok do Częstochowy z kompanjami chodziła, przekładała i Jagustynka, ale jak to ona, zawżdy z przekpinami i naśmieszliwie, bo wkońcu rzekła:

— Ostaw warkocz, ostaw, zda się Borynie, okręci se nim rękę, ostrzej przytrzyma i mocniej cię kijem zleje... sama go obetniesz potem... Znałam taką niejedną... — nie mówiła więcej, bo Witek ją wołał, gdyż od wypędze-

nia Antków przeniesła się do Boryny, bo Józia poradzić sobie nie mogła z gospodarstwem. Pomagała warzyć Ewce, a co trochę zaglądała do dom, stary dzisiaj do niczego głowy nie miał, Józia już od rana przystrajała się u kowalów, a Kuba leżał wciąż chory.

— Chodźcie prędzej, bo Kuba was pilno potrzebuje — przynaglał chłopak.

— Gorzej mu to?

— A juści, tak stęka i jęczy, aże na drodze słychać!

— Idę w te pędy. Moiściewy, obaczę ino, co się z nim dzieje i zaraz wrócę...

— Jaguś, i tobie trza się śpieszyć, druchen ino patrzyć — naganiała matka.

Ale Jaguś nie pośpieszała, chodziła jak senna, przysiadała po ławach, to wnet się zrywała i zaczynała sprzątać, ale robota leciała jej z rąk, a ona stała długo, bezmyślnie zapatrzona w okno. Kolebała się w niej dusza jak woda i raż wraz biła jakby o kamień jaki, o przypomnienia...

A w domu gwar się czynił coraz większy, bo wciąż wpadały kumy różne, to krewniaczki, to gospodynie i dawnym obyczajem znosiły kury, to bochen białego chleba, placek, soli, mąki, słoniny albo i srebrnego rubla w papierku — wszystko to w podzięce za prosiny weselne, żeby gospodyni zbytnio się nie szkodowała.

Przepijały ze starą po kieliszeczku słodkiej, pogwarzyły, nadziwowały i rozbiegały się śpiesznie.

A Dominikowa tęgo się zwijała — pilnowała warzy, uprzątała, raiła i na wszystko oko miała i sposób, a często naganiała chłopaków, bo się ociągali, a co któ-

ren ino mógł, to się z chałupy wyrywał na wieś, do wójta, bo już tam byli muzykanci i zbierali się drużbowie...

Na sumę mało kto poszedł, gniewał się o to Dobrodziej, że la wesela zapominają o służbie Bożej — co było i prawdą, ale naród to sobie rozumiał, że i wesela takie nie co niedziela się odprawiają.

A zaraz po obiedzie jęli się zjeżdżać ze wsi pobliskich, kto był zaproszon.

Słońce się już przetoczyło z południa i pruszyło bladem, jesiennem światłem, że ziemia błyszczała jakby oroszona, okna buchały płomieniami, staw lśnił się i migotał, przydrożne rowy pobłyskiwały wodą jakby szybami — wszystek świat był przesycony światłem dogasającej jesieni i ciepłem ostatniem.

Ogłuchła, niema cisza obtulała rozzłoconą ziemię.

Dzień się dopalał jaskrawo i zwolna przygasał.

Ale w Lipcach huczało jakby na jarmarku.

Jak tylko przedzwonili na nieszpory, muzyka wywaliła się od wójta na drogę.

Najpierwsze szły skrzypki w parze z fletem, a za niemi warczał bębenek z brzękadłami i basy przystrojone we wstęgi wesoło podrygiwały.

Za muzyką szły oba dziewosłęby i drużbowie — sześciu ich było.

A wszystko chłopaki młode, dorodne, kiej sosny smigłe, w pasie cienkie, w barach rozrosłe, taneczniki zapamiętałe, pyskacze harde, zabijaki sielne, z drogi nieustępliwe — same rodowe, gospodarskie syny.

Walili środkiem drogi, kupą całą, ramię przy ramieniu — aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radośni,

weselni i przystrojeni pięknie, że ino w słońcu grały pasiaste portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszów, i rozpuszczone na wiatr, kiej skrzydła, kapoty białe...

Krzykali ostro, podśpiewywali wesoło, przytupywali siarczyście i szli tak szumno, jakoby się młody bór zerwał i z wichurą leciał...

Muzyka grała polskiego, bo zaś ciągnęli od domu do domu zapraszać weselników — gdzie im wynosili gorzałki, gdzie zapraszali do wnętrza, gdzie zaś śpiewaniem odpowiedzieli — a wszędy wychodzili przystrojeni ludzie, przystawali do nich i szli dalej społem, i już wszyscy w jeden głos śpiewali pod oknami druchen:

— Wychodź druchenko, wychodź Kasieńko,
Na wesele czas —
Będą tam grały, będą śpiewały
Skrzypice i bas —
A kto się nie naje, kto się nie napije...
Pójdzie do dom wczas!
Oj ta dana, dana, oj ta dana, da!...

Hukali społem i z mocą taką, aż się po wsi rozlegało, aż na pola szły weselne głosy, pod borami śpiewały, we świat leciały szeroki.

Ludzie wychodzili przed domy, do sadów, na płoty, a jaki taki, choć nie weselny, przystawał do nich, by się aby napatrzeć i nasłuchać, że nim doszli, już się prawie cała wieś stłoczyła i okrążała weselników ciżbą, iż coraz wolniej szli, a dzieci chmarą nieprzeliczoną i z wrzaskiem a przyśpiewywaniem, przodem biegły.

Doprowadzili gości do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego.

A Witek, któren ze wstęgami u spencerka hardo był spólnie z drużbami chodził, skoczył teraz naprzód.

— Gospodarzu, a to muzyka z drużbami wali! — krzyknął w okna i poleciał do Kuby.

Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi na rozcież wywarł, witał się, a do środka zapraszał, ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.

Szedł ostro i aż dziw, tak młodo wyglądał; wystrzyżony, do czysta wygolony, przystrojony weselnie — urodny był, jak mało który, a przez to, że mocno w sobie podufały i rozrosły, to i posturę już miał zdala widną i powagę w twarzy niemałą; pośmiewał się wesoło z parobkami, pogadywał, a najczęściej z kowalem, bo mu się wciąż na oczy nawijał.

Godnie go wprowadzili do Dominikowej; naród się rozstąpił a oni go wiedli do izby szumno, z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jagusi nie było, przystrajały ją jeszcze kobiety w komorze mocno zawartej i pilnie strzeżonej, bo parobcy drzwi pchali, to w deskach szparutki czynili i przekomarzali się z druchnami, że ino pisk, śmiechy i babie wrzaski odpowiadały.

A matka z synami przyjmowała gości, częstowała gorzałką, usadzała co starsze na ławach i na wszystko oko miała, bo narodu się zwaliło, że i trudno przejść przez izbę, po sieniach stali, w opłotkach nawet. Nie bele jakie to goście, nie. Gospodarze sami, rodowi i co

bogatsze, a wszystko krewniacy, powinowaci i kumy Borynów i Paczesi, a drudzy zasie znajomkowie, to i z dalszych wsiów zjechali.

Juści, że ni Kłęba, ni Winciorków, ni tych morgowych biedot nie było, ni tego drobiazgu, co po wyrobkach chodził i zawżdy ze starym Kłębem trzymał...

Nie dla psa kiełbasa, nie dla prosiąt miód!

Dopiero w jakie dwa pacierze otwarli drzwi komory i organiścina z młynarzową wywiedły Jaguś na izbę, a druchny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były nie kwiaty, a ona między niemi najśmiglejsza i kieby ta róża najśliczniejsza stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie — że się widziała niby ten obraz, co go naszają na procesjach, aż przycichło znagła, tak poniemieli i dziwowali się ludzie.

Hej! jak mazury mazurami nie było śliczniejszej!

Wnet drużbowie zrobili rumor i gruchnęli z całych piersi:

Rozgłaszaj skrzypku rozgłaszaj!
A ty Jaguś ojca, matkę przepraszaj —
Rozgłaszaj flecie, rozgłaszaj!
A ty Jaguś siostry, braci przepraszaj!...

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklęknęli, a matka obrazem ich przeżegnała i jęła błogosławić i wodą święconą kropić, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy, a potem i drugich podejmowała, przepraszała i żegnała się ze wszystkimi. Brały ją kobiety

w ramiona, obejmowały i podawały sobie, aż się popłakali społem, a Józia najrzewliwiej zawodziła, bo się jej matula nieboszczka przypomniała.

Wysypali się przed dom, ustawili w porządku należytym i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze staje.

Muzyka szła przodem i rznęła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli drużbowie — szła bujno, uśmiechnięta przez łzy, co jej jeszcze u rzęs wisiały, weselna niby ten kierz kwietny i kiej słońce ciągnąca wszystkich oczy; włosy miała zaplecione nad czołem, w nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmarynu, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach i leciały za nią i furgotały kieby ta tęcza; spódnica biała rzęsisto zebrana w pasie, gorset z błękitnego jak niebo aksamitu wyszyty srebrem, koszula o bufiastych rękawach, a pod szyją bujne krezy, obdziergane modrą nicią, a na szyi całe sznury korali i bursztynów aż do pół piersi opadały.

Za nią druchny prowadziły Macieja.

Jako ten dąb rozrosły następuje w boru po śmigłej sośnie, tak on następował po Jagusi, w biedrach się ino kołysał, a po bokach drogi rozglądał, bo mu się zdało, że Antka w ciżbie uwidział.

A za nimi dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi.

Na ostatek zaś, całą drogą waliła wieś cała.

Słońce już zachodziło, wisiało nad lasami czerwone, ogromne i zalewało całą drogę, staw i domy krwawym brzaskiem, a oni szli w tych łunach wolno, że aż

się w oczach mieniło od tych wstążek, piór pawich, kwiatów, czerwonych portek, pomarańczowych wełniaków, chustek, kapot białych — jakoby ten zagon, rozkwitłemi kwiatami pokryty, szedł i pod wiatr zwolna się kołysał — a pośpiewywał, bo druchny raz wraz zawodziły cieniuśkiemi głosami:

A jadą, jadą, wozy kołaczą —
A moja Jaguś, po tobie płaczą...
Hej!
A da śpiewają, śpiewają sobie —
A da na smutek Jagusiu tobie...
Hej! —

Dominikowa całą drogę popłakiwała i jak w obraz wpatrywała się w córkę, że nic nie słyszała, co do niej zagadywali.

W kościele już Jambroży zapalał świece na ołtarzu.

Ogarnęli się ino w kruchcie, uporządkowali w pary i ruszyli przed ołtarz, bo i ksiądz już z zakrystji wychodził.

Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się do chorego śpieszył. A gdy wychodzili z kościoła, organista jął na organach wycinać mazury, a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały, a niektóren tylko co nie huknął piosenką, dobrze iż się w czas pomiarkował!

Wracali już bez nijakiego porządku, całą drogą, jak komu było do upodoby, a rozgłośnie, bo drużbowie z druchenkami zawodzili, jakoby ich kto ze skóry obłupiał.

Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli —

już ona państwa młodych na progu witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem, nuż się ze wszystkimi znowa witać, a obłapiać i do izby zapraszać!

Muzyka rznęła w sieniach, więc co który próg przestąpił, chwytał w pół pierwszą z brzega kobietę i puszczał się posuwistym krokiem »Chodzonego« — a już tam, niby ten wąż farbami migotliwy, toczyły się dokoła izby pary, gięły się, okrążały, zawracały z powagą, przytupywały godnie, kołysały się przystojnie i szły, płynęły, wiły się, a para za parą, głowa przy głowie — niby ten rozkołysany zagon dostałego żyta, gęsto przekwiecony bławatem a makami... — a na przedzie w pierwszą parę Jagusia z Boryną!

Aż światła ustawione na okapie dygotały, dom się chwiał, zdało się, że ściany się rozpękną od tej ciżby i mocy, jaka biła od tanecznikow!...

Pochodzili z dobry pacierz, nim skończyli.

Muzyka teraz zaczęła przygrywać pierwszy taniec, dla młodej, jak to we zwyczaju z dawien dawna było.

Naród zbił się gęstwą pod ścianami i zaległ wszystkie kąty, a parobcy uczynili wielkie koło, w którem zaczęła tańcować! Krew w niej zagrała, aż się jej modre oczy lśniły i białe zęby połyskiwały w zarumienionej twarzy; tańcowała niezmęczenie, coraz zmieniając tanecznikow, bo choć raz wokoło, z każdym przetańcować musiała.

Muzykanci grali ostro, aż im ręce mdlały, ale Jaguś jakby zaczęła dopiero, mocniej tylko poczerwieniała i wywijała tak zapamiętale — aż te jej wstęgi z furkotem

za nią latały, chlastając po twarzach, a rozdęte taneczną wichurą spódnice zapełniały izbę.

A parobcy z uciechy pięściami walili w stoły i pokrzykiwali siarczyście.

Dopiero na ostatek wybrała młodego — szykował się na to Boryna, bo skoczył kieby ryś do niej, ujął ją w pół i wichrem zakręcił w miejscu, a muzykantom rzucił:

— Z mazurska chłopcy, a krzepko!

. . . . . Krzyknęli w instrumenty z całej mocy, aż w izbie się zakotłowało.

Boryna zaś ino mocniej Jagnę ujął, poły na rękę zarzucił, poprawił kapelusza, trzasnął obcasami i z miejsca jak wicher się potoczył!

Hej! tańcował też, tańcował! a okręcał w miejscu, a zawracał, a hołupce bił, aż wiory leciały z podłogi, a pokrzykiwał, a Jagusią miotał i zawijał, że się w jeden kłąb zwarli, i jak to pełne wrzeciono po izbie wili — że ino wicher szedł od nich i moc.

. . . . . Muzyka rznęła siarczyście, zapamiętale, z mazowiecka...

Zbili się wszyscy we drzwiach, to po kątach, przycichli i ze zdumieniem poglądali, a on niezmordowanie hulał i coraz siarczyściej, już się niejedni wstrzymać nie mogli, bo same nogi niesły, więc ino do taktu przytupywali, a co gorętszy dziewczynę brał i puszczał się w tany, na nic już nie bacząc!

Jagusia choć mocna była, ale rychło zmiękła i jęła mu przez ręce lecieć, dopiero wtedy przestał i odprowadził ją do komory.

— Kiedyś taki chwat, bratem mi jesteś i przy pierwszych chrzcinach w kumotry mnie proś! — wołał młynarz, biorąc go w ramiona.

Wnet się pobratali gorąco, bo muzyka zaraz zamilkła i zaczął się poczęstunek.

Dominikowa, synowie, kowal, Jagustynka, uwijali się raźno z pełnemi butelkami i kieliszkami w garściach, a do każdego zosobna przepijali. Józia i kumy roznosiły na przetakach chleb pokrajany i placki.

Wrzawa podnosiła się coraz większa, bo każden swoje głośno powiadał, a wszyscy chętnie się do kieliszków brali, by wesela rzetelnie zażyć.

Na ławach pod oknem przysiadł młynarz z Boryną, wójt, organista i co pierwsi gospodarze. Już tam niezgorsza butelka araku krążyła z rąk do rąk, a nie jedną kolejką; jeszcze im i piwa donosili — gęsto przepijali, bo się już brać poczynali w ramiona i sielnie kumać!

I na izbie dosyć stało narodu; pozbijali się w kupy, jak komu i z kim było do upodoby, poredzali głośno i zabawiali się niezgorzej kieliszkami.

A w komorze, oświetlonej lampą, pożyczoną od organistów, zebrały się gospodynie z organiściną i młynarzową na czele, po skrzyniach, to ławach przyrzuconych wełniakami godnie się rozsiadły, miód przez zęby cedziły i słodki placek delikatnie, palcami poskubywały, a zrzadka jeśli która rzuciła to słowo jakie: słuchały uważnie, co młynarzowa rozpowiadała o dzieciach swoich.

Nawet w sieniach była ciżba i jeszcze na drugą

stronę się cisnęli, a Ewka wyganiała, bo szykowali pilnie do wieczerzy, od której już po całym domu zapachy szły smakowite, że niejednemu w nozdrzach wierciło.

Młodzież wysypała się przed dom, w opłotki i na przyźby; noc była zimna, cicha a oroszona gwiazdami, to się przechadzali i bawili wesoło, aż się trzęsło od śmiechów, wrzasków i biegań, bo niejedni po sadzie się uganiali za sobą, że starsi krzykali im z okien:

— Kwiatuszków szukacie? byście dziewczyny czego innego nie pogubiły po nocy.

Słuchał to ich kto?

Zaś po pierwszej izbie Jagusia i Nastka Gołębianka chodziły, trzymały się wpół i ciągiem buchały śmiechem i coś sobie na ucho opowiadały — naglądał za niemi Szymek, starszy Dominikowej, z Nastki oczów nie spuszczał, a co trochę z wódką do niej podchodził, zęby szczerzył i zagadywał.

Kowal wystrojony odświętnie, w czarnej kapocie i w portkach na cholewy wyłożonych, uwijał się najraźniej, wszędzie był, ze wszystkimi pił, zapraszał, częstował, rajcował i zwijał się, że coraz to w innej stronie widniał jego rudy łeb i piegowata twarz.

Młodzi przetańcowali parę razy, ale krótko i bez wielkiej ochoty, bo się za wieczerzą oglądali.

Starsi zaś poradzali, wójt, że był już napity, coraz głośniej mówił, wypuczał się, pięścią w stół walił i nakazywał:

— Wójt wama to mówi, to wierzcie. Urzędnik jestem, papier do mnie przyszedł z nakazem, by gromadę zwołać i z morgi grosz jaki na szkołę uchwalić...

— Wy sobie Pietrze uchwalcie i po dziesiątku z morgi, a my i tego grosza nie damy!

— Nie damy! — huknął któryś.

— Cicho, trzeba, kiej urzędowa osoba powiada...

— Szkoły nam takiej nie potrzeba! — powiedział Boryna.

— A nie potrzeba — powtórzyli inni chórem.

— Cie... w Woli szkoła jest, bez trzy zimy moje dzieci chodziły i co?... to nawet na książce tego pacierza rozebrać nie potrafią... na psa taka nauka!

— Matki niechaj pacierzy uczą, szkoła nie od tego, ja, wójt, wama mówię.

— A niby od czego? — wrzasnął ten z Woli, podrywając się z ławy.

— Ja wójt wama rzeknę, ino pilnie słuchajcie... zaraz, po pierwsze... — ale nie wywiódł do końca, bo Szymon na cały stół wykrzykiwał, że już ten las sprzedany żydy ocechowały i rąbać wnet będą, czekają jeno mrozów i sanny.

— Niech cechują, na wycięcie poczekają... — wtrącił Boryna.

— Do komisarza ze skargą pójdziemy.

— Nie to, komisarz zawsze z dziedzicem trzyma, a gromadą iść, rębaczów rozpędzić.

— Ani jednego chojaka ściąć nie pozwolić!

— Skargę do sądu podać!

— Pijcie do mnie Macieju, nie pora teraz uradzać! Po pijanemu łacno wygrażać choćby i Panu Bogu! — zawołał młynarz, nalewając. Nie w smak mu szły te rozmowy i odgrażania, bo się z żydami był ugo-

17*

dził i miał im drzewo na swoim tartaku przy młynie rznąć.

Przepili i z miejsc się podnieśli, bo już zaczęli szykować do wieczerzy i wszelki sprzęt potrzebny znosić na stoły i ustawiać.

Ale gospodarze nie zaniechali lasu, jakże, bolączka to była piekąca, więc się tłoczyli w kupę i, przyciszywszy głosy przed młynarzem, radzili i umawiali się, by do Boryny się zejść i coś postanowić... ale nie skończyli, bo wszedł Jambroży i prosto do nich przystał. Spóźnił się, z dobrodziejem do chorego jeździł aż na trzecią wieś, do Krosnowy, to teraz ostro wziął się do picia, aby dogonić... nie zdążył jednak, bo już starsze kobiety zaśpiewały chórem:

A dokoła drużbeczkowie, dokoła;
Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła!

A na to, rumor czyniąc ławami, odkrzykli drużbowie:

Adyć my już poprosili — już siedzą.
Dajcie ino co dobrego — to zjedzą!

I zwolna zaczęli za stoły iść, a usadzać się na ławach.

Jušci, że na pierwszem miejscu państwo młodzi, a wpodle nich ze stron obu co najpierwsi, po uważaniu, po majątku, po starszeństwie aż do druchen i dzieci — a ledwie się pomieścili, choć stoły ustawili wzdłuż trzech ścian.

Tylko drużbowie nie siedli, by posługi czynić, i muzykanci.

Gwar przycichł, organista stojący odmawiał w głos modlitwę — jeno kowal powtarzał za nim, bo pono na łacinie się rozumiał, a potem przepijali po tym kieliszeczku na zdrowie i dobry smak.

Kucharki wraz z drużbami wnosić poczęły dymiące, ogromne donice z jadłem i przyśpiewywały:

Niesiem rosół z ryżem —
A w nim kurę z pierzem!

A przy drugiej potrawie:

Opieprzone słone flaki,
Jedz-że siaki taki!

Muzyka zaś zasiadła pod kominem i przygrywała zcicha piosneczki różne, by sie smaczniej jadło.

Pojadali też przystojnie, wolno, w milczeniu prawie, bo mało kto rzucił jakie słowo, że ino mlaskanie a skrzybot łyżek zapełniały izbę, a gdy sobie już nieco podjedli i głód pierwszy zasycili, kowal znowu flaszkę puścił w kolejkę, przyczem już i poczynali prawić zcicha i przemawiać do sie przez stoły.

Jagusia jedna, jakby nic nie jadła, próżno ją Boryna niewolił, wpół brał i jak to dzieciątko prosił, cóż kiedy nawet mięsa przełknąć nie mogła, utrudzona była wielce i rozgrzana — tyle, że to piwo zimne popijała, a oczami wodziła po izbie i coś niecoś nasłuchiwała Borynowych szeptów.

— Jaguś, kuntentna jesteś, co? Śliczności ty moje! Jaguś, nie bój się, dobrze ci u mnie będzie jak i u matuli nie było lepiej... Panią se będziesz Jaguś, panią... dziewkę ci przynajmę, byś się zbytnio nie utrudzała... obaczysz!... — pogadywał zcicha, a w oczy miłośnie patrzył, na ludzi już nie bacząc, aż się w głos przekpiwali z niego.

— Jak ten kot do sperki się dobiera.

— A bo też spaśna, kiej ta lepa.

— Stary kręci się i nogami przebiera, niczem ten kogut!

— Użyje se jucha stary, użyje! — wołał wójt.

— Jak ten pies na mrozie — mruknął zgryźliwie stary Szymon.

Gruchnęli śmiechem, a młynarz aż się pokładał na stole i pięścią grzmocił z uciechy.

Kucharki znowu zaśpiewały:

Niesiem miskę tłustej jagły,
By se chudzielce podjadły!

— Jagno, przychylno się, to ci coś rzeknę! — mówił wójt, przechylił się za Boryną, bo też przy nim siedział i uskubnął ją w bok — a to mę na chrzestnego proś! — zawołał ze śmiechem i łakomemi oczami po niej wodził, bo mu się strasznie udała. Poczerwieniała mocno, a kobiety na to buchnęły śmiechem i dalejże przekpiwać, dowcipy trefne sadzić i poredzać, jak się ma z chłopem obchodzić!

— A pierzynę co wieczór przed kominem nagrzewaj.

— Głównie, tłusto jeść dawać, a krzepę miał będzie...

— I przypodchlibiaj, za szyję często ułapiaj.

— A miętko dzierz, to i nie pozna, gdzie go zawiedziesz! — jedna po drugiej prawiły, jak to zwyczajnie kobiety, kiedy sobie podpiją i ozorom wolność dadzą.

Izba aż się trzęsła od śmiechu, a one tak rozpuszczały gemby, aż młynarzowa zaczęła im przekładać, by wzgląd miały na dziewuchy i na dzieci, a organista też dowodził, że to wielki grzech siać zgorszenie i zły przykład dawać.

— Bo — prawił — Pan Jezus nam rzekł i święci apostołowie, co wszystko w łacińskich książkach jak wół stoi wypisane, że lepiej zabić, niźli masz zgorszyć, bo jako te niewiniątka zgorszysz, to jakby mnie samego; tak stoi w piśmie świętem, — bo niepomiarkowanie w piciu, w jadle jak i w uczynkach srogo karanem będzie, to wam ludzie kochane mówię — bełkotał niewyraźnie, bo nie po jednym już był, ni po dwóch...

— Kalikant jucha, zabawy będzie ludziom bronił.

— O księdza się obciera, to myśli, że święty!

— Niechaj se uszy kapotą zatka! — leciały nieprzychylne głosy, bo nie lubiano go we wsi.

— Wesele dzisiaj to nie grzech się zabawić, pośmiać z czego wesołego i ucieszyć, to już ja, wójt to wama mówię, moi ludzie.

— A na ten przykład i Jezus po weselach bywał i wino pijał... — dorzucił poważnie Jambroży, ale cicho, bo już pijany był, a że wkońcu przy drzwiach siedział, nikt go nie słyszał i mówić wszyscy zaczęli,

śmiać się, trącać kieliszkami a coraz wolniej pojadać, aby się dosyta najeść; niejeden już pasa popuszczał, przeciągał się, by więcej zmieścić...

Kucharki znowu z miskami nowemi szły i śpiewały:

Chrząkała, kwiczała, w ogródeczku ryła,
Będzie teraz gospodarzom za szkodę płaciła!

— Wysadzili się, no, no! — dziwili się ludzie.

— Jakże, z tysiąc złotych kosztuje wesele...

— Opłaciło się niezgorzej, bo to nie zapisał sześciu morgów!

— A Jagna siedzi jak ten mruk.

— Maciej zato ślepiami świeci kiej żbik!

— Kiej to próchno moiściewy, kiej próchno!

— Będzie on jeszcze płakał.

— Nie jest on z tych, co płaczą, do kija prędzej się weźmie...

— To samom mówiła wójtowy, jak o zmówinach powiedziała.

— Czemu to ona dzisiaj nie przyszła?

— Jakże, leda dzień zlegnię...

— Rękębym sobie dała uciąć, że niedługo, niech ino muzyki zaczną w karczmie, to Jagna ganiać będzie za parobkami.

— Mateusz ino czeka tego!

— Hale, hale?

— Przeciech! Wawrzonowa słyszała, co wygadywał w karczmie.

— Że go to nie prosili do muzyki?

— Stary chciał, ino Dominikowa się przeciwiła, wszyscy wiedzą, co było, to jakże?...

— Przykłada każdy a widział kto?

— To niby po próżnicy pogadują!

— A Bartek Kozieł wypatrzył ich na zwiesnę w boru.

— Kozieł jest złodziej i cygan, miał z Paczesiową sprawę o świnię i bez złość wygaduje.

— I inni mają oczy widzące, mają...

— I źle się to skończy, obaczycie... jušci, mnie ta nic do tego, ale tak myślę, że się Antkom krzywda stała i dzieciom, to i kara przyjść przyjdzie za to.

— Pewnie, Pan Jezus nie rychliwy ale sprawiedliwy...

— O Antku tyż coś niecoś napomykali, że tu i ówdzie widywali ich razem, jak się zmawiali... — przycichły głosy i rajcowały coraz złośliwiej i nicowały nieubłaganie całą rodzinę, nie darowując i starej — a litując się nad chłopakami najbardziej.

— A bo to nie grzech! Parobki pod wąsem, Szymek ma już dobrze na trzydzieści i żenić mu się nie da, z domu nie popuści i o bele co piekłuje.

— Przecie to i wstyd, chłopy tyle a wszystkie kobiece roboty robią...

— By sobie ino Jagusia rączków nie powalała!

— A po pięć morgów mają i żenićby się już mogli!

— Tyle dziewczyn jest we wsi...

— A wasza Marcycha najdawniej czeka i grunt przyległy do Paczesiowego!

— Baczcie na swoją Frankę lepiej, by się czego z Adamem nie doczekała!

— Stara jest piekielnica, to wiadomo, ale chłopaki też niezgóły i ciamajdy!

— Tyle paroby a matczynej kiecki boją się puścić!

— Puszczą się... już dzisiaj Szymek cięgiem chodzi za Nastką Gołębianką.

— Ociec ich był taki sam — dobrze baczę, a stara za młodu nie lepsza od Jagusi!...

— Jaki korzeń taka nać! — taka córka jaka mać!

Muzyka przycichła, grajkowie jeść poszli na drugą stronę, bo wieczerza się skończyła.

Cicho się nagle uczyniło niby w kościele podczas podniesienia — po chwili jednak gwar buchnął jeszcze mocniejszy, aż się zakotłowało, wszyscy naraz mówili, krzyczeli a dowodzili sobie przez stoły, że już jeden drugiego nie słyszał.

Podali na ostatku, dla wybranych, krupnik, miodem i korzeniami zaprawiony, a reszcie szczodrze stawiali tęgą okowitę i piwo.

Mało kto zważał, co pije, bo już się ze łbów kurzyło niezgorzej i kuntentność rozbierała. Siadali jak było poręczniej, kapoty rozpinali z gorąca, pokładali się na stołach. Walili pięściami, aż miski podskakiwały, chwytali się wpół, to za .orzydla, to ułapiali za szyję a raili, wyrażali się — jak brat przed bratem, kiej ten krześcijan prawy przed krześcijanem somsiadem.

— Źle jest na świecie! Juści! Marnacja człowiekowi, a to biedowanie jeno...

— Poszły psiekrwie... — Pod stodołami psy gryzły się o kości.

... A pociecha ino w tem, kiej somsiad z somsiadem się zejdzie i przy tym kieliszku poredzą, wyżalą się i odpuszczą sobie, co tam jeden drugiemu winowaty — juści, nie to wypasione zboże, ni przeoranie granicy, bo to już sądy wiedzą i świadkowie przytwierdzą, komu krzywda i komu sprawiedliwość, ale to, co tam po sąsiedzku przytrafić się przytrafi — czy kiej gadzina spyscze w sadzie, czy baby się poswarzą, abo dzieciaki się pobiją, jak to różnie się zdarzy... Dyć wesele od tego, by zawziętość stajała i braterstwo a zgoda rosły między ludźmi!

— »Choćby jeno na ten czas weselny, na dzień jeden!

— »A jutro samo przyjdzie! Hej! nie uciekniesz przed dolą, chyba pod tę świętą ziemię; przyjdzie, za łeb ułapi, jarzmo na kark włoży, biedą popędzi i ciągnij narodzie, a potem i krwią się oblewaj, swego bacz, z garści nie puszczaj ni na to oczymgnienie, byś się pod koła nie zaplątał!

— »Na braci Pan Jezus stworzył ludzi a wilkami są la siebie!

— »Nie wilkami, nie, to jeno bieda podjudza, kłyśni i jednych na drugich rzuca, że gryzą się jak te psy o gnat objedzony!

— »Nie sama bieda, nie, Zły to ćmę na naród rzuca, że nie rozeznają co dobre, a złe!

— »Prawda, prawda i dmucha w duszę kiej w to zarzewie przygasłe, aż chciwość, i złość, i wszystkie grzechy rozdmucha!

— »Juści, któren głuchy jest na przykazania, ten ochotniej słucha piekielnej muzyki!

— »Drzewiej nie tak bywało! Posłuch był, poszanowanie starszych i zgoda!

— »I gruntu każden miał, co ino mógł obrobić, a pastwisk, a łąk, a boru.

— »A o podatkach kto kiedy słyszał?

— »Abo drzewo kupował kto?... Jechał do boru i brał, ile komu było potrza, a choćby i tę najlepszą sosnę czy dęba!... Co było dziedzicowe było i chłopskie.

— »A teraz ni dziedzicowe, ni chłopskie — żydoskie jest, abo i kogo gorszego.

— »Ścierwy! Piłem do was, pijcie do mnie! Usadziły się jakby na swojem — pijcie-no, dobre twoje, dobre i moje, by sprawiedliwość we wszystkiem była...

— »Dziedzice parszywe! W wasze ręce! Gorzałka nie grzech, byle jeno przy godnym sposobie i z bratami, to na zdrowie idzie, krew czyści i choróbska odciąga!

— »Jak pić, to już całą kwartą, jak się weselić, to już całą niedzielę. A masz człowieku robotę? — pilno rób, kulasów nie żałuj i szczerze się przykładaj! A zdarzy się na ten przykład okazja — wesele, chrzciny, abo i zamrze się komu — pofolguj sobie, odpoczywaj, obserwuj i uciechę miej! A źle wypadnie — kobieta się zmarnuje, bydle ci zdechnie, pogorzel przyjdzie — wola Boska, nie przeciw się, bo i cóż chudziaku poredzisz krzykaniem a płaczem? — nic; spokojności się ino zbędziesz, że nawet to jadło pokrzywą ci się w gębie wyda! — Cierp przeto i dufaj w Panajezusowe miłosierdzie... Przyjdzie gorsze, kostucha ułapi cię za grdykę i w ślepie zajrzy —

nie probuj się wypsnąć, nie twoja moc — bo wszystko jest w Boskiem ręku...

— »Juści, kto tam wymiarkuje, kiej Jezus rzeknie: »Do tela twoje, — od tela moje człowieku«.

— »Tak to, tak! Górą kiej to błyskanie, lecą Boskie przykazy, a nikt, żeby ksiądz, żeby najmądrzejszy ich nie przejrzy przódzi, aż padną na naród ziarnem dojrzałem!

— »A ty człowieku masz tylko jedno wiedzieć — byś swoje robił i żył, jak przykazania święte nakazują, a przed się nie wyglądał... Pan Jezus wszystkim zasługi szykuje i wypłaci rzetelnie, co ino komu przypadnie...

— »Tem ci polski naród stojał — to i tak ma być aż po wiek wieków Amen!

— »A cierpliwością i bramy piekielne przemoże«.

Tak sobie pogwarzali, gęsto przepijając, a każdy wypowiadał, co miał na sercu i co mu dawno óścią stało w grdyce! A najwięcej i najgłośniej gadał Jambroży, juści, że go niewiela słuchali, bo kużden mówił i swojego chciał dowieść, mało bacząc na drugich... W izbie wrzało już i kotłowało się coraz bardziej, gdy Ewka z Jagustynką weszły, niosąc przed sobą z wielką paradą przystrojoną warząchew. — Muzykant, który szedł za niemi, przygrywał na skrzypcach, a one śpiewały:

Da powoli, powoli —
Da od stołów wstawajcie!
Po trzy grosze za potrawę,
Po dziesiątku za przyprawę —
Da kuchareczkom dajcie!

Naród był syty, podochocony i zmiękły dobrem jadłem i napitkiem częstym, to niektórzy i srebrne pieniądze rzucali na warząchew.

Wraz też dźwigać się jęli z za stołów i zwolna rozchodzili, którzy na powietrze wytchnąć, którzy w sieniach albo i na izbie przystawali i dalej dyskursa ciągnęli, insi zaś obłapiali się z przyjacielstwa, a nie jeden już się potaczał i po ścianach łbem orał, albo drugich, jako ten baran trykał — co i nie dziwota, bo wieczerza była rzęsisto gorzałką przeplatana.

Za stołem pozostał ino wójt z młynarzem, kłócili się i z gorącością niepomierną skakali do siebie jak jastrzębie, aż Jambroży chciał ich wódką godzić.

— Kruchty pilnuj dziadu, a do gospodarzy ci zasie — warknął wójt.

Odszedł markotny, butelkę do piersi cisnął, kusztykał głośno i szukał, z kimby się mógł po przyjacielsku napić i nagadać.

Młódź zaś wysypała się w opłotki, to trzymając się wpół na drogę wylęgali gwarzyć i gzić się — aże dudniało od przegonów i wrzawy — noc była jasna, księżyc wisiał nad stawem tak mocno błyszczącym, że i najsłabsze kręgi, co się roztaczały jakby od uderzeń światła, widne były niby węże półkolisto sunące w cichości; przymrozek brał niezgorszy, gruda się łamała pod nogami i szron pobielił dachy i już przytrząsał sędzielizną ziemię.

Późno już było, bo pierwsze kury odzywały się po wsi.

A w izbie tymczasem czyniono porządek i szykowano do tańców.

I skoro muzykanci podjedli i nieco wypoczęli, jęli zcicha przegrywać, by się weselnicy pościągali do kupy.

Ale nie potrza ich było długo naganiać, hurmą się sypnęli do izby, bo skrzypki tak niewoliły do tańca, że już same nogi niesły — na darmo jednak, parobcy czuli się jeszcze przyciężko po wieczerzy, pokręcił się źdźebko jeden i drugi i wnet uciekali do sieni zakurzyć papierosa abo i te ściany mocne podpierać.

Jagnę wprowadziły kobiety do komory, Boryna na przyźbie z Dominikową siedział, a co starsi zalegli ławy i kąty i poredzali, że ino na izbie dziewczyny ostały i prześmiewały się między sobą, ale, że im się to zmierziło rychło, zarządziły zabawę w gry różne, by prędzej chłopaków rozruchać.

Najpierw zabawiali się w »Chodzi lis koło drogi, nie ma ręki ani nogi«.

Na lisa przebrali, w kożuch do góry wełną, Jaśka, przezwiska Przewrotny — gap to był, niedojda i prześmiewisko całej wsi. Parob już wyrosły, a z otwartą gębą chodził, z dziećmi się zabawiał, do wszystkich dziewczyn się zalecał, a mocno głupawy, ale że to jedynak na dziesięciu morgach, to go wszędy prosili — zajączkiem zaś była Józia Borynianka.

Śmieli się też, śmieli, mój Jezus!

Co krok, to Jasiek się rozczapierzał i bęc jak ta kłoda na ziemię, że mu to i nogi podstawiali, a Józia tak utrafnie kicała, stawała słupka i wargami ruchała, niczem żywy zając.

A potem w »Przepiórkę«.

Nastka Gołębianka prowadziła, a tak się zwijała, tak raźno śmigała po izbie, że nijak jej chycić nie mogli, aż sama im właziła w ręce, by ino obtańcowywać koło.

I w »Świnkę« się zabawiali!

A na ostatek któryś z drużbów, widzi mi się, Tomek Wachnik, bociana pokazywał; w płachtę na głowę się przyokrył, a z pod niej za dziób długi kij wypuścił i klekotał tak zmyślnie, kiej bociek prawdziwy, aż Józia, Witek i co młodsze, zaczęły za nim gonić i krzyczeć:

Kle, kle, kle,
Twoja matka w piekle,
Co ona tam robi?
Dzieciom kluski drobi.
Co złego zrobiła?
Dzieci pomorzyła.

i rozbiegały się z wrzaskiem i kryły po kątach jak kuropatki, bo gonił, dziobał i bił skrzydłami.

Izba aż się trzęsła od tych śmiechów, krzykań i przegonów.

Z dobrą godzinę trwała zabawa, gdy starszy drużba dał znak, by przycichli.

Kobiety wyprowadzały z komory Jagusię nakrytą białą płachtą i usadziły ją w pośrodku, na dzieży pokrytej pierzyną — druchny porwały się niby to ją odbić ale starsze i chłopi bronili, więc się zbiły naprzeciw i smutno, jakby z płakaniem w głosach zaśpiewały:

A już ci to, już!
Po wianeczku tuż —

Kornet wity, czepiec szyty,
To la ciebie przyzwoity;
To na główkę włóż!...

Odsłonili ją wtedy.

Czepiec już miała na zwiniętych, grubych warkoczach, ale jeszcze się urodniejsza wydała w tem przybraniu, bo i roześmiana była, wesoła i jarzącemi oczami wodziła po wszystkich.

Muzyka zagrała wolno i cały naród zebrany, starzy i młodzi, dzieci nawet, zaśpiewali »Chmiela« jednym, ogromnym głosem radości. A po prześpiewaniu, same ino gospodynie brały ją do tańca. Jagustynka, że sobie już podpiła, ujęła się pod boki i nuż do niej przyśpiewkami rzucać:

Da żebym ja wiedziała,
Da że pójdziesz za wdowca,
Da uwiłabym ci wieniec,
Da z samego jałowca!

A insze jeszcze barzej przytykliwe i kolące.

Ale nikt na to nie baczył, bo już muzykanci rznęli ze wszystkiej mocy i naród w tany szedł; zadudniało znagła, jakby sto cepów biło w boisko i nierozplątana gęstwa zaroiła się w izbie, bo jedni za drugimi szli, para za parą, głowa przy głowie a pędu nabierali — więc kapoty puścili na wiatr, kołysali się szeroko, przybijali obcasami, kapeluszami potrząchali, a czasem któryś piesneczką huknął, to dzieuchy zawiedły »da dana« i wili się coraz prędzej, kolebali do taktu i szli w taki tan chybki, zadzierżysty, kołujący, zapamiętały, że już

i nie rozeznał nikogo w ciżbie; a co skrzypki huknęły nutą drygliwą, to sto hołubców biło w podłogę, sto głosów krzykało z mocą i sto narodu zawracało w miejscu, jak kieby wicher zakręcił — że ino furkot szedł od kapot, wełniaków, chustek wiewających po izbie, niby te ptaki barwiste. Przeszedł pacierz, dwa i trzy, a oni cięgiem tańcowali bez wytchnienia, bez przestanku, podłoga dudniła, ściany się trzęsły i izba wrzała hukiem, a ochota jeszcze rosła, jak te wody po ulewie — to ino kotłowało się i przewalało po izbie.

A gdy skończyli, odprawować poczęli obrządki różne, jak to jest zwyczajnie przy oczepinach.

Najpierw Jagusia musiała wkupywać się do gospodyń!

A potem, jednym ciągiem odprawiali drugie ceremonje; aż parobcy uczynili długie powrósło z nieomłóconej pszenicy i opasali niem wielgachne koło, które druchny pilnie trzymały i strzegły, a Jagusia stojała w pośrodku, chciał z nią któren tańcować, podchodzić musiał, wyrywać przez moc i hulać w kole, nie bacząc, że go ta i prażyły drugiemi powrósłami po słabiźnie. Zaś na dokończenie młynarzowa i Wachnikowa zaczęły zbierać na czepiec. Pierwszy wójt rzucił złoty pieniądz na talerz, a za nim, kiej ten grad brzękliwy, posypały się srebrne ruble, i jako te listeczki na jesieni, papierki leciały.

Więcej niźli trzysta złotych zebrali!

Sielny karwas grosza, ale mucha to la Dominikowej, nie stojała ona o darmochy, bo swojego miała dosyć, jeno że la Jagusi tak się ochotnie szkodowali, to ją

całkiem rozebrało, że rzewliwego płakania wstrzymać nie mogła; krzyknęła na chłopaków, by podawali gorzałkę i sama jęła częstować, przepijać i przez te łzy, co jej ciekły, kumy i kumów całowała.

— Pijcie sąsiedzi... pijta ludzie kochane, braty rodzone... Jakobym zwiesnę w sercu miała... za Jagusine zdrowie... jeszcze ten kieliszek... jeszcze... — a za nią kowal przepijał z drugimi, i chłopaki zosobna — boć narodu była gęstwa niemała; Jaguś znowu dziękowała od siebie za dobrość i co starszych podejmowała za kolana!...

Zawrzało w izbie, bo i kieliszki gęsto szły z rąk do rąk i gorącość buchała ze wszystkich i uciecha! Twarze się rumieniły, oczy połyskiwały i serca się rwały do serc, po bratersku, po sąsiedzku. Hej! raz kozie śmierć, tyle człowiekowego, co użyje z bratami, co się poweseli i zabaczy o świecie całym! Ino kostucha bierze każdego zosobna, a na wesela trza chodzić kupą i radować się kompanją całą. Kupami też zalegali izbę, przepijali i raili wesoło, a każden swoje głośno przekładał, że już i jeden drugiego nie słyszał, ale nic to, bo i tak jedno czuli, i jedna radość ich sprzęgała do kupy i wskróś przenikała!

A któren masz smutki, na jutro je ostaw, dzisiaj się zabawiaj, przyjacielstwa używaj, duszę ciesz! Jako tej świętej ziemi Pan Jezus daje odpoczywanie po letniem rodzeniu, tak i człowiekowi godzi się wypocząć jesienią, kiej w polu obrobił. A kiej masz, człowieku, brogi pełne i stodoły pełne ważnego jako to złoto zboża, co ino na

cepy czeka, to se używaj za letnie trudy, za harowanie, za mitręgi!

Tak sobie poredzali jedni, a inni znowu różne swoje żale i sprawy wywodzili przed sobą; drudzy zasie, co to nietylko krowi ogon widzieli, abo te babie wszy, koło starego Szymona się kupili i pogadywali o czasach dawnych, świeżych krzywdach, podatkach i sprawach gromady całej, a zcicha mówili, ile że i o wójtowych sprawkach.

Boryna ino do żadnej kupy nie przystawał, chodził od jednych do drugich, a cięgiem oczyma za Jagną wodził i sielnie się puszył, że to urodna taka, a raz wraz muzykantom złotówki rzucał, by smyczków nie żałowali, bo grali zcicha, odpoczywający.

To i znagła huknęli w instrumenty obertasa, że mróz przeszedł kości, a Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko i z miejsca rymnął takiego oberka, aż dyle zaskowyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, a przyklękaniem znagła zawijał, to trząchający, po izbie się nosił szeroko, od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał, że mu po muzycku odkrzykali, i dalej hulał siarczyście i tan wiódł zapamiętale, bo za nim drugie pary jęły się z kup wyrywać, i przytupywać, śpiewać, tańcować, i co ten największy pęd brać, że jakby sto wrzecion, pełnych różnobarwnej wełny, wiło się po izbie z turkotem i okręcało tak szybko, że już żadne oko nie rozeznało gdzie chłop, gdzie kobieta; nic, ino jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wichurą, że grała kolorami, mieniła się i wiła coraz prędzej, wścieklej, zapamiętalej, aż światła chwilami

gasły od pędu, noc ogarniała taneczników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpierzchłą, świetlistą smugą, iskrzyła się wrzącem srebrem wskróś ciemności i wskróś wirującej gęstwy ludzkiej, co nadpływała spienioną, rozśpiewaną falą, migotała i kłębiła się w tych brzaskach, jako w sennem widzeniu, i przepadała w ćmie nieprzeniknionej, by się znowu wynurzyć i zamajaczyć na mgnienie przed drugą ścianą, na której tknięte światłem szkła obrazów pryskały i mżyły ogniami, i przewalić się i stoczyć w noc, że tylko ciężkie dychanie, tupoty, krzyki rwały się, plątały i huczały głucho w oślepłej izbie.

A ciągnęły się już te tany łańcuchem jednym, bez przerwy ni przestanku... bo co muzyka zaczynała rznąć nowego, naród się podnosił znagła, prostował jak bór i szedł z miejsca pędem takiej mocy jak huragan; trzask hołupców rozlegał się jak bicie piorunów, krzyk ochotny trząsł całym domem, i rzucali się w tan z zapamiętaniem, z szaleństwem, jakoby w burzę i bój na śmierć i życie.

I tańcowali!

...Owe krakowiaki, drygliwe, baraszkujące, ucinaną, brzękliwą nutą i skokliwemi przyśpiewkami sadzone, jako te pasy nabijane, a pełne śmiechów i swawoli; pełne weselnej gędźby i bujnej, mocnej, zuchowatej młodości i wraz pełne figlów uciesznych, przegonów i waru krwie młodej, kochania pragnącej. Hej!

...Owe mazury, długie kiej miedze, rozłożyste jako te grusze Maćkowe, huczne a szerokie niby te równie nieobjęte, przyciężkie a strzeliste, tęskliwe a zuchwałe, posuwiste a groźne, godne a zabijackie i nieustępliwe,

jako te chłopy, co zwarci w kupę niby w ten bór wyniosły, runęli w tan z pokrzykami i mocą taką, że choćby w stu na tysiące iść, że choćby świat cały porwać, sprać, stratować, w drzazgi rozbić i na obcasach roznieść i samym przepaść, a jeszcze tam i po śmierci tańcować, hołupce bić i ostro, po mazursku pokrzykiwać: »da dana!«

...Owe obertasy, krótkie, rwane, zawrotne, wściekłe, oszalałe, zawadjackie a rzewliwe, siarczyste a zadumane i żałną nutą przeplecione, warem krwie ognistej tętniące a dobrości pełne i kochania, jako chmura gradowa znagła spadające, a pełne głosów serdecznych, pełne modrych patrzań, wiośnianych tchnień, woniejących poszumów, okwietnych sadów; jako te pola o wiośnie rozśpiewane, że i łza przez śmiechy płynie, i serce śpiewa radością, i dusza tęskliwie rwie się za te rozłogi szerokie, za te lasy dalekie, we świat wszystek idzie marząca i »oj da dana!« przyśpiewuje.

Takie to tany nieopowiedziane szły za tanami.

Bo tak ano chłopski naród się weseli w przygodny czas.

Takoż się zabawiali na weselu Jagusinem z Boryną!

Godziny biegły za godzinami i przepadały niepamiętliwie we wrzawie, w krzykach, w radości szumnej, w tanecznem zapamiętaniu, że ani się spostrzegli, jako się już przecierało na wschodzie, i przedświtowe brzaski ściekały zwolna i rozbielały noc. Gwiazdy pobladły, księżyc zaszedł i wiatr wstawał od lasów i przeciągał, jakby rozdmuchując rzednące ciemności; oknami naglądały

kudłate poskręcane drzewa i coraz niżej chyliły oszroniałe i senne łby, a dom wciąż śpiewał i tańcował!

Jakoby łąki i żniwne pola i sady rozkwitłe zeszły się na gody i porwane wichurą poszły społem w długi, zawrotny, ognisty korowód!

Wywarli drzwi na rozcież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami, dygotał, trząsł się, trzeszczał, pojękiwał i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jako te drzewa i ludzie, ziemia i gwiazdy, i te płoty, i ten dom stary, i wszystko, ujęło się w bary, zwiło w kłąb, splątało i pijane, oślepłe, na nic niepomne, oszalałe, taczało się od ściany do ściany, z izby do sieni, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, migotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało.

Muzyka to ich wiedła, to granie, te piosneczki...

...Basy pohukiwały do taktu i buczały drygający niby bąki, a flet wiódł wtór i pogwizdywał wesoło, świegotał, figle czynił jakby na sprzeciw bębenkowi, któren ucieszny wyskakiwał, brzękadłami wrzaskliwość niecił, baraszkował i trząsł się, jako ta żydowska broda na wietrze, a skrzypice wiedły, szły na przedzie, niby ta najlepsza tanecznica, śpiewały zrazu mocno a górnie, jakby głosu probowały, a potem jęły zawodzić szeroko, przenikliwie, smutnie, kieby rozstajami płacze sieroce kwiliły, aż zakręciły w miejscu i spadły znagła, nutą krótką, migotliwą, ostrą, jakby sto par trzasnęło hołupcami, i sto chłopa zakrzykało z pełnej piersi, aż dech zapierało, i dreszcz szedł po skórze, i wnet jęły koło-

wać, pośpiewywać, zawracać, drobić, przeskakiwać a śmiać się i weselić, że ciepło do serca szło i ochota do łbów biła kiej gorzałka... to znowu śpiewały tą nutą ciągliwą, żałosną i płakaniem kiej rosą osutą; tą nutą naszą, kochaną, serdeczną, pijaną mocą wielką i kochaniem, i wiedły w tan ostry, zapamiętały, mazowiecki.

. . . .

Świt już się stawał coraz jaśniejszy, że światła bladły i izbę zalewał brudny, zmącony mrok, a jeszcze się zabawiali ze wszystkiego serca, a komu mało było poczęstunku, do karczmy po gorzałkę słał, kompanił się i na umor pił.

Kto odszedł, to odszedł, kto się zmęczył, odpoczywał, a któren się opił, na przyźbie spał, abo i w sieniach; drudzy zasie, barzej z nóg ścięci, to i pod płotami legali, i gdzie tam padło, a reszta tańcowała do upadłego...

Aż już co trzeźwiejsi zbili się w kupę przy drzwiach, do taktu bili w podłogę i jęli śpiewać:

Zbierajcie się, weselnicy, już nam czas!
Daleka droga,
Głęboka woda,
Ciemny las!
Zbierajcie się, weselnicy, już nam czas!
Znów się zabawimy,
Jutro powrócimy,
Na popas!

Ale nikt ich nie słuchał!

XII.

Już na samem świtaniu, Witek, umęczony zabawą i wyganiany przez Jagustynkę, pobiegł do chałupy.

Wieś spała jeszcze na dnie mroków, co słały się nisko nad ziemią grubym, rzednącym zwałem, staw leżał martwy, przygnieciony mroczną gęstwą drzew obrzeżnych i tak utopiony w ciemnicy, że ledwie ku środkowi wyleniał się z nocy i majaczył brzaskami, nibo to oko zasnute bielmem.

Przymrozek brał mocny, przeciągał zimny wiatr, że skrzepłe powietrze raziło nozdrza i dech zapierało, ziemia dzwoniła pod nogami i zmarzłe kałuże siniały na drodze, niby szkła potrzaskane i oślepłe, a świat się zwolna rozbielał świtaniem, wychylał z mroków oszroniały i ogłuchły przemarzłą cichością, psy ino kajś niekaj naszczekiwały sennie, młyn hurkotał woddali, a weselna wrzawa buchała z chałupy i rozkrążała się szeroko, na dobre śmignięcie kamieniem.

W Borynowej izbie tliło się jeszcze światełko maleńkie, jako ten robaczek świętojański, aż Witek zajrzał przez okno; stary Roch siedział przy stole i z książki pośpiewywał pobożne pieśnie.

Chłopak cicho przesunął się do obory i jął macać skobla, gdy naraz z wrzaskiem odskoczył, bo pies jakiś rzucił mu się na piersi ze skowytem.

— Łapa! Łapa! Wróciłeś to, piesku, wróciłeś, biedoto! — wykrzykiwał, rozeznawszy psa, i aż przysiadł na progu z radości. — Głodnyś, chudziaku, co?

Znalazł za pazuchą zaoszczędzoną na weselu kiełbasę i wtykał mu do pyska, ale Łapa nie rwał się do jadła, jeno szczekał, rzucał mu się na piersi i skomlał z radości.

— Głodziły cię, biedoto, i wygnały we świat! — szeptał, otwierając drzwi od obory, o zaraz jak stał, rzucił się na wyrko. — Już ja cię teraz bronił będę i starunek o tobie miał... — mruczał, zakopując się w słomę, a pies legł wpodle, warkał i polizywał go po twarzy.

Rychło obaj zasnęli.

A ze stajni obok połżonej wołał Kuba słabym, schorzałym głosem, wołał długo, ale Witek spał jak kamień, dopiero Łapa, poznawszy głos, jął zajadle szczekać i targać za kapotę, aż przecknął.

— Czego? — mamrotał przez sen.

— Wody! Tak me rozbiera gorącość... wody!

Choć markotny był i śpik go morzył, zaniósł mu pełne wiadro i podstawił do picia.

— Takim chory, że ledwie zipię... co to warczy?

— A Łapa! Wróciło psisko od Antków!

— Łapa! — szepnął, macając w ciemności za psim łbem, a Łapa wyskakiwał, szczekał i darł się na wyrko.

— Witek, załóż koniom siana, bo dzwonią zębami o pusty żłób, a ja się poruszyć nie mogę. Tańcują jeszcze? — pytał po chwili, gdy chłopak stoczył ze stropu siano i zakładał je za drabiny.

— Cheba na połednie skończą, a tak się niektóre popiły, że na drodze leżą.

— Używają se gospodarze, używają — westchnął ciężko.

— Młynarze byli?

— Byli, ino rychlej poszli.

— Narodu dużo?

— Ktoby ta porachował?... aż się przelewało w chałupie.

— Przyjmowali suto?

— Kiej we dworze jakim. Mięso całemi michami roznosili, a co gorzałki wychlali, a co piwa, co miodu! Samych kiełbas były trzy niecki czubate.

— Przenosiny kiedy?

— A dzisiaj na odwieczerzy.

— Użyją se jeszcze, nacieszą się... Mój Jezu, myślałech, że jaką kosteczkę ogryzę i podjem se choć raz do sytu, a tu leż, zdychaj i nasłuchuj, jak się drugie zabawiają.

Witek poszedł spać.

— Żeby choć te oczy napaść... żeby...

Zamilkł znużony, żuł w sobie żałość, a jakieś ciche, nieśmiałe skargi, jako te ptaszki ustałe, tłukły mu się po piersiach i boleśnie piukały.

— Niech im ta pójdzie na zdrowie, niech choć oni żyją... — myślał, pogładzając psi łeb.

Gorączka mroczyła go coraz bardziej, więc jakby na odegnanie zaczął szeptać pacierz i Panu Jezusowemu miłosierdziu oddawał się gorąco na wolę i niewolę, ale zapominał słów, sen nań spadał raz po raz, a ciąg szeptów, nabrzmiałych prośbą i łzami, rwał się i rozsypywał niby czerwone paciorki, że chciał je zgarniać, tak widno toczyły się po kożuchu; zapominał jednak o wszystkiem, zasypiał...

Budził się czasami, wodził pustym wzrokiem i nic nie rozeznawszy, zapadał znowu, leciał w martwą, trupią ćmę.

To znowu jęczał i tak krzyczał przez sen, aż konie z chrapaniem rwały się na łańcuchach, trzeźwiał nieco i unosił głowy.

— Jezus, żeby choć dnia doczekać! — jęczał trwożnie i wybiegał oczyma przez okienko, we świat, za dniem; słońca szukał po niebie szarem, ostygłem i poprzebijanem blednącemi gwiazdami...

Ale dzień był jeszcze daleko.

Stajnia tonęła w mętnej kurzawie brzasków, że już kontury koni jęły się wycinać, a drabiny pod okienkami, niby żebra, prześwitywały pod światło...

Już nie zasypiał, bo bóle nań przyszły nowe, wślizgiwały się w nogę niby sękate kije i tak rozpierały, tak wierciły, tak piekły, jakby kto żywym ogniem rany przysypywał, że zerwał się nagle i zaczął ze wszystkich sił krzyczeć, aż Witek się obudził i przybiegł.

— Zamrę już! zamrę! Tak mnie boli, tak we mnie choroba rośnie i dusi... Witek, bieżyj po Jambroża... o Jezus, albo Jagustynki zawołaj... może co poredzą, bo już nie wydzierżę... już ta ostatnia godzina na mnie idzie... ten czas ostatni... — buchnął strasznym płaczem, zarył twarz w słomę i łkał żałością a strachem.

A Witek mimo rozespania pobiegł na wesele.

Tańcowali jeszcze w najlepsze, ale Jambroży był spity już swoim zwyczajem, stał na drodze wprost domu, potaczał się od stawu do płotów i wyśpiewywał.

Darmo go Witek prosił i za rękaw ciągał, dziad jakby nie słyszał i nie wiedział, co się z nim dzieje, potaczał się ino, a śpiewał zapamiętale ciągle tę samą śpiewkę.

Pobiegł do Jagustynki, że to i ona znająca była na chorobach, ale stara z kumami siedziała w komorze, i tak se przepijały krupnikiem, tak se dogadzały piwem, a tak wraz gadały i jazgotały śpiewaniem, że ani jej było o czem mówić. Raz i drugi skamlał, by szła do Kuby, to go wkońcu wyciepnęła za drzwi, i coś niecoś pięścią przyłożyła na drogę; z płaczem poleciał do stajni, tyle ano wskórawszy.

A że Kuba był zasnął znowu na te chwile, więc zakopał się w słomę, przyokrył łachami na głowę i spał.

Dobrze już po śniadaniu, obudziło go porykiwanie krów głodnych i niewydojonych i piekłowanie Jagustynki, która zaspawszy jak i drudzy, krzykiem nadrabiała przy obrządzaniu gospodarstwa.

Dopiero kiej coś niecoś zepchnęła roboty, zajrzała do Kuby.

— Dopomóżcie, poredźcie — prosił cicho.

— A to się ożeń z młódką, a wnet się wylekujesz! — zaczęła wesoło, ale skoro się przyjrzała jego twarzy sinej i obrzękłej, spoważniała prędko. — Księdza ci więcej potrzeba niźli dochtora! Cóż ja ci poredzę, co? Zamówiłabym, okadziła, a bo to pomoże?... Widzi mi się, żeś ty już chory na śmierć, na czystą śmierć...

— Zamrę?

— W Boskiej to mocy, ale widzi mi się, że Kostusi z pazurów się nie wypsniesz.

— Zamrę, powiadacie?...

— Po dobrodziejaby ano posłać, co?

— Dobrodzieja! — wykrzyknął zdumiony. — Dobrodzieja przywieźć tutaj, do stajni, do mnie?... Co wama po głowie chodzi?

— A cóżto, z cukru jest i rozpuści się w tem łajnie końskiem? Ksiądz jest od tego, by gdzie go do chorego proszą, szedł.

— Jezus! a miałbym to śmiałość, w ten gnój do mnie?...

— Głupiś jak ten baran! — Cisnęła ramionami i poszła.

— Sama głupia, ani wie co powiada... — mruknął oburzony srodze, opadł ciężko na barłóg i długo jeszcze rozmyślał. — Zachciało się babie... hale, Dobrodziej kochany po pokojach se chodzi... z książek poczytuje... z Panem Bogiem rozmawia... i do mnieby go wołać?... te kobiety, to ino aby ozorem mleć... głupia...

I tak już pozostał sam, bo jakby o nim zapomnieli.

Witek czasami naglądał, aby koniom przysypać obroku, napoić, to i jemu podawał wody i wnet znikał, leciał na wesele, które znowu zaczęło się zbierać u Dominikowej na przenosiny, a czasami Józka wpadała z krzykiem, wtykała mu kawałek placka, nagadała, natrzepała, nawiała stajnię wrzaskiem, aż kury gdakały z przestrachu na płotach i uciekała śpieszno.

Juści, miała po co, bo tam się już zabawiali niezgorzej, muzyka huczała przez ściany i krzyki szły wesołe a śpiewania.

A Kuba leżał cicho, bo jakoś zrzadka chwytały go bolenia, więc ino nasłuchiwał i rozeznawał, jak się tam zabawiają, a pogadywał z Łapą, któren nie opuścił go ani na chwilę, i pojadali se społecznie Józin placek; albo cmokał na konie i przemawiał do nich. Rżały radośnie i odwracały od żłobów łby, a nawet źróbka urwała się z uździennicy i przychodziła do wyrka baraszkować i tulić wilgotne a ciepłe chrapy do jego twarzy.

— Schudłaś, biedoto, schudłaś! — Głaskał ją czule i całował po rozdętych nozdrzach. — Nie bój się, wyzdrowieję rychło, to wnet ci boki podkrzepię, choćby i czystym owsem...

Milknął wnet i patrzył bezmyślnie w poczerniałe sęki, z których sączyły się na ściany żywiczne strugi, niby łzy krwawe i zastygłe...

Słoneczny a przybladły dzień zaglądał przez szpary cichemi oczyma, drzwiami zaś wywartemi buchał szeroki potok jasności skrzącej, migotliwej, jako złote pajęczyny po ścierniskach, w których trzepały się muchy z sennym, omdlałym brzękiem.

Godziny przechodziły za godzinami i wlekły się wolno, jak te dziady ślepe i kulawe, po srogich piaskach idące z utrudzeniem, a w cichości, albo jako ten kamień, co pada w topiel i leci, przepada, ginie, a nawet go oczy człowiecze nie chycą.

Ino czasem wróble rozświegotane wrzaskliwą bandą wpadały do stajni i zuchwale rzucały się na żłoby...

— Jakie to zmyślne juchy! — szeptał. — Takiemu ptaszkowi, a Pan Jezus rozum daje, że wie, gdzie poży-

wienie znaleźć. Cicho Łapa, niech się pożywią i wspomogą biedoty, bo i na nich zima przyjdzie. — Przyciszał, bo pies skoczył wypędzać rabusiów.

Świnie zaczęły kwiczeć w podwórzu i cochać się o węgły, aż stajnia drgała, a potem jęły wtykać w drzwi długie, obłocone szyje i pokwikiwać.

— Wypędź Łapa. Dziadaki jedne, wszystkiego im zawżdy mało!

Po nich kury zakrzekorzyły przed progiem, a wielki, czerwony kogut ostrożnie zaglądał, cofał się, bił skrzydłami i krzykał, aż zuchwale wskoczył za próg, do kobiałki pełnej obroku, a za nim reszta, ale nie zdążyły się jeszcze najeść, bo wnet nadciągnęły rozgęgane gromadą gęsi, z sykiem migotały w progu czerwone dzioby i chwiały się białe, powyciągane szyje.

— Wygoń, piesku, wygoń! Swarzą się juchy, kiej te baby!

Juści że wnet się rozległ wrzask, pisk, łomotanie skrzydeł i pióra poleciały kieby z rozprutej pierzyny, bo Łapa nie żałował sobie uciechy, powrócił zziajany, z wywieszonym ozorem i skomlał radośnie.

— Cicho-no!

Od domu rozlatywały się gniewne głosy Jagustynki, bieganina i trzaski sprzętów, przewlekanych z izby do izby.

— Gotują się do przenosin!

Drogą ktoś niektoś przejeżdżał ale zrzadka, a teraz zasie człapał się z piskiem wóz jakiś; Kuba rozeznawał pilnie.

— Kłębów wóz, w jednego konia i drabinami,

pewnie po ściółkę do lasu. Juści, oś w przodku wytarta i bez to się piast przyciera i skrzypi.

Po drogach wciąż snuły się odgłosy kroków, rozmowy, głosy leciały i drgały ledwie dosłyszane, ledwie odczute brzmienia, ale je chwytał w lot i rozpoznawał.

— Stary Pietras do karczmy idzie — mruczał. — Walentowa wykrzykuje... pewnie gąski czyje przeszły na jej stronę... Piekielnica nie baba! Kozłowa widzi mi się... juści... bieży i krzyczy... juści ona!... Pietrek Rafałów... rajcuje jucha, jakby miał kluski w gębie... księża kobyła po wodę jedzie, tak... postaje... zawadza kołami... jeszcze se kiedy kulasy połamie...

I tak se zwolna rozpoznawał wszystko i myślami i tem widzeniem czującem po wsi chodził, kłopotał się, zabiegał, turbował i żył życiem wsi całej, że ledwie spostrzegł, jak dzień przechodzi zwolna; ściany przygasły, drzwi zbladły i stajnia mroczeć poczęła.

Już pod sam wieczór przyszedł Jambroży, nie wytrzeźwiony do cna, bo się jeszcze potaczał i mówił tak prędko, że trudno było rozebrać.

— Nogeś pono wykręcił?

— A obaczcie i poredźcie.

W milczeniu odwijał szmaty przekrwione, zeschłe i tak przywarte do nogi, że Kuba zaczął krzyczeć w niebogłosy.

— I panna przy rodach tak nie kwiczy! — mruknął urągliwie.

— Kiej boli! A dyć nie szarpcie! Jezus! — wył prawie.

— A to cię uszlachtowali! Pies ci łydkę wyżarł,

czy co? — wykrzyknął zdumiony, bo łydka była poszarpana, zaropiała, noga spuchła jak konew.

— To... ino nie powiadajcie nikomu... borowy me postrzelił... ino...

— Prawda... śróciny siedzą pod skórą kiej mak... zdaleka do cię wygarnął? Ho, ho! kulas widzi mi się na nic już... kosteczki chrobocczą ano... Czemuś to zaraz mnie nie wołał?

— Bojałem się... jakby się dowiedziały, na zajączka wyszedłem... ustrzeliłem... i już na polu byłem... a ten kiej nie rypnie do mnie...

— Powiadał kiedyś w karczmie borowy, że ktoś im szkody czyni...

— Hale... szkody... niby to zające należą do kogo... ścierwa... zasadził się na mnie... już na polu byłem, a ten z obu luf strzelił... żeby cię piekielniku... ino nic nie mówcie... do sąduby pozwały... strażniki... i zarnoby i fuzję wzieny... a to nie moja... Myślałech, że samo przejdzie... pomóżcie, bo tak rwie, tak boli...

— Takiśto majster! Taki se zcicha pęk, lelum polelum, a z dziedzicem zajączkami się dzieli... Cie... ale kulasem za tę spółkę zapłacisz...

Obejrzał raz jeszcze i srodze się strapił.

— Zapóźno, o wiela zapóźno!

— Poredzcie, poredzcie — jęczał wystraszony.

Już nic nie odrzekł, ino rękawy zakasał, wydobył ostry kozik, nogę ujął krzepko i jął wydłubywać śróciny i ropę wyciskać.

Kuba zrazu ryczał jak zwierz dorzynany, aż mu zatkał gębę kożuchem, ścichł, bo zemdlał z bólu. Opo-

rządził mu nogę, obłożył jakąś maścią, obwinął w nowe szmaty, dopiero go otrzeźwił.

— Do szpitala musisz iść... — mruknął cicho.

— Do szpitala?... — Nieprzytomny był jeszcze.

— Urznęliby ci nogę, tobyś może i wyzdrowiał.

— Nogę?...

— Juści, już na nic, zepsuta, czernieje cała.

— Urznęliby? — pytał, nie mogąc pojąć.

— W kolanie. Nie bój się, mnie kula urwała przy samym zadzie a żyję.

— To ino urznąć bolejące miejsce i byłbym zdrowym?...

— Jakby kto ręką odjął... ale do szpitala trza ci zaraz iść...

— Nie, bojam się, nie... do szpitala...

— Głupiś!...

— Tam żywcem krają... tam... Oberznijcie wy... co ino zechcecie, zapłacę, oberznijcie... do szpitala nie chcę wolę tutaj zdychać...

— To i zdechniesz... doktór ino może ci oberznąć. Pójdę zaraz do wójta, żeby ci na jutro dali podwodę i odwieźli do miasta.

— Próżno pójdziecie, bo do szpitala nie pójdę... — powiedział twardo.

— Hale, będą ci się pytali, głupi!

— Urznąć i zaraz wyzdrowieje... — powtarzał Kuba cicho po jego wyjściu.

Noga przestała go boleć po opatrunku, zdrętwiała tylko aż do pachwiny, a po całym boku czuł jakby

mrówki łaziły, nie zważał na to, bo się głęboko zamedytował.

— Wyzdrowiałbym! Musi być, że i tak jest, przecież Jambroży kulasa całego nie ma... na kuli chodzi... Powieda, że jakby ręką odjął... Ale Borynaby mnie wygnał... juści, parobek bez kulasa... ni do pługa, ni do żadnej roboty. Cóż jabym począł? Bydło mi ino pasać albo na żebry iść... we świat, pod kościół gdzie?... abo jak ten stary trep na śmiecie... zdychać pode płotem. Jezus miłosierny! Jezus! — Zrozumiał nagle jasno i aż się podniósł z oślepiającej trwogi. — Jezus! Jezus! — powtarzał gorączkowo, bezprzytomnie dygocząc cały.

Zaniósł się głębokim, żalnym płaczem, krzykiem niemocy, staczającej się w przepaść bez ratunku.

Długo wył i szamotał się w męce, ale przez te łzy i rozpacze jęły mu się wić postanowienia jakieś, medytacje, przycichał zwolna, uspokajał się i tak zagłębiał w siebie, że nic nie słyszał; jak przez sen majaczyło mu się granie jakieś, śpiewy, wrzaski bliskie.

W ten sam czas wesele się ano przenosiło do Boryny.

Robili przenosiny Jagusi do męża.

Nieco przódzi przeprowadzili tęgą krowę i przewieźli skrzynkę, pierzyny i statki różne, jakie w wianie dostawała.

Teraz zaś, może w pacierz po zachodzie, kiej zmroczało i świat się zaciągał mgłami, bo na odmianę szło, wywalili się od Dominikowej.

Muzyka szła na przedzie i raźno przegrywała, a za nią Jagusię wystrojoną jeszcze po weselnemu matka

wiedła z braćmi i kumami, a dopiero w podle, gdzie kto wziął miejsce, walili hurmą weselnicy.

Szli zwolna wzdłuż stawu, któren poczerniał i gasł przyduszony mrokiem, wskroś mgieł coraz gęstszych, w ciszy ciemnicy ogłuchłej i ślepej jeszcze, że tupoty i grania rozlegały się krótko i dudniały jakby z pod wody.

— Młódź podśpiewywała czasami, to kuma jaka zawiedła, chłop któren wrzasnął: »da dana«, ale wnet cichli, ochoty jeszcze nie było i ziąb wilgotny przejmował do żywego.

Dopiero kiej nawrócili w Borynowe opłotki, druchny zaśpiewały:

A płakała dziewczyna,
Jak jej ślub dawali;
Cztery świece zapalili,
W organy zagrali.
Myślałaś dziewczyno,
Że ci zawsze będą grać?...
Wczoraj trochę, dzisiaj trochę...
A na całe życie płacz...
Da dana! A na całe życie płacz!

Na ganku przed progiem czekał już Boryna, kawalerowie i Józka.

Dominikowa wniosła przodem, w węzełku skibkę chleba, soli szczyptę, węgiel, wosk z gromnicy i pęk kłosów poświęconych na Zielną, a gdy i Jaguś próg przestąpiła, kumy ciskały za nią nitki wyprute i paździerze, by zły nie miał przystępu i wiodło się jej wszystko.

Wraz też witali się, całowali, a życzyli młodym szczęścia, zdrowia i co tam Pan Bóg da, a do izby szli, że wnet zawalili ławy wszystkie i kąty.

Grajkowie narządzając instrumenty pobrzękiwali zcicha, aby nie mącić poczęstunku, z jakim wystąpił Boryna.

Chodził ano z pełną blachą od kuma do kuma, częstował, niewolił, w ramiona brał i przepijał do każdego, kowal mu pomagał w drugiej stronie, a Magda z Józką, roznosiły na talerzach placek miodem i serem nadziewany, któren umyślnie upiekła na przenosiny, by się ojcu przypochlebić.

Ale zabawa szła nie tęgo, juści, że nikt za kołnierz nie wylewał i od kieliszków nie stronił, przepijali nawet ze smakiem, ino że jakoś nie nabierali weselnego ducha, i nie wiedli się do wrzątka, ledwie parkotali, jak ta woda na słabym ogniu; siedzieli osowiałe, ruchali się ciężko, nieswojo, mało pogadywali i zcicha, a jaki taki ze starszych ziewał ukradkiem, przeciągał się a tęskliwie myślał, by się co rychlej gdzie na słomę dostać.

Kobiety zaś, choć to nasienie najbardziej wrzaski i zabawę czyniące, rozwalały się ino po ławach, w kąty się kryły i mało wiele między sobą rajcowały.

Jagusia w mężowej komorze wnet się przestroiła w szmaty zwyczajne, tyla że świąteczne, i wyszła ugaszczać a przyjmować, ale matka do niczego się jej tknąć nie dala.

— Wesela se zażyj córuchno! Narobisz się jeszcze, natrudzisz! — szeptała i raz wraz ją przygarniała do piersi i z płaczem tuliła, aż to dziwno było niejednemu,

boć nie we świat szła za chłopa, nie na drugą wieś i na biedę.

Pośmiewali się z takiej tkliwości matczynej, a zęby ostrzyli przekpinkami, ile że teraz właśnie na przenosinach, kiej Jaguś już gospodynią weszła w mężowski dom, w tyle gruntu i dobra wszelkiego, otwierały się im oczy, a nie jednej matce dostałych córek zazdrość szła do gardła, dzieuchom też było jakoś nieswojo i markotno.

Na drugą stronę szły, po Antkach, gdzie Ewka z Jagustynką wieczerzę narządzały, aż huczało w kominie, że Witek ledwie nadążył drwa znosić i przykładać pod ogromne gary.

I po całym domu się rozłaziły, a w każdą szparę wrażały zazdrosne oczy.

Nie zazdrościć to losu takiego?...

Już sam dom najlepszy we wsi, duży, widny, wysoki, stancje kieby w jakim dworze, wybielone, z podłogami, czyste! A co sprzętów, co statków różnych, obrazów samych ze dwadzieścia i wszystkie ze szkłami! A tu jeszcze obory, stajnie, stodoła, szopa! A mało to lewentarza? Pięcioro samych krowich ogonów, nie licząc byka, któren profit daje niezgorszy! Trzy konie; a gdzie jeszcze grunt, gdzie gęsi, świnie!...

Wzdychały żałośnie i raz po raz któraś zcicha rzekła:

— Mój Boże, że to Pan Jezus daje takim, co i nie zasłużyły!

— Umiały sobie pomagać, umiały!

— Juści, zawżdy ten dostanie, któren na przeciw wyjdzie.

— Czemuż to wasza Ulisia nie wyszła?

— Bo się Boga boja i w poczciwości żyje.

— I drugie też bez to samo.

— A inszej to naród nie przepuści, niech choć ten razik spotkają ją po nocy z jakim chłopakiem, a już we świat na ozorach poniesą.

— Taka, to ma szczęście...

— Bo wstydu nie ma.

— A dyć chodźcie — wołał Jędrzych. — Muzyka gra, a w izbie ani jednej kiecki, że niema z kim tańcować!

— Jaki ochotny, a pozwoli ci to matka?

— Ino porteczek nie zgub i lustra nie pokaż, kiej się tak bystro rwiesz.

— A kulasami po ludziach nie rzucaj!

— Z Walentową idź w parę, będą dwie pokraki!

Jędrzych zaklął ino, chycił pierwszą z brzega i powiódł, nie słuchając, co za nim brzęczało.

W izbie już tańcowali, zwolna jeszcze i jakby od niechcenia; jedna Nastka Gołębianka hulała ostro z Szymkiem Paczesiem. Umówili się przódzi, więc skoro muzyka zagrała, zwarli się mocno i tańcowali rzetelnie a długo; to na odpocznienie brali się wpół i nosili po izbie, aże ich ciągotki brały do siebie, to pogadywali wesoło, śmiali się w głos i biedro w biedro chodzili, aż Dominikowa z niepokojem naglądała do syna.

Ale dopiero, gdy nadszedł wójt — spóźnił się, bo musiał rekrutów odstawiać do powiatu — rozruchali się ludzie, bo skoro wszedł, skoro przepił raz i drugi, wziął rozprawiać z gospodarzami i przekpiwać się z »młodych«.

— Pan młody kiej ściana, a młoducha, niby to sukno czerwone.

— Jutro powiecie...

— Probant z was Macieju, toście dnia nie zmarnowali.

— Nie gęsior przeciech, to nijak mu na oczach wszystkich!

— I półkwaterkabym nie trzymał za tem! Rzuć ino kamuszkiem w krzaki, a zawżdy ptaszek jaki wyfrunie, wójt to wama mówi!

Gruchnęli śmiechem, bo Jagna uciekła na drugą stronę.

Kobiety też dogadywały, co im ślina przyniesła na język.

Wnet się wrzawa wzmogła i wesołość ogarniała duszę, wójt pomógł rzetelnie, ale i gorzałka zrobiła swoje. Boryna nie żałował i flachę puszczał częstą kolejką; tańce też szły raźniejsze i gęstsze, śpiewać już poczynali, przytupywać i coraz większem kołem taczać po izbie.

A na to już zjawił się Jambroży, przysiadł zaraz, nieledwie przy progu, a łakomemi oczyma wodził za flachą.

— Wam ino tam głowę wykręca, gdzie kieliszki dzwonią! — rzucił wójt.

— Brzękliwe są; a któren spragnionego napoi, zasługę ma! — odparł poważnie.

— Naści wody, worku skórzany.

— Co smakuje bydlęciu, szkodzi człowiekowi! Po-

wiedają: »kogo woda zbawi, to zbawi, a gorzałka kużdego na nogi postawi«.

— To pijże okowitkę, kiejś taki kalkulant.

— Przepijcie, wójcie! Powiedają i to: »chrzest przyjmuj wodą, ślub polewaj wódką, a śmierć płakaniem«.

— Dobrze powiadają, pijcie drugi...

— Nie ucieknę i przed trzecim! Zawdy pijam jeden za pierwszą żoną, a dwa za drugą.

— Czemuż to?

— Że wczas pomarła, bym se poszukał trzeciej.

— O kobiecie mu się śni, a już na odwieczerzu pomroka mu ślipie gasi...

— Jeszczebym i pociemku zmacał kijaszkiem, gdzie babia słabizna!

Izba gruchnęła śmiechem.

— Z Jagustynką was zmówimy! — wołały kobiety.

— Gorzałkę lubi i pyskata tak samo — dodawały drugie.

— Powiedają: »chłop robotny i żona pyskata, to wezmą choćby i pół świata«.

Wójt przysiadł obok niego, a drugie wpodle, gdzie kto mógł ławy zachwycić, a zbrakło miejsca, przystawali i cisnęli się do kupy, pół izby zajęli bez mała, nie bacząc na tańcujących.

Wnet zasię poczęły iść przekpinki, wymysły różne, gadki, wesołe powiedania, przypowiastki, aż się izba trzęsła od śmiechów, a najbarzej Jambroży dowodził, zmyślał jucha i cyganił w żywe oczy, ino tak sprawnie i uciesznie, że się pokładali od śmiechu; a z kobiet

Wachnikowa nie dała się nikomu przegadać i w pierwszą gębę grała, wójt też basował, ile mu ino baczenie na urząd pozwalało.

Muzyka rżnęła od ucha, siarczyście, młódź hulała raźno, krzykała i obcasami ostro biła, a oni się tak zabawiali społecznie i wesoło, że o Bożym świecie zapominali, aż któryś dojrzał w sieni Jankla. Wciągnęli go wnet do izby. Żyd czapkę zdjął, kłaniał się i ze wszystkimi przyjaźnie witał, nie bacząc, że mu przezwiska jak kamienie latają koło uszów.

— Żółtek! Niechrzczony! kobyli syn!

— Cichojta! Przyjąć go czem, gorzałki mu dać! — wołał wójt.

— Przechodziłem drogą, to chciałem zobaczyć, jak się gospodarze zabawiają. Bóg zapłać, panie wójcie, napiję się wódki, dlaczego nie mam się napić za zdrowie państwa młodych?

Boryna wyniósł flaszkę i częstował. Jankiel kieliszek wytarł kapotą, głowę nakrył i wypił, a drugim poprawił.

— Zostańcie, Jankiel, nie streficie się! Hej! muzykanty, zagrajcie żydowskiego! niech Jankiel potańcuje! — wołali ze śmiechem.

— Mogę potańcować, to nie grzech!

Ale nim grajkowie zrozumieli wołania, Jankiel wysunął się cicho do sieni i zniknął w podwórzu, poszedł do Kuby odbierać strzelbę.

Nie spostrzegli nawet jego wyjścia, bo Jambroży nie przerywał cyganienia a Wachnikowa wtórowała niby na basetli, tak im zeszło do samej wieczerzy; już mu-

zyka przycichła, stoły pousuwali i grzechotano miskami, a oni wciąż się pośmiewali.

Darmo Boryna zapraszał do jadła, nikt nawet nie słyszał. Potem Jaguś raz po raz przywtarzała, by szli, to ją wójt wciągnął do kupy, usadził przy sobie i za rękę trzymał.

Dopiero Jasiek, z przezwiska Przewrotny, krzyknął w głos:

— Do misek chodźta ludzie, bo stygnie!

— Cichoj głupi, znajdzie się i la ciebie miska do wylizania!

— Jambroży ino cyganią, aż się kurzy i myślą, że mu kto wierzy...

— Jasiek, coć dadzą w pysk, bierz, bo twoje, ale mnie nie ruchaj, nie uredzisz.

— A spróbujmy się! — odkrzyknął parob, że to głupawy był i słowa nie wyrozumiał.

— Wół tak samo poredzi albo i lepiej.

— Jambroży po księdzu wynoszą, to myślą, że ino sami mądrzy!

— Wpuść cielę do kościoła, a też ino ogon wyniesie! Głupia! — mruknął zelżony.

Bo to matka Jaśkowa chciała bronić syna. Ruszył też pierwszy do stołów, a za nim insi jęli zajmować miejsca, a spiesznie, bo już kucharki wnosiły dymiące miski i smaki wiały po izbie.

Usadzili się po starszeństwie i jak przystało na przenosinach, z Dominikową i jej chłopakami w pośrodku; druchny i drużbowie zasiedli razem, przy sobie,

a Boryna z Jagusią ostali na izbie, by posługiwać i mieć baczenie na wszystko.

Cicho się zrobiło, tyla, że za oknami dzieci wrzeszczały i tuzowały się między sobą, a Łapa z ujadaniem obiegał dom i darł się do sieni, naród zaś w cichości a z powagą porał się z jadłem i ochotnie bódł miski czubate, ino łyżki skrzybotały o wręby i szkło brząkało w kolejkach.

Jagusia zaś cięgiem zapraszała i prawie każdemu zosobna podtykała, czy mięso, czy czego innego zarówno, a niewoliła by sobie nie żałowali; składnie jej to szło, i tak utrafnie każdemu to słowo przypochlebne powiadała, i taką urodnością się wszystkim miliła, że niejeden z parobków chodził za nią tęskliwemi oczyma, a matka aże rosła z kuntentności, odkładała łyżkę, by się ino patrzeć na nią i cieszyć.

I Boryna to widział, bo gdy szła do kucharek, leciał za nią, dopędzał w sieniach, ogarniał mocno i sielnie całował.

— Gospodyni moja kochana! A dyć, kiej ta dworska pani, tak se godnie poczynasz i radzisz!

— A bom to nie gospodyni! Idźcie-no do izby, Gulbas z Szymonem czegoś odęci siedzą i mało co pojadają. Przepijcie do nich!...

Juści, że jej słuchał i robił co chciała! A Jagusi było dziwnie wesoło na duszy i ochotnie. Gospodynią się poczuła i nie byle jaką, panią prawie, to i rządy same jej jakoś w ręce szły, a z niemi i powaga w niej rosła i harność pełna mocy a spokojności! Nosiła się po izbach swobodnie, doglądała wszystkiego bystro i tak

mądrze kierowała, jakby już niewiada od kiela na swojem gospodarzyła.

— Jaka jest, wnet stary rozpozna i jego to rzecz, ale widzi mi się, że gospodyni będzie z niej sielna — szepnęła Ewka do Jagustynki.

— Mądra i Kaśka, jak pełna faska! — odparła przekąśliwie. — Będzie tak, póki jej stary nie obmierznie, od kiela nie zacznie ganiać za parobkami...

— Tego nie zrobi, ino że Mateusz jest w odwodzie, nie poniecha jej przecież.

— I... poniecha! zmusi go do tego ktoś drugi, zmusi...

— Boryna?

— Hale, Boryna! jest ktoś mocniejszy od obu... jest... niech-no ten czas nadejdzie, a zobaczycie sami... — uśmiechnęła się chytrze. — Witek, odegnaj-no psa, bo szczeka, aż uszy bolą i rozpędź tych chłopaczysków, szyby jeszcze powygniatają i ogacenie rozniesą.

Witek skoczył z batem, pies umilkł, ale rozległy się piski i tętent uciekającej wrzaskliwie gromady; odegnał ich aż na drogę i powracał chyłkiem, bo posypał się za nim grad błota i kamieni.

— Witek! poczekajno! — wołał Roch stojący przy węgle od podwórza, w cieniu. — Wywołaj Jambrożego, powiedz, że pilna sprawa, poczekam na ganku.

Dopiero w jakiś pacierz nadszedł Jambroży, srodze zły, że mu przerwali jadło w najlepszem miejscu, bo przy prosięcinie z grochem.

— Kościół się pali, czy co?

— Nie krzyczcie! Chodźcie do Kuby, bo zdaje mi się, że umiera.

— Niech zdycha, a nie przeszkadza ludziom jeść. Byłem na odwieczerzy u niego i mówiłem jusze, aby się do szpitala szykował, nogęby mu urznęli i wnetby wyzdrowiał!...

— Powiedzieliście mu o tem! Teraz rozumiem, zdaje mi się, że sam sobie odciął nogę...

— Jezus, Marja! Jakto, sam sobie obciął?...

— Chodźcie prędzej, zobaczycie. Szedłem spać do obory i ledwiem wlazł na podwórze, Łapa skoczył do mnie, szczekał, skamlał, za kapotę mnie zębami darł i ciągał, nie mogłem pojąć, czego chce... a on wybiegał naprzód, siadał w progu stajni i skowyczał. Podszedłem, patrzę, Kuba leży przewieszony przez próg, z głową w stajni! Myślałem zrazu, że chciał wyjść na powietrze i omdlał! Przeniosłem go na wyrko i zapaliłem latarkę, żeby wody poszukać, a on cały we krwi, blady jak ściana i z nogi krew bucha. Prędzej, żeby nie puścił ostatniej pary...

Weszli do stajni, Jambroży zabrał się ostro do trzeźwienia; Kuba leżał bezwładny, dychał coś niecoś i rzęził przez zwarte zęby, że trzeba było je nożem podważać, by mu nieco wody wlać do gardła.

Nogę miał przerąbaną w kolanie, ledwie się trzymała na skórze i obficie krwawiła.

Na progu czerwieniły się plamy krwi i leżała okrwawiona siekiera, a taczalnik do naostrzania, któren zawsze stał pod okapem stajni, walał się teraz pod progiem.

— Juści, sam sobie obciął. Bał się szpitala, myślał głupi, że sobie pomoże, ale twardy chłop, ale zawzięty!

Jezus, żeby sobie samemu obcinać kulasa! Prosto nie do wiary! Krew go mocno odeszła.

Kuba otworzył naraz oczy i wodził niemi dosyć przytomnie.

— Odleciała? Dziobnąłem dwa razy, ale mnie zamroczyło... — szeptał.

— Boli cię to?

— Nic a nic. Sił się ino wyzbyłem do cna, ale zdrowszym!

Leżał spokojnie i ani krzyknął, gdy mu Jambroży nogę składał, mył i krępował w zmoczone szmaty.

Roch na klęczkach przyświecał latarnią i modlił się tak gorąco, aż mu łzy ciekły po twarzy, a Kuba ino się uśmiechał radośnie, tkliwo jakoś i rzewnie, jak to dzieciątko w polu porzucone, które nim pozna, że bez matki, raduje się do traw, co nad nim szumią, za słońcem patrzy, do przelatujących ptaszków rączki wyciąga i po swojemu gada ze wszystkiem i cieszy się, tak ci i on czuł się teraz; dobrze mu było, spokojnie i nieboleśnie, a tak na duszy lekko i wesoło, że za nic sobie miał chorobę, ino się zcicha przechwalał... jako siekierę dobrze wyostrzył... nogę ułożył na progu... i dziabnął w samo jabłko... zabolało, ale noga od jednego razu nie puściła... więc drugi raz dziabnął ze wszystkiej mocy... i oto nic go teraz nie boli, pomogło widać... że niechby tylko miał więcej mocy, to nie gniłby dłużej na wyrku, a na wesele szedł... do tańca się brał... i podjadłby nieco, bo jeść mu się chce...

— Leż spokojnie i nic się nie ruchaj, jadła dostaniesz rychło, powiem Józi.

Roch go pogłaskał po twarzy i wyszli z Jambrożym na podwórze.

— Do rana wykipi, uśnie cicho jak ptaszek, bo krew go całkiem odeszła.

— Księdza mu trzeba przywieźć póki przytomny!

— Kiej ksiądz pojechał na wieczór do Woli, do dziedziców.

— Pójdę po niego, zwlekać nie można!

— Do Woli jest mila po nocy i przez las, nie traficie. — Stoją tu gotowe konie ludzi, co mają po wieczerzy odjeżdżać, bierzcie je i jedźcie.

Wyprowadzili konie na drogę i Roch siadł.

— A nie zapominajcie o Kubie, trzeba go przypilnować! — zawołał, ruszając.

— Nie ostawię go samego, nie zapomnę.

Wnet jednak zapomniał, tyle baczył, że Józi powiedział o jadle, a sam wrócił za stół, do butelki mocno się przypiął i tak serdecznie, że rychło o bożym świecie nie wiedział.

— Józka zaś, że to poczciwe było dziewczątko, co tylko mogła, nazbierała na miseczkę, wódki w półkwarcie nalała sporo i zaniesła ochotnie.

— Kuba, przejedzcie ździebko, użyjcie i wy wesela!

— Bóg ci zapłać! Kiełbasa widzi mi się, czujna, wieje od niej.

— Dyć umyślnie przypróżałam, byście posmakowali. — Wraziła mu miskę w ręce, bo ciemno było w stajni. — Wypijcie przódzi wódkę.

Wszystko wypił do dna.

— Posiedź ździebko, tak mi się samemu ckni...

Począł głamać, pogryzać, żuć, ale nie mógł nic przełknąć.

— Weselą się, co?

— Takie wesele, tyla narodu, żem w życiu nie widziała większego.

— Borynowe przeciech, to nie dziwota! — szepnął z dumą.

— Juści, a ociec się tak weselą i cięgiem za Jagusią chodzą, cięgiem.

— Jakże... urodna, piękna na gębie kieby jaka pani dworska!

— Wiecie, a Szymek Dominikowej to się ma do Nastki Gołębianki.

— Stara nie pozwoli, u Nastki z dziesięć gęb siedzi na trzech morgach.

— To też ich rozgania, gdzie dopadnie i srodze pilnuje.

— Wójt jest?

— Zabawia drugich i najbardziej pyskuje, a Jambroży także.

— Jeszczeby nie, kiej na takiem weselu są, u takiego gospodarza! Nie wiesz, co u Antków? — zapytał cicho.

— Jakże, skoczyłam do nich na zmroku, dzieciom poniesłam mięsa, placków, to chleba... Z chałupy me wypędził i ciepnął za mną, com przyniesła... Zawziął się sielnie i taki zły, taki zły... a bieda u nich w chałupie i ten płacz... Hanka ino się kłóci z siostrą, że się już pono i do kudłów brały.

Nie odrzekł na to, nos ostro wycierał, a prędzej dychał jakoś.

— Józia — rzekł po chwili — klacz postępuje jakoś i pokłada się już od wieczora, pewnie jest na oźrebieniu... trzaby przypilnować. Picie jakie narządzić. Jakto se stęka! Biedota kochana, a ja nic nie potrafię pomóc... okrutniem słaby... bez mocy całkiem...

Zmęczył się i zamilkł, i jakby zasypiał.

Józka odeszła śpiesznie.

— Cesiu! Ceś, Ceś... — zawołał, przytomniejąc.

Klacz zarżała przeciągle i rzuciła się na uwięzi, aż łańcuch zabrzęczał.

— Podjem se choć raz do syta! Dostaniesz piesku swoje, dostaniesz, nie skomlij ino...

Wziął się ostro do kiełbasy, ale nie mógł, nie chciało mu się zupełnie, rosło mu w ustach.

— Mój Jezus, tyle kiełbasy, tyle mięsa... a nie mogę... całkiem nie mogę.

Darmo probował, oblizywał, wąchał, nie mógł, ręka mu opadła bezsilnie, chował więc pod słomę, nie puszczając z garści.

— Mój Boże, tyla tego, że nigdy w życiu nie miałem, a nie mogę.

Żałość ścisnęła mu duszę i łzy pociekły po twarzy, płakał rzewnie, aż się zanosił, jak to dzieciątko ukrzywdzone.

— Potem se zjem, odpocznę nieco i bal se sprawię — pomyślał.

Ale i potem nie mógł, zapadał w sen, nie po-

puszczając kiełbasy z garści, nie czując jednak, że Łapa mu ją pocichu obgryzał...

Otrzeźwiał nagle, bo po wieczerzy muzyka gruchnęła w chałupie z taką mocą, aż ściany stajni drygały i przestraszone kury gdakały z chlewów.

Wrzaski buchnęły we świat i pryskały od domu, niby te ognie czerwone w noc ciemną, niby grzmoty buchały po stajni.

Hulanka tam już szła siarczysta, śmiechy, wesołość, zabawa, a raz wraz ziemia dudniała od przegonów i pisk dzieuszyn rozdzierał powietrze.

Kuba nasłuchiwał zrazu, ale rychło zapominał o wszystkiem, sen go brał i niósł w ćmę jakąś wrzawliwą, jakby pod wody szumiące... na dno rozwytych wichurą borów.

A gdy wesele ostrzej lunęło, wrzawa i trzaski hołupców bitych zapamiętale dom zda się roznosiły, budził się nieco, wychylał duszę z ciemnicy, podnosił z niepamięci, wracał z dalekości przerażających i słuchał.

A czasem jeść probował, albo szeptał cicho, serdecznie:

— Ceśka, ceś, ceś!

Ale już dusza wychodziła z niego powoli i niesła się we światy, jako ten ptaszek Jezusowy, kołowała jeszcze, jeszcze bładnie, oderwać się nie mogła jeszcze, że przywierała czasami do ziemi świętej, by odpocząć z utrudzenia, utulić swój płacz sierocy we wrzawie ludzkiej; między kochane zachodziła, wśród żywe szła, do bratów wołała żałośnie i u serc prosiła pomocy, aż mocą Jezusową skrzepiona i miłosierdziem, niesła się

na jakieś pola wiośniane, na te Boże ugory ogromne, nieobjęte, wieczną światłością oprzędzone i weselem wiecznem.

I wyżej leciała, dalej, dalej, aż tam...

...Aż tam zaś, gdzie już nie dosłyszy człowieczego płakania, ni żałosnego skrzybotu duszy wszelkiej...

...Tam zaś, gdzie ino pachnące lilje wioną, gdzie kwietne pola miodną słodkością szumią, gdzie ciekną rzeki gwiezdne po dnach barwionych rzęsiście, gdzie wieczny dzień.

...Tam zaś, gdzie ino ciche modlenie płynie i dymy pachnące wleką się cięgiem, jako te mgły, dzwonki brzęczą, i organy cicho grają, i święta ofiara odprawuje się ciągle, i naród już bezgrzeszny, i aniołowie, i święci pośpiewują spólnie chwałę Pańską, w ten kościół święty, nieśmiertelny, Boży! Gdzie ino duszy człowiekowej modlić się, a wzdychać, a płakać z radości i weselić się z Panem w wiek wieków.

Tam się ano rwała dusza umęczona i odpocznienia tęskliwa, Kubowa dusza.

. . . .

Dom zaś tańcował wciąż i weselił się całem sercem, ochotniej nawet niźli wczoraj, bo poczęstunek był sutszy i barzej niewolili gospodarze. Wodzili się też w tanach do upadłego.

Wrzeli już niby ten ukrop na mocnym ogniu, a co przysłabli ździebko, muzyka grzmiała z nową siłą, że jako łan uderzony wichurą, ino się przyginali, brali rozmach, niecili rum nogami i z krzykiem szli w nowy tan, ze śpiewami, a huczno, tłumno i ogniście.

że już im dusze całkiem stajały od gorącości, krew kipiała warem, rozum odchodził, serca się zapamiętały w hulance, a każdy nerw dygotał do taktu, każdy ruch był tańcem, każdy krzyk śpiewem, a każde oczy weselem się jarzyły i radością.

I tak szło przez całą noc, do samego świtania!

A dzień podnosił się ciężko i cicho, porankowe brzaski siały na świat posępne, nieprzeniknione zwały chmur, a już przed samym wschodem słońca zamroczyło się znagła i pociemniało, zaczął padać śnieg. Polatywał zrazu zrzadka i kołujący jak to igliwo w dzień wietrzny, aż się i potem rozśnieżyło na dobre.

Śnieg sypał jakby przez gęste sito, padał prosto, równo, jednostajnie, bez szelestu i pokrywał dachy, drzewa, płoty i ziemię całą, jakby podbielonem, szarawem przędziwem, albo tem pierzem niedartem.

Rychtyk i wesele się skończyło, mieli się jeszcze wieczorem zebrać w karczmie, na poprawiny, ale teraz już poczęli rozchodzić się do domów.

Tylko drużbowie z druchnami i muzyką na czele, zebrali się kupą przed gankiem i zaśpiewali wraz jednym głosem ostatnią piosneczkę:

Dobranoc, państwu młodym
Dobranoc!
Dobrą nockę oddajemy,
Sami służką ostajemy,
Dobranoc!

. . . .

A Kuba w ten sam czas składał duszą swoją pod święte Pana Jezusowe nóżki.

. . . .

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.